

GRETA DRAWWSKA

CHŁOCHOT

MAŁE MIASTECZKA WSZYSTKO
MAJĄ MAŁE — POZA PAMIĘCIĄ

TRWAJĄ PRACE NAD EKRYNIZACJĄ SERII
o prokurator Wandzie Just i podkomisarzu Dereniu

Greta Drawska

CHICHOT

JEDNYMSŁOWEM
znak
KRAKÓW 2021

Pisarzom, tym pięknym wariatom

– Wiesz, co to jest fugazi?

– Lipa.

– *Fu-gah-zi, fu-gay-zi, czyli ściema, pic na wodę.*

Wilk z Wall Street, reż. Martin Scorsese, 2013

W tej robocie poznajesz najrozmaitsze typy.

Perfidia i zdrada... zawsze się znajdzie dla nich wymówka.

A kiedy odnajduję przyczynę, nadal nie mogę się do tego

przyzwyczaić.

Dire Straits, Private Investigations, 1982

– *Co skłoniło panią do zaniechania krótkich opowiadań na rzecz powieści? – spytano w wywiadzie znaną współczesną*

literatkę amerykańską, cenioną za krótkie nowele.

– *Sześciocyfrowa zaliczka – odparła autorka.*

Dubravka Ugrešić, Czytanie wzbronione, tłum. Dorota Jovanka Ćirlić

Kamil rozwalił pięciu terrorystów i rozbroił bombę. Całkiem niezłe jak na kilkanaście sekund, choć daleko mu było do takich mistrzów *Counter-Strike'a* jak s1mple, nikos9 czy device. To trio wymiało w CS jak Ronaldo, Messi i Lewandowski na boisku. W porównaniu z nimi był co najwyżej podwórkowym kopaczem. Niczego nie ułatwiała matka, która gorączkowała się, że za niecały miesiąc matura. Aż tak źle z jego matką nie było, sam potrafił policzyć. Poza tym rachityczna karta grafiki wciąż powodowała lagi, a net w chacie przycinał, że żal. Być może matka zalajkuje na tym fotkę kota na Facebooku, a ojciec obejrzy kilka gołych panienek, chociaż już nie w akcji, ale jak strzelać z zacinającego się MP9? Kamil zaklął pod nosem. Inna sprawa, że i tak nie mógł się dziś na niczym skupić.

Związał włosy w koczek na czubku głowy i poprawił słuchawki. W podstawówce przezywali go Samuraj ze względu na skośne oczy i te proste długie włosy, czarne jak smoła. Otworzył tapczan i wsadził rękę głęboko za pościel, by wymacać dziurę w tapicerce. Wepchnął palce w otwór w materiale, niewidoczny nawet gdy się uklękło i włożyło głowę do skrzyni. Wiedział, bo sprawdził to kilka razy, pod każdym kątem, na wypadek gdyby matce zachciało się tam sprzątać. Często ostatnio wyjeżdżała, ale gdy była w domu, miała momenty niepokojącej nadgorliwości. Namacał pakunek, jednak nie zajrzał do środka. Nie

zamierzał. Po pierwsze, nie był taki, przecież obiecał, a po drugie, od razu byłoby wiadomo, że rozciął papier i oderwał taśmę. Ze stęknieniem sięgnął palcami dalej i wyciągnął woreczek strunowy z resztką trawy, paczkę tytoniu i bibułki. Nie mógł przy tym przestać myśleć o minionej nocy.

Nadal czuł się tak, jakby ktoś przestawił mu krwiobiegi na najwyższe obroty, i chyba tylko dlatego nie zarył dziś nosem w klawiaturę, choć przez całą noc nie zmrużył oka. Nawet w pociągu, gdy po wszystkim wracał do domu. Wciąż niewiele rozumiał, a od myślenia rozsadzało mu łeb. Nie mógł spać, nie mógł grać, brakowało mu tlenu i przestrzeni. Otworzył szerzej okno. Prawa stopa drgała niespokojnie, więc podciągnął ją na siedzisko fotela. Skręcił zgrabnego jointa i zaciągnął się głęboko.

Nie poszedł dziś do szkoły, bo matka wyjątkowo wyjechała na weekend już wczoraj, a bez niej był w chacie większy luz. Ojciec nawet nie znał szkolnego rozkładu jazdy. Rzadko wchodził do pokoju Kamila, a jeśli już, to tylko po to, by zapytać, czy coś jadł. Jak był nie w sosie, bo coś go wkurzyło w pracy, lekko to pytanie modyfikował i chciał wiedzieć, czy Kamil coś jadł i dlaczego chipsy. Nawet wtedy podpierał się zdaniem matki. Mówił: „Ile razy mamy ci z matką powtarzać, że to trutka na ludzi? Wyjmij opakowanie i przeczytaj skład. No, weź wyjmij i przeczytaj”. Bez niej kurczył się jak włóczkowy bambosze zdjęty ze stopy. Ostatnio działało się to prawie non stop, bo matka nocowała poza domem częściej niż zwykle. Wyjeżdżała na weekendy do Szczecina do swojej siostry. Chodziły tam podobno po wystawach średniowiecznego malarstwa i koncertach flamenco. Ojciec uważał, że tak naprawdę szlajają się po galeriach handlowych i drinkbarach, ale nie lubił ciotki ani szwagra i nie chciał w tych wyjazdach towarzyszyć matce. Matka była tego tak samo pewna jak Kamil schowka w tapczanie. Ten system sprawdzał się od kilku lat, a ojciec nie wydawał się zatroskany nieobecnością żony. Gdy matka zostawała na

noc poza domem, zaraz po pracy uwał się na kanapie z czteropakiem i do późnej nocy oglądał sport. Mieli kilkanaście kanałów sportowych na kablówce, a on nie pogardził nawet golfem.

Był piątek, matka miała wrócić w niedzielę, więc przed Kamilem rozpościerały się dwa piękne dni jarania, walenia w *Counter-Strike'a* i dbania o równomierne dokrwienie wszystkich organów. To, co wyczytał w necie o szkodliwym wpływie marihuany na hydraulikę, okazało się nieprawdziwe i nachalna gotowość jego członka wydawała mu się czasem męcząca. Gdy dłużej siedział w wannie, ojciec stukał do drzwi łazienki i pytał, czy znowu woskuje lufę, albo rzucał inny czerstwy dowcip. Był starszym facetem, jakby z innej epoki, różnica wieku między nim a matką wynosiła dziesięć lat. Może nawet więcej?

Kamil zdjął słuchawki i ze zdziwieniem zarejestrował jakieś dźwięki, szuranie kroków i ciche odgłosy rozmowy. Co ciekawe, Sabaton nie szczechnął ani razu, więc w pierwszej chwili chłopak pomyślał, że złodzieje zdążyli otruć psa. Otworzył bezszelestnie szufladę z bielizną, wcisnął pod bokserki worek z trawką i zgaszonego jointa, a potem sięgnął po kij baseballowy wciśnięty między tapczan a szafę. Ojciec przeszedł kilka lat temu fascynację i tym sportem – kolejnym, do którego jego synek nie miał talentu – i podarował mu na dwunaste urodziny kompletny zestaw do gry.

Kamil przez chwilę się zastanawiał, czy nie założyć kasku, na którym niezmywalnym markerem wpisali się uczestnicy letniego obozu wieńczącego jego przygodę z baseballlem, ale zamiast tego w lewą dłoń ujął harcerską finkę. Ta z kolei była pamiątką po oczekiwaniach matki, która zapisała go do zuchów, gdy skończył siedem lat. Na pierwszej warcie posikał się ze strachu i tak się skończyła ta piękna przygoda. Jeśli dobrze się zastanowić, jego pokój był istną galerią dowodów na to, jak bardzo zawodził oczekiwania starych.

– Co ty tu robisz? – Ojciec obrzucił go zdziwionym wzrokiem.

Nie było jeszcze południa, a on już umościł się z piwem przed telewizorem i włączył Canal+ Sport. Na szczęście nie skomentował widoku kija i noża w dłoniach syna.

– Wagaruję, a ty?

– Wylali mnie z pracy.

– Czyli w zasadzie to samo?

– Czyli w zasadzie zupełnie co innego. Piwko? – Ojciec wskazał palcem jedną z pozostałych trzech puszek kasztelana, ale Kamil pokręcił głową. Trawka to trawka, obiecał sobie jednak, że alkoholu nie tknie do matury, a był zdania, że trzeba się trzymać jakichś reguł. Zostało kilka tygodni, wytrzyma.

– Jak dają, to bierz, jak biją, to uciekaj. – Ojciec wsunął rękę pod szarą bluzę i podrapał się po żebrach. – Jadłeś coś?

Wyraźnie zależało mu na towarzystwie i Kamil może by i pękł, gdyby ktoś nie zaczął się dobijać do drzwi. Senior rzucił mu podejrzliwe spojrzenie, przeciągnął palcami po zmierzwionych włosach i poszedł otworzyć. Kamil, w głębi mieszkania, starał się zorientować, o czym rozmawia z gościem, ale słyszał tylko szmer, bez rozróżnienia poszczególnych słów.

– Ten pan jest z policji i chciałby z tobą porozmawiać. – Ojciec wrócił do pokoju w towarzystwie wysokiego faceta o siwiejących skroniach, który wcale nie wyglądał na policjanta.

Nie chodziło o brak munduru, kraciastą koszulę i dobroduszny wyraz twarzy. Po prostu ojciec, wskazując gościowi fotel, był nienaturalnie opanowany. A może on, Kamil, aż tak się zjarał, że wszystko odczuwał na odwrót? Może tata i nieznajomy byli zdenerwowani, a on spokojny? Przymknął oczy, myśląc o strunowym woreczku z jointem wciśniętym pod

bokserki i tym większym schowanym w tapczanie. Przed oczami stanęła mu też zmyślna książka skrytka, która nadal tkwiła w jego szkolnym plecaku. Rozpęta się piekło i nie dożyje matury, więc bardzo dobrze, że nie cisnął. Mąż znowu bez pracy, syn w pierdłu za narkotyki. Matka miała z metr pięćdziesiąt w kapeluszu, ale nadrabiała temperamentem i bali się jej obaj.

– Jakub Tomczyński nie żyje, został zamordowany, a ostatnią osobą, do której zadzwonił przed śmiercią, byłeś, chłopaku, ty. Lepiej więc szybko zacznij mówić.

Fotel jęknął pod ciężarem policjanta, który nagle przestał się wydawać dobroduszny, a ojciec sięgnął po pilota i wyłączył telewizor. Jego spokój ulotnił się w tym samym momencie. Ojciec ponownie przejechał ręką po włosach, ale tym razem je zmierzwił.

Kamil spojrzał na buty i dzinsy przybysza. Dostałoby mu się od matki za naniesienie piachu do dużego pokoju. Nogawki były postrzępione i uwalane przyschniętym błotem.

– Nie znam żadnego Jakuba Tomczyńskiego.

– No dobrze, jasne. A Pana Toma? – Mężczyzna wlepił w niego uważny wzrok. Miał przekrwione niebieskie oczy i wyglądał trochę jak Wiktor Rebrow z *Watahy*.

Kamil przytaknął, a jego ojciec poklepał się po kieszeniach, jakby zapomniał, że dawno temu rzucił palenie.

Wanda pomyślała, że gdyby nie zwłoki w kałuży krwi na kamiennej posadzce, ten dom byłby idealny. Zasługiwał na coś więcej niż protokół oględzin miejsca zbrodni i powinien być fotografowany i pokazywany w magazynach typu „Weranda” czy „Country Life”. Tymczasem niewielu okolicznych mieszkańców w ogóle zdawało sobie sprawę z jego istnienia. Schowana głęboko w lesie rezydencja stała na szczycie skarpy górującej nad jeziorem Komorze niczym średniowieczna twierdza i nie była widoczna z głównej drogi. Otaczała ją świeża zieleń, jedyny dziś znak wiosny, bo pogoda nie rozpieszczała i kwiecień serwował więcej zimy niż lata. Przez całą noc padało i w powietrzu nadal unosiła się wilgoć, a deszcz zmienił leśną drogę w błotne wertepy, na których Citroën ledwo dał sobie radę. Wanda wzdygnęła się i poprawiła ciemny golf.

– Kto go znalazł? – zapytała Derenia, który ze swoim metrem dziewięćdziesiąt wreszcie zdawał się mieć odpowiednie proporcje w przestronnym holu z fortepianem.

Za to jego dzinsy i koszula w kratę nie pasowały do eleganckiego czarnego instrumentu. Na lśniącym wieku stał srebrny kandelabr, w którym tkwiło pięć niedopalonych świec. Z pewnością to właśnie fortepian skupiały wszystkie spojrzenia, gdyby nie leżący u podnóża schodów martwy mężczyzna.

– Gospoia. Poważnie, jak w powieści Agaty Christie. – Dereń skinął głową Wandzie. – Nazywa się Marta Grzelak i jest tu zatrudniona, gotuje i sprząta. Przyjechała jak zwykle o siódmej trzydzieści, ma swój klucz i zna czterocyfrowy kod alarmu. Tabliczka firmy ochroniarskiej, która wisi na zewnątrz, nie jest żadną atrapą. Kobieta nic więcej nie wie. Gdy tylko zobaczyła zwłoki, wykręciła sto dwanaście.

Wanda podeszła do martwego mężczyzny i westchnęła na widok zakrwawionego kawałka drewna, który wystawał z jego klatki piersiowej na wysokości serca. Gdyby nie ten nieszczęsny szczegół, można by podejrzewać nieszczęśliwy wypadek. Ot, facet poślizgnął się na schodach i spadł.

– Tylko mi nie mów, że tym razem mamy do czynienia z pogromcą wampirów. Chociaż gdy patrzę na ten fortepian i świecznik, mimowolnie zaczynam myśleć o Drakuli i Nosferatu. Znaleźliście coś w pokojach na piętrze? – zapytała.

– W jednej z sypialń jest sejf, w dodatku otwarty i pusty – powiedział podkomisarz. – Nie można więc wykluczyć motywu rabunkowego.

– Rozumiem, że Grzelak potwierdziła tożsamość zamordowanego?

– Zgadza się, to Jakub Tomczyński. Jego żona, Izabela Tomczyńska, uczy polskiego w czaplineckim liceum. Podobno wczoraj rano wyjechała na wycieczkę z klasą. Tyle wiem od gosposi.

– Gdzie ona jest?

– Siedzi na ławce za domem, świeci na pomarańczowo i pali papierosy.

– Świeci na pomarańczowo?

– Sama zobaczysz. – Dereń machnął ręką. – Nie sądzę, by miała z tym coś wspólnego.

– A żona? Udało się z nią skontaktować?

– Jest w drodze. Wiesz, na górze znaleźliśmy coś jeszcze. Coś, co może się okazać bardzo istotne.

Piotr zaprowadził Wandę po schodach do pokoju z otwartym sejfem i wskazał wnękę, w której wisiały oprawione w ramki dyplomy i wyróżnienia, a na półkach stało kilkanaście statuetek. Cała ta ściana zdawała się oddawać hołd jednemu człowiekowi, a teraz, za sprawą jego śmierci, zmieniła się w swoiste *in memoriam*.

– Pan Tom? Zamordowany to słynny Pan Tom? – Wanda z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

Choć omijała tak zwaną literaturę rozrywkową szerokim łukiem i uważała, że w ciągu najbliższych lat jej autorzy zostaną skutecznie zastąpieni przez sztuczną inteligencję, słyszała rzecz jasna o Panu Tomie. Był tak popularny, że stał się zjawiskiem popkulturowym, zabijając ćwieka specem od reklamy, nigdzie bowiem się nie udzielał.

– Na to wygląda.

Z dołu dobiegło ich jęczenie patologa i gdy z powrotem zeszli po schodach, w drzwiach do domu stanął Roman Wrzos. Miał urodę złośliwego cherubina, a język tak kwiecisty, że uszy wiodły, ale był dobry, najlepszy w regionie.

– Cały samochód sobie upierdoliłem w tych jebanych chaszczach, gdybym wiedział, pożyczylbym od kuzyna traktor – jęczał. – Co to za, kurwa, hobbitówka na wygwi... pardon, wypizdowie? Dom barona narkotykowego?

– Pisarza, Wrzosiu.

Piotr pochylił się nad niewysokim lekarzem i uścisnęli sobie dłonie. Z miejsca, w którym stała Wanda, wyglądało to faktycznie jak powitanie Gandalfa z Bilbem Bagginsem.

– A czy oni czasem nie przymierają głodem? – Wrzos naciągnął rękawiczki. – Co on, kurwa, pisał, jakieś Greye czy inne pornoromansidła dla znudzonych gospodyń domowych?

– Kryminały. Ze względu na popularność nazywano go polskim Stephenem Kingiem. Pisał pod pseudonimem...

– Pan Tom? Pierdolisz. Chcesz powiedzieć, że facet, który leży tam martwy, to ten Pan Tom? Autor *Krwi*? – Lekarz podszedł do ciała. Jego ruchy stały się mniej zamaszyste niż zwykle, jakby znaleźli się w kościele.

– *Śniegu, Ciała i Krwi*. Czytałeś?

– A wy nie? Ach, no tak, pani prokurator z pewnością gardzi literaturą popularną, a ty, Piotruś, czekasz na ekranizację.

Jego pucołowata twarz otoczona przeredzonymi blond lokami posmutniała.

– Zawsze myślałem, że jest starszy. Czyli nie będzie dalszego ciągu, no, kurwa, szkoda – dodał i gdy Wanda już myślała, że się przeżegna, sięgnął po torbę lekarską.

Przeszła przez hol do salonu z wielkim oknem w kształcie przeciętej na ćwiartki elipsy, z którego rozpościerał się widok na jezioro Komorze. Otoczone gęstym lasem, jaśniało daleko w dole jak oko w gęstwinie rzęs. Gdyby nie mieszkali tu pisarz i nauczycielka, Wanda pomyślałaby, że to dom architekta wewnątrz. W każdym pomieszczeniu ściany były grube, pokryte chropawą warstwą tynku, a kąty zaokrąglone. W jednym rósł dąb, którego nie wycięto podczas budowy, ale wkomponowano w budynek. Masywny pień przedzierał się przez strop i sięgał zapewne nie tylko kolejnej kondygnacji, ale i jeszcze wyżej, ponad dach. Wrzos miał rację: dom kojarzył się z hobbicką norką, ale był przestronny. Baggins nie zmieściłby w swoich krecich tunelach ani fortepianu, ani drugiego piętra.

Wanda weszła do dużej kuchni utrzymanej w wiejskim stylu, w której nadal pachniało jedzeniem pozostawionym na głębokiej patelni. W czerwonym sosie pływały kawałki papryki i zieleniny, być może ziół rosnących w donicach ustawionych na szerokim dębowym parapecie. Tu też, jak w całym domu, dominowały drewno i kamień. Droga, szlachetna prostota. W pomieszczeniu panował porządek, nie licząc resztek cebuli przyklejonych do deski postawionej w poprzek kuchennej wyspy z granitowym blatem. Ona też miała owalny kształt. Właściciele najwyraźniej nie lubili kanciastości. W zlewie leżały na wpół zanurzone w wodzie talerz i sztućce. Wanda przełknęła ślinę. Tego podczas oględzin nie lubiła najbardziej: kontaktu z rzeczami ludzi, którzy nagle i gwałtownie odeszli. W ciele pod schodami nie było już życia, które tutaj wciąż jeszcze się tliło.

Zajrzała do lodówki. Paczkowane wędliny leżały obok kostki pomarańczowego cheddara i słoika delikatesowych oliwek. Do tego salaterka z galaretką, która pachniała malinami, a w drzwiczkach napój owsiany w kartonie, woda i nieotwarta butelka białego wina. Poza tym kilka plastikowych pojemników na żywność, w których znalazła kaszę jaglaną, ten sam czerwony sos, który pływał na patelni, sałatkę z pomidorami i pestkami dyni. I jeszcze puszka z kocią karmą, opróżniona mniej więcej w dwóch trzecich. Wanda nigdzie nie widziała kota, pewnie wystraszył się i uciekł, gdy tylko gosposia otworzyła rano drzwi. Albo jeszcze wcześniej, kiedy do domu wlaź morderca. Czyżby ktoś, kogo zwierzak nie znał?

Wróciła do holu i spojrzała na wnętrze z tej perspektywy. Otwarta przestrzeń była niezależnie od wszystkiego bardzo przytulna. Na tyle, by mimo rozmiaru pomieszczeń i obecności fortepianu oraz drogich mebli czuć się tutaj swobodnie. Jurek Falski, szef techników, szeleścił już

flizelinowym kombinezonem. Wanda wiedziała, że za chwilę zacznie marudzić, że zanieczyszczają mu miejsce zbrodni, i ich stąd wyrzuci.

– No i? – Podeszła do Wrzosa, który szykował się do wyjazdu.

– No i nie załatwił go upadek ze schodów. Został dziabnięty.

– Kołkiem?

– Kołkiem, kurwia noga, kołkiem. – Pokiwał smętnie blond głową. – Więcej powiem, jak go sobie umyję. Cholera jasna. Pan Tom. Nadal nie mogę w to uwierzyć. Dziwna śmierć, jakby ją sobie sam napisał.

– Co masz na myśli?

– W ostatnim tomie pisał o wampirach. Dokładnie już nie pamiętam, ale było tam coś o antropolożce badającej miejsca podejrzanych pochówków.

Wanda uniosła brwi. Cóż, choć Wrzos miał rację na temat jej stosunku do literatury popularnej, zdaje się, że będzie musiała się zapoznać z twórczością denata.

– Co o nim wiemy? Poza tym, że był znanym pisarzem, który z jakiejś przyczyny ukrywał się pod pseudonimem? – zapytała Piotra, gdy stali już na zewnątrz, a ciało Jakuba Tomczyńskiego było w drodze na sekcję zwłok.

Przed kilkoma tygodniami zauważyła, że Dereń schudł, a teraz zamiast cameli pykał elektronicznego papierosa, jakby to była fajka. Po raz kolejny pomyślała o Gandalfie. Gdyby tak jeszcze długie włosy i płaszcz... Zamrugła, by wyrzucić ten obraz z głowy. Był to w każdym razie kolejny dowód na to, że plotki, które do niej dotarły, prawdopodobnie nie mijają się z prawdą. Słyszała, że podkomisarz spędza dużo czasu na nowej siłowni na komendzie i że spotyka się z jakąś kobietą. Cóż, najwyraźniej rzucił dla niej substancje smoliste, choć nie nikotynę – pomyślała z przekąsem.

– Na razie niewiele. Na pewno miał nietuzinkowy gust. – Piotr kiwnął głową, wskazując płaski dach pokryty darnią, nad którym szumiały konary dębu. Wanda widziała drzewo zaraz po przyjeździe, ale była przekonana, że

rośnie za domem, a nie przestrzeliwuje się przez strop. – Dobrze wychowywałoby się tu dzieci, nie uważasz?

– W sensie: sarenki i jelenie podchodzące pod same okna? Marzenie myśliwego.

– Ale z ciebie cynik, czy raczej powinienem powiedzieć: cyniczka. Podobno teraz lubicie, jak do wszystkiego dodaje się żeńskie końcówki.

– Nie wiem, co inne kobiety „lubicie”, ale sama nigdy nie byłam fanką poprawności politycznej. Za bardzo trąci dogmatyzmem, który podobno stara się zwalczać – dokończyła może odrobinę za ostro, ale nigdy nie lubiła się identyfikować z żadną grupą, ani zawodowo, ani prywatnie. A jeśli Piotr myśli, że ona i jego nowa kobieta mają ze sobą coś wspólnego, to się grubo myli.

Odwróciła się w stronę domu, żeby ukryć zdenerwowanie. Kamienna bryła wtapiała się w krajobraz, zdawała się stać tu od zawsze. Tuż za płotem rozpościerał się las; sprawiał wrażenie, jakby rozstał się jedynie na chwilę, by zaraz pochłonąć tę przedziwną budowlę, ukryć ją w swej gęstwinie. Gdyby tylko wynieśli się stąd ludzie, natychmiast wzięłyby ją w posiadanie. Korzenie drzew wrosłyby w dach, okna pokryłyby mech, a w zacienionych zakamarkach rozpoczęłyby się cicha owadzia kolonizacja.

Brązowopiaskowy kamień, którego użyto do budowy, pochodził zapewne z rozbiórki poniemieckich stodół, które wciąż można było znaleźć w okolicy. Z boku dobudowany był przeszklony pawilon, który wcześniej Wanda wzięła za ogród zimowy, ale teraz, gdy podeszła bliżej, widziała, że jest tam basen. Niewielki, w kształcie fasolki jak w hotelowym spa, wyłożony płytkami nadającymi wodzie idealnie lazurowy odcień. W odbiciu za sobą zobaczyła twarz Piotra. Teraz, gdy zgubił kilka

kilogramów, znowu przypominał chłopaka sprzed lat, z którym mieszkała w jednej kamienicy.

– Jak się trzymasz? – zapytał.

Wiedziała, że nie ma na myśli oględzin i ciała z wbitym kołkiem. Od zamka na dole jej kurtki odchodziła niebieska nitka i Wanda próbowała ją urwać, ale ta trzymała się zbyt mocno, więc zwinęła ją w małą kulkę. Znacznie większą poczuła w gardle.

– Nie było mnie wtedy na miejscu. Gdybym był, przyszedłbym na pogrzeb. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

– Nie przejmuj się, frekwencja, jak to mówią, nie dopisała. Ojciec nigdy nie był dobry w nawiązywaniu, a tym bardziej utrzymywaniu kontaktów towarzyskich. Miał od tego mamę.

Wanda odwróciła się wreszcie od szyby, bo nie chciała już dłużej patrzeć na lazur wody. Ruszyli przed siebie ścieżką okalającą dom.

– Ostatnio miał za to już tylko demencję i, cóż, trzeba by zapytać mojej siostry, ale myślę, że to spore utrudnienie. Przyszła para staruszków spod ósemki, oczywiście Natalia z Tomkiem i Ignacym, rodzice Tomka, którzy za ojcem nie przepadali, i tajemnicza kobieta, która podobno pracowała z nim jeszcze za czasów zakładów odzieżowych. Obstawiałyśmy z Natalią, że to jego dawna flama. Była podpita i przez cały czas zalewała się łzami, aż spłynął jej tusz.

Wanda nie chciała już rozmawiać o śmierci ojca i z ulgą przyjęła widok nieruchomej postaci siedzącej w ogrodzie na ławeczce obok tarasowych drzwi. Piotr miał rację, ona naprawdę świeciła. Miała wściekle pomarańczową kurtkę i włosy w niemal tym samym odcieniu. Zadeptała papierosa i wrzuciła do słoika pełnego starych petów. Wanda spojrzała na mocno ubłocony rower, którym Marta Grzelak podobno dojeżdżała z Sikor, i pomyślała, że z tą fryzurą i w tej kurtce nie potrzebowała odblasków.

Piotr odebrał telefon i zniknął za domem, podeszła więc do kobiety sama. Wszystko wokół, łącznie z deskami ławki, było mokre, ale jej zdawało się to nie przeszkadzać. Pod grubymi ciemnymi brwiami widniały zmęczone oczy. Pasemka w jaskrawym odcieniu na krótkich włosach miały chyba stanowić kobiecy akcent, ale efekt był odwrotny do zamierzonego, bo twarz Marty Grzelak wydawała się surowa, wręcz męska.

– Wiem, że rozmawiał już z panią podkomisarz Dereń, ale chciałabym zadać jeszcze kilka pytań. Nazywam się Wanda Just. Jestem prokuratorem rejonowym.

– Chyba nie sądzi pani, że ja, że mogłabym... Ja nie mam z tym wszystkim nic wspólnego. – Na dźwięk słowa „prokurator” kobieta uniosła się z ławki i wyjęła kolejnego papierosa, ostatniego, bo zgmiotła paczkę i schowała ją do kieszeni kurtki.

– Zadam pani rutynowe pytania w ramach procedury, tak więc proszę o spokój. Wszystko, co pani nam powie, może pomóc w jak najszybszym ujęciu sprawcy. To bardzo ważne.

Grzelak zaciągnęła się kilka razy, unikając wzroku Wandy, ale w końcu usiadła z powrotem.

– Od jak dawna tu pani pracuje?

– No, we wakacje to byłby rok.

– Codziennie?

– Bez weekendów. Pani Iza, znaczy pani Tomczyńska, powiedziała, że weekendy są dla rodziny. W sensie dla mojej, bo oni nie mają dzieci. Nie mieli dzieci – poprawiła się szybko.

Wanda nie zareagowała. Przyzwyczała się już, że rodzina bez dzieci to dla większości ludzi oksymoron.

– Zawsze przyjeżdżała pani o tej samej porze?

– Zawsze na siódmą trzydzieści, jak pani Iza wyjeżdżała do szkoły, a jej mąż – głos kobiety się załamał, jakby napotkał niespodziewaną przeszkodę, ale szybko się z nią uporał – jeszcze spał. Miałam przykazane, żeby mu nie przeszkadzać, bo pracuje nocami, a w dzień odsypia. Za to jak wstał, to lubił mieć już wszystko porobione, uprane, uprzątnięte i ugotowany obiad.

– O której zwykle kończyła pani pracę?

– Około dwunastej. No chyba że poniedziałek był.

– Bo w poniedziałek...? – Wanda spojrzała na Martę Grzelak nieco zagubiona.

– No w poniedziałek to po weekendzie, kiedy rządzą się sami. Wiadomo, że roboty więcej.

– Odkurzała pani dom?

– No przecież, jak sprzątać bez odkurzacza. – Kobieta spojrzała na Wandę ze zdziwieniem, jakby zwątpiła w jej inteligencję.

– I nie obudziło to nigdy Tomczyńskiego?

– Nie mam pojęcia. Jeśli nawet, to i tak nie wychodził z pokoju. Zresztą, niektórzy w specjalnych zatyczkach śpią. Mój syn też, jak ma nockę w tartaku i potem odsypia.

– Czyli pokoju Tomczyńskiego pani nie sprzątała?

– No nie, nigdy nie wchodziłam do środka, nie widziałam go nigdy. – Grzelak potrząsnęła pomarańczową głową.

– Tomczyńskiego?

– Tego pokoju. Nigdy nie byłam w jego pokoju – podkreśliła. – Pana Tomczyńskiego kilka razy to i owszem, niemożliwe byłoby się tak całkiem nie widzieć przecież. – Wzruszyła ramionami.

– I jakie zrobił na pani wrażenie?

– Miłego, ale takiego bardziej cichego. Jak to zresztą mężczyzna. Mój mąż też za rozmowny nie jest, ale czasem to ja nawet myślałam... – Kobieta zamilkła pod spojrzeniem Wandy.

– Co pani myślała?

– Nic tam ważnego. Głupoty mi czasem przychodzą do głowy. – Uśmiechnęła się i zasłoniła ręką usta, maskując brak w górnym uzębieniu.

Zaraz jednak przybrała obojętną minę i dla Wandy stało się jasne, że kobieta niczego już na ten temat nie powie.

– Wiedziała pani, na czym polega praca pana Tomczyńskiego?

– Nie wiem. Nie wiedziałam. Na komputerze pewnie coś robił?

Wanda wyczuła w jej głosie przyganę wobec faceta, który do południa wylegiwał się w wyrze. Musiał być w jej mniemaniu zwykłym trutniem, który postawił ten dom za pieniądze ze spadku po bezdzietnym wuju albo trafił szóstkę w totka.

– Nie słyszała pani nigdy, że jest pisarzem?

– Pisarzem? – To słowo zabrzmiało w ustach gospodyni obco, jak nazwa jednego z zapomnianych zawodów, rymarz czy ludwisarz. – W sensie, że... Takim od książek?

Wanda przytaknęła.

– Ja to raczej gazety czytam, na książki nie mam czasu.

– Nie słyszała też pani od nikogo, że tu mieszka słynny pisarz?

– To on słynny był? Mąż pani Izy? Nic żeśmy nie wiedzieli. – Wydawała się oburzona, jakby Tomczyński nawet po śmierci zrobił coś irytującego.

– Media na pewno będą chciały z panią rozmawiać w związku z tą sprawą. Powiem tylko, że najlepiej będzie siedzieć cicho. Dla dobra śledztwa – dodała Wanda bez przekonania, bo oczy Marty Grzelak

rozbłysły na tę wzmiankę. Pewnie w wyobraźni właśnie udzielała pierwszego wywiadu.

Kobieta przejechała ręką po włosach, próbując je ujarzmić. Teraz, gdy podekscytowana pozowała już w myślach do zdjęć, wydała się Wandzie młodsza, być może nie miała nawet pięćdziesiątki. Porzuciła skuloną pozycję na ławce i obdarzyła Wandę przychylniejszym spojrzeniem, w którym kryła się kalkulacja. Niemal słychać było szmer jej rozumowania. Mąż pani Izy okazał się podwójnie sławny, po pierwsze jako pisarz – aktor byłby lepszy, ale co tam, trzeba brać, co jest – a teraz dodatkowo jako ofiara morderstwa. Oczywiście, że wiele osób będzie z nią chciało rozmawiać. Prokurator Just to zaledwie początek. Wreszcie miała coś do zaoferowania światu i nie mogła się doczekać, by zacząć tym handlować.

– Jeszcze jedno – powiedziała Wanda, gdy Grzelak wyprowadziła rower spod daszku. – Czy zauważyła pani ostatnio coś dziwnego w zachowaniu Tomczyńskich?

– Ale że co niby takiego?

– Cokolwiek.

– Nic. Wszystko jak zawsze.

– Może ktoś niespodziewanie ich odwiedził?

– Nie wiem. Rano przecież nie przyjmowali gości. Ona jechała na ósmą do szkoły, a on spał. Dzień w dzień to samo.

Grzelak usadowiła się na siodełku, a gdy tylko oderwała stopy od ziemi, jakby nabrała nowej pewności siebie.

– Pisarz nie pisarz, leniwy to on był, pani prokurator, jak wszystkie chłopy.

Jej głowa z pomarańczowymi pasemkami, podskakująca na wertepach, przypominała Wandzie główkę zapałki. Przyglądała się jej, dopóki nie zgasła za zakrętem.

Poprosiła techników, by dali jej znać, gdy tylko Iza Tomczyńska pojawi się na miejscu, i ruszyła do Czaplinka. Miała trochę czasu. Dereń pojechał przesłuchać faceta, którego numer był ostatni na liście połączeń Jakuba Tomczyńskiego.

Piotr pokwitował odbiór broni i amunicji i wcisnął na uszy wysłużone słuchawki. Oddał sześć strzałów dragunowem, jeden niezły, dwa takie sobie i trzy kompletnie do dupy. Strzelcowi na stanowisku obok szło zdecydowanie lepiej i sądząc po stosie zużytych tarcz, był tu już dobrą chwilę. Piotr stanął z tyłu, pod ścianą, ograniczając się tylko do obserwowania poczynąń sąsiada, który strzelał dziewięćmilimetrowym glockiem i właśnie przeładowywał broń. Wanda – bo to była ona, poznałby ją bez trudu, nawet jeśli nie po fryzurze i zgrabnych pośladkach, to po broni – w skupieniu wróciła do pozycji i oddała pięć strzałów do nowej tarczy. Dopiero wtedy rozluźniła mięśnie i skrzywiła się, gdy tarcza podjechała bliżej, choć wynik był znowu niezły. Kilka długich jasnych kosmyków wymknęło się z węzła nad karkiem, gdy zdjęła słuchawki i okulary ochronne. Odwróciła się w stronę Piotra z nieobecnym, skupionym wyrazem twarzy.

– Słyszałem, że spędzasz tu ostatnio dużo czasu.

– To już nie jest ta sama strzelnica.

– Wiem. Wszyscy błogosławimy prezenty pożegnalne Iwana, choć szczerze mówiąc, liczyliśmy na klimę. Chcesz zobaczyć naszą nową siłownię? Nazywamy ją Skarpetą.

– Bo przeliczyliście się z tą klimą?

Z uśmiechem skinął głową. Wanda jak zawsze była w formie. Może niepotrzebnie się martwił o to, jak na nią wpłynie śmierć ojca.

– A jaki prezent dostał od was przed odejściem?

– Zrzuciliśmy się na kompas z grawerunkiem.

– Kompas?

– Podobno obiecał żonie, że gdy przejdzie na emeryturę, zabierze ją w podróż jachtem.

– Dookoła świata?

– Dookoła jeziora Drawskiego.

Wanda poruszyła kącikami ust. Prawie się uśmiechnęła.

– A jak nowy szef wydziału?

– Świder? Nie poznałaś go jeszcze? Myślałem, że góra z górą...

– Przelotnie i nie jestem dla niego górą. Traktuje mnie raczej jak upierdliwe wzniesienie, które chciałby obejść.

– Cóż, jedno trzeba mu przyznać – Piotr się uśmiechnął – jest inny.

– W sensie: inny niż Iwanowski czy jedyny w swoim rodzaju?

– W sensie... – Machnął ręką. – Jak dzieciaki były małe, czytałem im czasem historie o Muminkach.

– Daj mi chwilę, spróbuję to sobie wyobrazić.

– Mnie w roli pana Dobranocka?

– Świdra jako Muminka.

– Sęk w tym, że to nie Muminek. Zamień czarne oprawki okularów na czerwone i masz. Migotek jak żywy.

Do środka weszła grupka młodych policjantów, Wanda i Piotr wyszli więc na korytarz.

– Napijesz się kawy? Kiepska jak zawsze, za to ma niewątpliwy walor – wskazał ręką schody – jest blisko.

Gdy znaleźli się w jego gabinecie, zauważył, że zerknęła z ciekawością na ramkę, którą niedawno postawił na biurku. Była odwrócona do Wandy tyłem, pani prokurator nie widziała więc, kogo przedstawia fotografia. Nawet jeśli Wanda była ciekawa, nie zapytała. Odsunęła sobie krzesło.

– Jak poszło przesłuchanie tego faceta w Czaplinku?

– To młody chłopak, tegoroczny maturzysta. Na początku był wystraszony i niewiele chciał mówić przy ojcu, bo myślał, że wpadłem, żeby zarekwirować jego trawkę.

– Gra w zielone?

– Podobnie jak Pan Tom. To dlatego pisarz zadzwonił wczoraj do chłopaka i młody przyznał się w końcu, że go odwiedził. Dopłynął tam łódką z Sikor. Jak zawsze.

– Bo łódką szybciej?

– Szybciej i bezpieczniej. Tomczyński raczej nie chciał, by ktoś zaobserwował regularne odwiedziny chłopaka. Łódka należała do niego i była jego pomysłem.

– Naprawdę chodziło o zioło?

– Jak ojciec na niego huknął, to pokazał woreczek, który ukrywał, *nomen omen*, w *Źdźbłach trawy* Whitmana. Byłem pewien, że docenisz ten smaczek. Książka miała w środku plastikową skrytkę. Sprytne, nic z zewnątrz nie widać. Ją też dostał od pisarza.

– Żona Tomczyńskiego wiedziała o tych wizytach?

– Nie. Umawiali się telefonicznie i chłopak odwiedzał Pana Toma, tylko gdy nasz autor był sam w domu. To dlatego dopiero dziś się dowiedział, że niemal od roku bywał w domu swojej nauczycielki polskiego.

– Nie znał jego nazwiska?

Piotr pokręcił głową. Włączył czajnik i zaczął szukać dwóch niewyszczerbionych kubków.

– Nie miał pojęcia, że Pan Tom, którego zaopatruje w zioło, nazywa się Jakub Tomczyński, a od września uczy go polskiego jego żona. Wspomniałem już chyba, że młody w maju zdaje maturę?

– Jak się nazywa ten dzieciak?

– Kamil Żuk.

– No więc w jaki sposób Żuk poznał Pana Toma?

– Podobno spotkali się nad jeziorem. Chłopak ma psa, który dziwnie się wabi.

– Jeszcze dziwniej niż twój? – spytała, mając na myśli jamnika o dźwięcznym imieniu Dexter.

– Sabat? Sabaton? W każdym razie jego pies polubił Pana Toma, a potem zaczęli rozmawiać o książkach.

– O jego książkach? Tak szybko zdradził chłopakowi, kim jest? Pisarz, który od lat ukrywa przed światem swoją prawdziwą tożsamość? Podejrzane.

Piotr pokręcił głową.

– Do tego przyznał się, dopiero gdy zaprosił go do domu. Na początku przedstawił się po prostu jako Jakub i podał Żukowi swój numer telefonu. Powiedział, żeby zadzwonił, jeśli kiedykolwiek będzie chciał pogadać. Albo wypalić jointa.

– Brzmi jak pierwszorzędna historia pedofilska, nie uważasz?

– Chłopak ma skończone osiemnaście lat, trochę za stary na ofiarę pedofila.

– Zwyczajny diler?

Piotr postawił przed Wandą parujący kubek i zamknął okno. Zerwał się silny wiatr, który łopotał roletą, a niebo pociemniało. Pogoda od rana była

kapryśna, przeplatając deszcz ze słońcem, i zdaje się, że nadchodziła kolejna ulewa.

– Nie sądzę. Agata go sprawdziła, to bezproblemowy dzieciak, dobre stopnie, żadnych kłopotów wychowawczych czy wykroczeń. Wychodzi na to, że od czasu do czasu zajarzał z autorem bestsellerów. Dzielił się ziołem w zamian za pogawędki o literaturze. W sam raz przed maturą z polaka.

– Wierzysz w to?

– Wierzę, że Tomczyński uczciwie rekompensował dzieciakowi te wycieczki. Pouczyłem Żuka o artykule sześćdziesiątym drugim ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii i postraszyłem jego i jego ojca, ale nie sądzę, by miał coś wspólnego z tym morderstwem.

– Skoro Tomczyńska wyjechała wczoraj rano, możliwe, że widział pisarza żywego jako ostatni. On i gosposia należą więc do podejrzanych. Skąd twoja pewność?

– Nazwij to tym. – Piotr przesunął palcem po grzbiecie wydatnego nosa. – Pan Tom był dla chłopaka kimś w rodzaju idola. Dzieciak znał wszystkie jego książki, a ostatnią trylogię mógłby cytować na wrywki i żałował, że nie ma jej w spisie lektur.

– Może mu się nie spodobało zakończenie *Krwi* i zwyczajnie dał upust swojej złości? Psychofan?

Piotr pokręcił głową.

– Nie sądzę, ale nawet jeśli, ma alibi. Jego ojciec zeznał, że gdy wczoraj o dziewiętnastej wrócił z pracy, Kamil był już w domu. Słowa ojca potwierdził sąsiad z tej samej klatki, który przed dziewiętnastą spotkał Kamila przed blokiem. Wracał zdyszany na rowerze od strony Sikor. Tymczasem Wrzosiu ustalił czas zgonu Tomczyńskiego na godziny między północą a trzecią w nocy.

Wanda w zamyśleniu pokiwała głową, ale Dereń widział, że nadal nie jest przekonana.

– Może miał współnika? Niewykluczone, że podczas poprzednich wizyt obejrzał sobie dokładnie chatę, znalazł sejf i zlecił temat kumplowi?

– Tylko co w takim razie robiło kilka stów w portfelu Tomczyńskiego? Zabrały też teleskop, który znaleźliśmy w pokoju pisarza. Wyglądał na drogi gadżet.

Przez piętnaście lat służby Piotr widział wielu kłamców. Amatorów błędzących wzrokiem po kątach i profesjonalistów, którzy opowiadali sobie jakąś historię, dopóki sami w nią nie uwierzyli. Kłamstwo wymagało dobrej pamięci i jeszcze lepszej dyscypliny. Jego zdaniem Kamil Żuk nie kłamał. On, Piotr, nauczył się wyczuwać fałsz, pod warunkiem że nie dotyczyło to jego bliskich. Syn nazwał go kiedyś ślepym szeryfem i zarzucił mu, że zdrady matki jednak nie odkrył. Miał rację. Klasyka gatunku, co wówczas stanowiło niewielką pociechę.

– Jedyne kłamstwo Żuka – powiedział z niezrozumiałym nawet dla siebie uporem – dotyczy nieznaczącej ilości marihuany na użytek własny. To zwyczajny nastolatek, który za chwilę zda maturę i pryśnie stąd do Szczecina czy Warszawy.

Wanda odebrała telefon i po krótkiej wymianie zdań zdjęła kurtkę z wieszaka.

– Możemy jechać. Tomczyńska właśnie wróciła do domu. Po wizycie u Wrzosia jest podobno w kiepskim stanie. To był twój pomysł, żeby zidentyfikowała zwłoki?

– Grzelak widziała go tylko kilka razy, a w internecie nie ma żadnych zdjęć Pana Toma. Wolałem się upewnić.

Już w samochodzie Wanda wyjęła telefon, by przejrzeć artykuły na temat pisarza i sukcesu, którego wielu musiało mu zazdrościć.

– Nikt by mu może nie dał Nike czy innej Gdyni, ale czytelnicy go kochali i każdego roku przyznawali mu swoje wyróżnienia – powiedziała w zamyśleniu.

– Te wszystkie dyplomy i puchary, które widzieliśmy w jego pokoju?

– Właśnie.

O szybko uderzyły pierwsze krople deszczu, ciężkie jak grad, Piotr włączył więc wycieraczki. Zaczął skakać po stacjach, szukając jakiegoś rocka wśród rytmicznych przebojów, i w końcu sięgnął nad nogami Wandy po płytę ze schowka. Samochodem lekko zarzuciło i przelotnie dotknął jednego z jej kolan. Szybko cofnął dłoń. Z głośników poleciała składanka Marka Knopflera, którą dostał od córki. Brakowało tu jego ulubionych kawałków, ale to wciąż był Knopfler, a nawet najśłabszy Knopfler był *the best*, zupełnie jak każdy film z Clintem Eastwoodem.

Wanda szybko referowała Dereniowi nowo zdobyte informacje. Jeśli nawet zauważyła wcześniej jego rękę przy swoim kolanie, nie dała nic po sobie poznać.

– W ciągu ostatnich ośmiu lat facet zdobył właściwie wszystko, co było do zdobycia w dziedzinie literatury popularnej.

– To znaczy?

– Cztery razy wygrał plebiscyt portalu Lubimy Czytać na książkę roku w kategorii kryminał, sensacja, thriller. Sześć razy zgarnął nagrodę Wielkiego Kalibru.

– Wielki Kaliber? – Piotr oderwał oczy od drogi.

– To nagroda literacka przyznawana od dwa tysiące czwartego roku za najlepszą polskojęzyczną powieść kryminalną lub sensacyjną. Wśród wygranych Krajewski, Miłoszewski, Chmielarz...

– Te nazwiska nic mi nie mówią.

– Naprawdę powinieneś więcej czytać. Przy czym „więcej” jest nadużyciem.

– Kąśliwa dziś jesteś, przy czym „dziś” jest nadużyciem. – Wyszczrzył się do niej. – Nie mam czasu.

– Tak mówią wszyscy, którzy nie lubią czytać. Może nie trafiłeś na swojego autora i się zniechęciłeś?

– Co masz na myśli?

– Dajmy na to, sięgnąłeś po tak zwaną mocną, męską prozę, a najbardziej spodobałby ci się *Harry Potter*?

– Mówił ci już ktoś, że przypominasz Hermionę Granger?

Wanda machnęła ręką.

– Jasne. Na pewno chodzi o wyczyny na miotle. To jest istotne. – Wbiła wzrok w ekran komórki.

– Co jest istotne?

Tym razem zamilkła na dłużej.

– Co jest istotne? – zapytał znowu Piotr.

– W listopadzie zeszłego roku do prasy przedostała się informacja o milionowej zaliczce za powieść, której jeszcze nie napisał.

– Kontrolowany przeciek z wydawnictwa?

Wanda pokiwała głową.

– Niewykluczone.

– Sporo kasy.

– Sporo. Z drugiej strony mogli sobie na to pozwolić. Chyba nie ma wydawcy, który na hasło „Pan Tom” nie dostawałby wzrodu. Nie znalazłam konkretnych danych, ale podobno jego książki sprzedawały się lepiej niż Greye, które w Polsce idą jak ciepłe bułki.

– Greye?

– *Pięćdziesiąt twarzy Greya* i mniej czy bardziej udane kopie.

– To jakiś romans?

– Romans w ubranku sado-maso. – Wanda zmarszczyła nos. – Przy czym sado-maso jest tam tylko w takiej ilości, by kobiety dostały dominującego mężczyznę, któremu mogą z rozkoszą ulec. No wiesz, w miejsce bohaterki, która chła, klnie i pieprzy wszystko, co popadnie, niczym stereotypowy samiec, jest młoda, wiotka dziewczyna przywiązana przez faceta do grzejnika, gwałcona w samolocie czy coś równie romantycznego. Tak, wiem, jestem cyniczką. – Mrugnęła.

– A ten facet jest bajecznie piękny, młody i bogaty?

– Czyli jednak czytałeś?

Piotr pokręcił głową.

– Przecież gdyby był brzydki, stary i biedny, byłaby to smętna historia o patologii i przemocy. Założę się, że wtedy kobiety nie kupowałyby tego równie chętnie. – Przyspieszył, wchodząc w kolejny zakręt. – No a ten kołek w sercu Tomczyńskiego? Wrzosiu wspominał coś o wampirach. Nasz autor o nich pisał?

– W ostatniej części trylogii pojawił się ten motyw. Przeglądam właśnie recenzje *Krwi*. Wylało mu się na głowę też sporo hejtu.

– Ze strony krytyków, którzy uważają, że literatura popularna jest głównie warta?

– Nie tylko. – Wanda założyła za ucho blond kosmyk. – Niektórzy mu zarzucali, że leci schematem.

– Czyli?

– Pisał kryminały z parą przewidywalnych bohaterów, którzy ni to się czubią, ni to lubią, a w to wszystko wplatał wątek historyczny. W ostatniej części trylogii wziął na warsztat temat pochówków antywampirycznych w Polsce. Część książki dzieje się w siedemnastym wieku.

- To wampiry jeszcze się ludziom nie znudziły?
- Najwyraźniej nie. Wampiry zawsze będą sexy.
- Bo żyją tysiąc lat?
- A do tego są egoistyczne, mądre i chude.

Piotr wyjął z kieszeni buczący telefon.

– Jesteś pewien? – rzucił w słuchawkę. – A ten facet z nadleśnictwa? Pamiętaj, że musimy to mieć na piśmie. – Schował telefon i zwrócił się do Wandy: – *À propos* wampirów. Mamy potwierdzenie, że to, co tkwiło w sercu Pana Toma, to osika. Konkretnie *Populus tremula*, topola drżąca z rodziny wierzbowatych.

Piotr skręcił na Bobolice i przez chwilę milczeli, mijając w pędzie kolejne klony i lipy. Gdy wjechali na drogę gruntową, ucieszył się, że jego leśnik ma napęd na cztery koła. Nad ranem, gdy błoto przymarzło, łatwiej było tędy przejechać. Teraz sunęli po śliskiej brei wśród rozkołysanych gałęzi, od czasu do czasu trafiając na większe wyżłobienie czy grudę. Gdy Wanda przechylała się w jego stronę, czuł zapach prochu, kawy i jej perfum. Odchrząknął.

– A ten pseudonim? Dziwne, prawda?

– Nie musiał się udzielać publicznie. Może o to chodziło? Wywiady, które wypluwa mi Google, okraszone są zdjęciami wyłącznie okładek. Casus J.D. Salinger.

Piotr obrócił się do Wandy, wysuwając szczękę i robiąc zęza.

– Pani prokurator zapomina, że u nas na wiosce o żadnych salindżerach nie gadają, chyba że to jakiś nowy pomór świń.

– Nie mów, że nie znasz Salinger. *Buszujący w zbożu*?

Mocniej ścisnął kierownicę.

– Czyli jednak coś z dziedziny rolnictwa?

– Salinger też żył w cieniu swojej literatury i nie udzielał się publicznie. Przez pięćdziesiąt lat nie było nawet wiadomo, jak wygląda, bo dziennikarze dysponowali tylko jego starymi zdjęciami.

Urwała, bo właśnie wjechali na dziedziniec przed domem Tomczyńskich. Brama nadal była szeroko otwarta, ale biały van techników zniknął już z dziedzińca. Piotr spojrzął na zegarek. Dochodziła osiemnasta, co oznaczało, że minęło jedenaście godzin od momentu znalezienia zwłok. Z niechęcią wysiedli z samochodu, bo coraz mocniej lało, a potępieńczy wiatr szarpał krzewami róż, jakby chciał je wyrwać z korzeniami. Piotr postawił wyżej kołnierz i skulił się, chcąc wcisnąć głowę głębiej między ramiona. W drzwiach stała wysoka brunetka w trampkach i czerwonej workowatej sukience. Musiała ich dostrzec przez okno. Gruby czarny warkocz przerzucony przez ramię nadawał jej raczej egzotycznego niż prząsnego wyglądu, może ze względu na bladą twarz o delikatnych rysach. Ciemne oczy spuchnięte od płaczu wyglądały jak obrysowane czerwoną kredką.

Po wyjeździe ekipy policyjnej w domu Tomczyńskich zrobiło się dziwnie pusto. Ślady krwi na posadzce dokładnie umyto i trudno się było domyślić, że jeszcze niedawno leżały tu zwłoki. Fortepian, kandelabr i niedopalone świece, wszystko to sprawiało wrażenie niezłomności i spokoju, szczególnie teraz, gdy Tomczyńska zamknęła drzwi i ucichło wycie wiatru.

Zaprowadziła ich do znanego im już salonu z wielkim owalnym oknem, wymijając po drodze walizkę podróżną, której czerwony kolor wydał się Wandzie nie na miejscu, podobnie jak kolor jej sukienki. Kojarzył się z życiem, miłością, krwią. Iza Tomczyńska podeszła do fotela w głębi pokoju i zdjęła z niego dżinsową kurtkę z nadrukiem kolorowego smoka na plecach. Wyjęła z kieszeni opakowanie chusteczek, a potem wskazała im ręką kanapę. Sama jednak nie usiadła, tylko krążyła nerwowo po pokoju. Była wysoka, blada i bardzo szczupła, a długa szyja i warkocz wijący się wzdłuż łopatek przydawały jej smukłości.

Podobnie jak zamordowany pisarz miała trzydzieści pięć lat, ale wyglądała na młodszą, pewnie za sprawą młodzieżowego stroju. Wanda wymieniła spojrzenia z Dereniem. Zdaje się, że nie ona jedna pomyślała o profesor Chmielickiej, starej pannie, która uczyła ich polskiego w szkole średniej. Nosiała nieśmiertelne garsonki w kolorze musztardowego brązu i szarości. Brąz zwiastował dyktando lub kartkówkę, a szarość – wywołanie jakiegoś nieszczęśnika do odpowiedzi. Prokurator Just spojrzała na bocianie

gniazdo zawieszony pod sufitem i zobaczyła leżącego tam pręgowanego kota. Przypomniała sobie puszkę z karmą w lodówce.

– Wcześniej uciekł do lasu – powiedziała Tomczyńska, podążając za wzrokiem Wandy. – Nie mógł znieść zamieszania i obcych zapachów. Gdy tylko wróciłam, zaczął skrobać w kuchenne okno, dopominać się o jedzenie. Dlatego właśnie Jakub wołał psy. Zawsze powtarzał, że kot przywiązuje się do domu, a pies do człowieka.

Wanda rozejrzała się wokół.

– Mieliśmy psa, pięknego border collie, ale nigdy tu z nami nie zamieszkał. Dwa lata temu zachorował i odszedł. Nie chcieliśmy przez to przechodzić jeszcze raz. Ironia losu, prawda? Z psem przynajmniej zdążyłam się pożegnać. Teraz, kiedy o tym myślę, widzę, że od pewnego czasu towarzyszyła nam jakaś taka aura. Aura śmierci. – Wzdrygnęła się, patrząc przez okno na połąć nieba zasnutego ciemnymi chmurami.

– Sprawdziła już pani, czy nie zginęło nic cennego? – zapytał Piotr. – U góry znaleźliśmy otwarty sejf. Był pusty.

Iza Tomczyńska potrząsnęła energicznie głową, a gruby warkocz opadł jej na plecy.

– Nigdy nie trzymaliśmy w domu pieniędzy. Jakub przechowywał tam skończone manuskrypty, których jeszcze nie przekazał wydawnictwu. Wydruk i wersję elektroniczną na pamięci zewnętrznej.

– W sejfie? To normalne?

– Nie mam pojęcia, co jest normalne u innych pisarzy, ale Jakub miał fioła na tym punkcie. Nie wysyłał też nigdy ukończonego tekstu mailem.

– Kurierem?

Podkomisarz wyjął z torby notes.

– Szefowa wydawnictwa odbierała paczkę osobiście. Czasem przyjeżdżała z dyrektorką sprzedaży. Jakub... Jego ostatnia trylogia była

naprawdę popularna, więc przymykały oko na tak drobną niedogodność jak konieczność wyjazdu z Warszawy do Szczecina, a ostatnio do Kuszewa. No i gotowa powieść była zawsze okazją do świętowania, przywoziły szampana i tort. Było miło. – Uśmiechnęła się blado do tego wspomnienia.

– Pani jest polonistką z wykształcenia, prawda? – zapytała Wanda.

Tomczyńska skinęła głową.

– Mąż pokazywał pani powieści jeszcze na etapie pisania? Konsultował je z panią?

Tomczyńska spojrzała na nią pobłażliwie, jak na uczennicę, która się stara, ale jej nie wychodzi.

– Jakub nigdy nie słuchał rad. Mawiał, że pisanie polega na podejmowaniu wielu różnych decyzji, a książka jest jak państwko pod rządami autokraty. Być może inni tak robią, ale nie on. Nie czytałam jego powieści, dopóki nie trafiły na półki w księgarni.

Wanda pokiwała głową.

– Wiemy z prasowych doniesień, że mąż podpisał umowę na nową powieść. Była mowa o rekordowej zaliczce. Być może skończył pracę nad tekstem i umieścił manuskrypt w sejfie? Jest taka możliwość?

Tomczyńska wzruszyła ramionami.

– Jeśli tak było, mąż nie podzielił się ze mną tą informacją. Ostatnia część trylogii, czyli *Krew*, została wydana w zeszłym roku i o ile mi wiadomo, nie skończył niczego nowego. Szampana i tortu w każdym razie nie było.

– Ale pracował nad czymś nowym? – upewniła się Wanda.

– Tak. Jego zawsze świerbiły palce do pisania. Wystarczył tydzień od ukończenia powieści, a on myślał o nowej. Czasem impulsem był sen, jakiś człowiek spotkany w sklepie czy artykuł w prasie. Ale nie jesteście tutaj przecież po to, by rozmawiać o procesie twórczym Jakuba. – Sięgnęła po

wyjęte z kurtki wymięte opakowanie chusteczek i walczyła z jego otwarciem. W końcu szarpnęła plastik paznokciem, wyciągnęła jedną byle jak i opróżniła nos.

– Nad czym teraz pracował? Zwierzył się pani?

– Podpisał z wydawcą umowę zobowiązującą go do milczenia.

– Nawet pani nie powiedział?

Potrząsnęła głową.

– Śmiałam się, że to sekret lepiej strzeżony od finału *Gry o tron*, ale tak naprawdę nie pytałam.

– Nie interesowało to pani?

Tomczyńska wcisnęła chustkę do kieszeni i złożyła przed sobą ręce na kolanach. Miała drobne dłonie, nieproporcjonalnie wręcz do wzrostu. Były pozbawione biżuterii, nie licząc prostej złotej obrączki. Milczała przez chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Ludziom z boku życie z pisarzem wydaje się ekscytujące, ale nic bardziej mylnego. On siedział z nosem w komputerze, ja miałam swoich uczniów i pracę w szkole. On pisał, ja wypełniałam arkusze ocen, tworzyłam konspekty lekcji i sprawdzałam rozprawki. Poza tym czytałam. Nie tylko jego książki. Moją ulubioną powieścią jest *Dolina Issy* Miłosza. Kto to jeszcze w ogóle zna? Moi uczniowie, jeśli ich zmuszę, ale wtedy też czytają kiepskie streszczenia w necie. – Machnęła ręką. – Poza tym śledzę nominacje do literackiego Nobla, Bookera, Pulitzera, Nike, Paszportów „Polityki”. Jestem polonistką w szkole średniej, po prostu wypada się orientować.

Końcówka wypowiedzi zabrzmiała dość pompatycznie i Tomczyńska chyba zdała sobie z tego sprawę, bo zamilkła. Dereń szukał czegoś w swoich zapiskach.

– Nie trzymaliście państwo tych pieniędzy w sejfie, ale ktoś mógł tak pomyśleć, prawda? Ktoś, kto wiedział, gdzie mieszkacie, i usłyszał o zaliczce.

Tomczyńska wzruszyła ramionami.

– Ja też uważałam, że taka informacja nie powinna zostać upubliczniona, ale wydawca przekonał Jakuba, że wyjdzie mu to na dobre. Ludzie będą chcieli sprawdzić, czy książki Pana Toma są faktycznie warte tak dużych pieniędzy, i nawet jeśli ostatecznie stwierdzą, że nie, w mediach będzie o nim jeszcze głośniej i wzrośnie sprzedaż.

– Niech mówią źle, byleby mówili?

Tomczyńska skinęła głową.

– Przepraszam, muszę się napić. Wody. Zdałam sobie właśnie sprawę, że od rana... No właśnie, a dla państwa? Powinnam przecież od razu zaproponować.

Dereń odłożył notes i podszedł do okna. Kuchnia była wystarczająco daleko, by mogli się wymienić spostrzeżeniami, ale woleli z tym poczekać. Przez chmury przebiło się kilka promieni słońca i jezioro zamigotało w dole jak klejnot.

– Obraz podzielony na cztery części to poliptyk – powiedział, wskazując podbródkiem szprosę w szybie. – Wiem od Leny. To, że studiuje historię sztuki, czasem się do czegoś przydaje. Piękny widok. Popatrz, po prawej widać Wydrzę Wyspę. – Umilkł, jakby powiedział coś niestosownego, i odwrócił się z zakłopotaniem, ale Wanda podeszła już bliżej.

Z tego poziomu można było dostrzec tylko część wyspy, a wiosenna sceneria sprawiała, że w niczym nie przypominała białego piekła z jej koszmarów. Zachowanie Derenia, naznaczone troską, było rozczulające, ale musiała w końcu stawić czoła traumie. Chyba zdawał sobie z tego sprawę?

Nie rozmawiali o wydarzeniach ze stycznia i może to był błąd. Chciała go zapytać, czy też mu się to śni, ale w tym momencie Tomczyńska wróciła do pokoju. Trzęsły jej się ręce, więc Wanda bez słowa sięgnęła po dzbanek i napełniła szklanki. Kobieta spojrzała na nią z wdzięcznością.

– Gdyby chodziło o pieniądze – powiedziała z namysłem – złodziej zabrałby chyba teleskop, prawda? Ale on tam nadal stoi, w pokoju Jakuba pod oknem. Był bardzo drogi, jak wszystkie jego zabawki.

– To było jego hobby?

– Kuba lubił patrzeć na gwiazdy, mówił, że go to odpręża. Ja tego nie lubiłam.

– Tego, że miał hobby?

– Gwiazd. Ich widok sprawia, że czuję się tu jak ostatni albo jak pierwszy człowiek na Ziemi. Jakby ten dom był statkiem kosmicznym, a my dwojgiem astronautów, którzy z jakiejś przyczyny nie mogą wylądować.

Wanda zaczynała rozumieć, że to nie Tomczyńska zdecydowała o przeprowadzce do leśnej głuszy.

– Musimy panią o to zapytać, choć to trudne – powiedziała. – W serce pani męża wbito drewniany kołek i mamy potwierdzenie, że wystrugano go z osiki.

– Osikowy kołek? To jakiś chory żart? – Zacisnęła ręce na szklance tak mocno, że Wanda obawiała się, że zaraz się pokaleczy.

– Niestety nie. Musi pani przyznać, że to bardzo osobliwe.

Kobieta pokręciła głową, ale za chwilę podniosła wzrok na Wandę, jakby coś jej się przypomniało.

– Po wydaniu *Krwi* Jakub dostał w prezencie od swojego wydawcy zestaw pogromcy wampirów. Taki prezent zrobiony dla niego na

zamówienie, dla śmiechu. Trzymał go w garażu i przypuszczam, że nadal tam jest. – Poderwała się z miejsca.

– Proszę niczego nie dotykać. – Dereń podniósł się z miejsca. – Pójdę tam z panią.

Wrócił po kilku minutach z postarzaną walizką stylizowaną na piknikową, ale w środku, zamiast butelki wina, kieliszków, talerzyków i korkociągu, były krzyż i modlitewnik oraz dwa puste miejsca w kształcie osikowego kołka i młotka.

Cóż, jedna tajemnica z pewnością się wyjaśniła. Tomczyńska zamrugała. Miała tak przekrwione oczy, że jej białka wydawały się różowe.

– Nic z tego nie rozumiem. – Opuściła głowę.

– Kto jeszcze wiedział o tej walizce?

– Marta Grzelak, ludzie z wydawnictwa, moja matka, rodzice Jakuba. Mąż lubił się chwalić tym nietypowym prezentem.

Dereń i Wanda wymienili spojrzenia.

– A Kamil Żuk? Wiedział o tej walizce?

Tomczyńska drgnęła na dźwięk nazwiska ucznia i przesunęła palcami po czole.

– Kamil Żuk? A co on ma z tym wszystkim wspólnego?

– Wiedziała pani, że odwiedzał tu czasem pani męża?

– Kamil Żuk tutaj? Odwiedzał Jakuba? – Wyglądała na autentycznie zdziwioną. – Ale po co?

– Podobno dostarczał pani mężowi trawkę.

– Jest pani pewna? To jakiś obłąd. – Tomczyńska potrząsnęła głową. – Wiedziałam, że Jakub wypala czasem jointa, mówił, że to go otwiera, pozbawia blokad i lepiej mu się pisze, ale byłam przekonana, że dostaje to od ludzi z wydawnictwa, z Warszawy.

– Czy ten chłopak... – zaczął Dereń, ale nie dała mu skończyć. Odstawiła szklankę na stół.

– Kamil? Chyba go nie podejrzewacie?

– Był u państwa w domu kilka razy. Ostatnio wczoraj po południu – powiedziała Wanda. – Możliwe, że znał kod instalacji alarmowej, a na pewno znał rozkład domu i możemy chyba zakładać, że pani mąż jemu również pokazał tę walizkę? Poza tym chłopak wiedział, kim tak naprawdę jest pani mąż. Wiedział, że ma do czynienia ze słynnym Panem Tomem.

Tomczyńska zdawała się przebywać za niewidzialną szybą. Jej twarz zgasła i kobieta nie patrzyła już na Wandę, tylko na jakiś punkt za jej plecami.

– To niemożliwe – powiedziała.

– Niemożliwe, by wiedział?

– Niemożliwe, by Kamil miał z tym coś wspólnego. To dobry dzieciak, w dodatku wrażliwy. Jedyne w klasie, co ja mówię, jedyny w szkole, który czyta coś jeszcze poza bzdurami w sieci. Być może jest na tyle głupi, by handlować trawką, ale nie zabił mojego męża! Chryste. Co to w ogóle za pomysł? – Potrząsnęła głową. – A instalacja alarmowa? No właśnie, mamy przecież przed domem kamery, coś się musiało nagrać!

– Są dwie kamery – potwierdził Piotr. – Główna znajduje się przy drzwiach wejściowych, a dodatkowa z tyłu domu, od strony jeziora. Ta pierwsza zarejestrowała jedynie przyjazd Marty Grzelak dziś rano, o siódmej dwadzieścia siedem. Nikt więcej nie wchodził wtedy ani stąd nie wychodził.

Tomczyńska spojrzała na niego z gasnącą nadzieją.

– A tę na tyłach ktoś wyłączył wczoraj o szesnastej. Firma ochroniarska obsługująca państwa system uważa, że mógł to zrobić pani mąż. Podobno zdarzało się to już wcześniej.

– Niech zgadnę – westchnęła z rezygnacją – zawsze, gdy przyjeżdżał do niego Kamil?

– Być może. – Dereń schował notes do torby. – Bardzo proszę, by się pani dokładnie zastanowiła nad listą osób, które znały kod instalacji alarmowej, oraz tych, które mogły wiedzieć o zestawie z osikowym kołkiem. To ważne.

Tomczyńska skinęła głową.

– Musimy też zapytać, gdzie spędziła pani ostatnią noc – dodała Wanda. – Bo jak się pani domyśla, wiemy już, że nie było żadnej wycieczki klasowej.

Dwupokojowe mieszkanie, które Wanda wynajmowała na ostatnim piętrze kamienicy, pod numerem siedemnaście, po spędzeniu wielu godzin w leśnej rezydencji Tomczyńskich wydało jej się ponure i ciasne. Owszem, mogła stąd dojść na piechotę do trójkąta bermudzkiego, czyli sądu, prokuratury rejonowej i komendy powiatowej, ale nagle ta zaleta, którą tak zachwalał pośrednik, przestała być dla niej istotna.

Za oknem, zamiast lasu i tafli jeziora, widziała auta stłoczone na parkingu jak w komisie samochodowym, ławkę upstrzoną graffiti i wierzbę, która o tej porze roku była jeszcze zbyt łyśa, by zapłakać. Jej pensja prokuratora rejonowego z pewnością nie wystarczyłaby na zakup luksusowej rezydencji z basenem i widokiem na Komorze, ale przez chwilę rozważała zakup poniemieckiego domku w okolicy. Włączyła nawet laptop i zaczęła przeglądać oferty w pobliżu Drawska Pomorskiego, ale zaraz zamknęła okno wyszukiwarki i potarła zmęczone oczy.

Czy naprawdę wyobrażała sobie, że podczas swoich krótkich urlopów będzie siać i pielic ogórki? Może jeszcze ukończy kurs serowarstwa i zacznie hodować kozy? Tobiasz, trzydziestoletni policjant z zespołu Derenia, wspominał ostatnio, że jest popyt na wyroby z koziego mleka, więc zbyt miałyby zapewniony. Poza tym dołączyłaby kolejny certyfikat do swojej bogatej kolekcji. Zawsze była przecież dobra w przyswajaniu wiedzy. Owszem, znała pewną prokurator, która po przejściu na emeryturę

wyjechała na wieś i zajęła się agroturystyką oraz hodowlą pszczół. Tyle że jej do emerytury zostało jeszcze wiele lat, a poza tym co tu myśleć o kozach, skoro nie potrafi zadbać nawet o kwiatek w doniczce. Obrzuciła zniechęconym spojrzeniem na wpół uschniętego storczyka, którego dostała w prezencie urodzinowym w zeszłym roku. Było to tak banalne, że prawie śmieszne.

Podeszła do kuchennego kredensu ustawionego w pokoju i zawalonego książkami. Nie było tam niestety żadnej powieści Pana Toma. Po pogrzebie ojca Natalia spytała, czy siostra chciałaby wziąć z mieszkania coś po rodzicach, bo zamierzała je wyremontować i umeblować od nowa. Wanda wybrała ten kredens, część książek mamy i przedziwny obraz, który mieszkająca z nimi babka od strony ojca wywiozła aż spod Równego. Przedstawiał melancholijną twarz młodej kobiety i zastąpił koszarne landszafty, które wisiały tu wcześniej. Na półkach piętrzyły się prawnicze tomiszczą jeszcze z czasów studiów, w dużej mierze nieaktualne encyklopedie zabazgrane przez ojca czerwonym długopisem, ale też książki Atwood, Updike'a, Tokarczuk. Wrzos miał rację: nie czytała tak zwanej literatury popularnej. Przepadała za nią za to jej matka. Zmarła jednak, zanim Pan Tom wydał pierwszą powieść.

Wanda przypomniała sobie charakterystyczny błysk w oku mamy, gdy przynosiła do domu nową zdobycz z biblioteki, w której pracowała. Najczęściej były to książki przeznaczone na makulaturę, do tak zwanego ubytowania. Nikt ich nie czytał lub przeciwnie, rozpadały się w palcach od częstego wypożyczenia. Wanda powędrowała palcami do półki z książkami i wyjęła *Czarodzieja samotności* Nicholisa. Okładka była tak zniszczona, że matka zastąpiła ją kartką wyciętą z grubego brystolu i opisała swoim ładnym, równym pismem. Ojciec marudził i nazywał te książki makulaturą, ale chodziło mu tak naprawdę o coś innego. Potępiał beletrystykę, marną

rozrywkę, świat ułudy, w który matka uciekała przed tym, co działo się w kraju, w polityce. Wanda wiedziała jednak od Natalii, że przed śmiercią sam zaglądał do tych książek. Nie sądziła, by je czytał. Nie był już chyba w stanie. Wyobrażała sobie, że głaszczce ich wielokrotnie klejone przez matkę grzbiety. Dotyka taśmy odchodzącej na brzegach, tam gdzie kompletnie wysechł już klej.

Zrobiło jej się cholernie smutno. Puściła wodę do wanny i rozpięła suwak ciemnej spódnicy. Zbyt nerwowo. Zakłęła, gdy zahaczył o rajstopy i oczko, które poleciało na wysokości lewego uda, utorowało sobie drogę poniżej kolana. Wyrzuciła podarte rajstopy do kosza. Dochodziła dwudziesta trzecia i sąsiad z mieszkania na dole niechybnie usłyszy dudnienie w rurach, które niczym tam-tamy obwieści mu, że oto Wanda zmywa z siebie kurz i brud dnia. Czuła jednak, że po ostatnim razie, gdy otworzyła mu drzwi owinięta w sam tylko ręcznik, nie przyjdzie z pretensjami.

Musiała się wyszorować. Dopiero za kilka dni trupie wonie z miejsca zbrodni i prosekatorium znikną z tej części mózgu, która odpowiada za bodźce zapachowe, ale chciała się ich pozbyć ze swojej skóry i włosów. Uczestniczyła w tylu sekcjach, że drastycznymi obrazami mogłaby wypełnić swoje i cudze koszmary do końca życia. „Nie przyzwyczyłaś się jeszcze?” – spytała ostatnio jej siostra. Wanda pomyślała wtedy o zgrzycie narzędzi, fartuchu Wrzosa zachlapanym krwią i jego masce pokrytej kurzem piłowanych kości. Przypomniała sobie smród krwi i niemal namacalny odór rozkładających się zwłok, jakby wydostawało się z nich coś obcego i wgryzało się w tych, którzy pozostali przy życiu. Nie, do tego nie można przywyknąć.

Wanda zakręciła kurek i w rurach odezwał się ostatni potępieńczy jęk. Wybrała na odtwarzaczu *Wielką Mszę h-moll* Bacha i pozwoliła, by jej

głowę wypełniła muzyka z nieistniejącego już świata. Zanurzyła się w gorącej wodzie i przymknęła oczy. Nie zdziwiła się, gdy Tomczyńska przyznała, że wymyśliła to kłamstwo na użytek męża i gosposi. Wiedziała, że nie będą jej sprawdzać. Znalazła zastępstwo dla swoich czwartkowych i piątkowych lekcji i wyjechała do Szczecina. Ostatnio w ich małżeństwie podobno nie układało się najlepiej i chciała wszystko przemyśleć. Co tam robiła? Och, nic takiego, wynajęła pokój na jedną noc w hotelu Baszta. Poszła na długi spacer do miejsc, które były jej bliskie. Większą część życia spędziła w Szczecinie, to chyba normalne, że tęskniła.

Wanda uznałaby nawet tę historię za przekonującą. Trzydzieści pięć lat to wiek dobry jak każdy inny na coś w rodzaju kryzysu tożsamości, ale kobieta za bardzo skupiła się na relacjonowaniu im spaceru ze wszystkimi szczegółami, a za mało na pobycie w hotelu. Wanda czuła, że w tle jest jakiś mężczyzna, którego w obecnej sytuacji Tomczyńska postanowiła chronić. Głupio i na próżno, bo sprawa była zbyt poważna, ale kobieta była w szoku i jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy. Dotrze to do niej, gdy pod posesję zjadą się wozy transmisyjne wszystkich ważniejszych telewizji, które prawdopodobnie już były w drodze. Komunikat prasowy był krótki i ucinał spekulacje, ale ofiarą morderstwa padł znany pisarz, który od lat ukrywał się pod pseudonimem. Wiadomo było, że media rzucą się na ten temat i szybko nie odpuszczą.

Tomczyńska przekazała Wandzie i Dereniowi krótką listę osób, które według niej znały kod do alarmu. Byli na niej Marta Grzelak, rodzice zamordowanego pisarza i jej matka, która podobno lubiła wpadać bez zapowiedzi. Dereń wysłał Tobiasza do hotelu w Szczecinie, by zweryfikował alibi Tomczyńskiej, a sam postanowił jeszcze raz przesłuchać gosposię, a także jej męża i dorosłe dzieci. Nie chciało mu się wierzyć, że naprawdę nie wiedzieli, kim jest Pan Tom, nawet jeśli książkami palili

w piecu. Grzelak mogła wyczytać w prasie o milionowej zaliczce i zadać sobie szybkie pytanie, dlaczego pani Iza nie każe jej sprzątać w pokoju męża i co też tam mogą ukrywać.

Wanda natomiast nadal zastanawiała się nad młodym Żukiem. Mógł przecież złożyć pisarzowi jeszcze jedną wizytę, nocą. Być może za drugim razem przyplłynął łódką z kumplem, któremu obiecał połowę kasy. Znał kod i wiedział, że pisarz będzie w domu sam, w dodatku upalony trawką. Kamil znał przecież tożsamość tego faceta i na pewno słyszał o milionowej zaliczce.

Woda w wannie dawno już zrobiła się letnia, ale Wanda tego nie czuła. Wyobraziła sobie dwóch nastolatków w kapturach, którzy cumują przy pomoście i wspinają się po skarpie. Kamil tym razem nie dzwoni, tylko staje pod oknami od strony jeziora i woła Pana Toma. Gdy pisarz otwiera mu tylne drzwi, w ślad za nim wślizguje się ten drugi. Zmuszają Tomczyńskiego, by otworzył sejf, który okazuje się pusty, i kumplowi puszczają nerwy. Spanikowany Kamil wpada na pomysł, by upozorować morderstwo przez świra, który po przeczytaniu *Krwi* uznał, że Pan Tom jest wampirem. Żuk zna przecież jego książki i wie doskonale, gdzie znajdzie młotek i osikowy kołek, bo pisarz pokazywał mu wcześniej zestaw.

W jej rozmyślania wdarł się dzwonek telefonu. Dochodziła północ i o tej porze mogła to być tylko jedna osoba.

– Obie recepcjonistki, z dziennej i nocnej zmiany, pamiętają Izę Tomczyńską i potwierdzają jej alibi – zaczął Dereń bez zbędnych wstępów. – Ta z nocnej pamięta też jednak chłopaka, który się tam pojawił niedługo po tym, jak zaczęła zmianę.

– Zameldował się?

– Nie, początkowo nawet nie wszedł do środka. Tomczyńska zjechała po chwili windą i do niego wyszła. Zniknęli jej z pola widzenia, ale

w socjalnym ma okno, które wychodzi na parking na tyłach hotelu, i podejrziała stamtąd, jak chodzą i rozmawiają, trwało to dobrą godzinę. Zwróciła na nich uwagę, bo chłopak był bardzo młody i wzięła go nawet za syna kobiety. W hotelu widzą różne sytuacje, ale na ogół różnica wieku jest w drugą stronę. Później Tomczyńska wróciła do środka, a on włókł się dwa metry za nią, ale do windy wsiedli już razem.

– Recepcjonistka opisała tego chłopaka?

– Dość dokładnie. Wracam właśnie z Czaplinka. Pojechałem jeszcze raz porozmawiać z Kamilem Żukiem i jego rodzicami.

Wanda usłyszała w słuchawce brzdęk sztućców i odsuwane talerza.

– Bo tym razem w mieszkaniu była też matka młodego, a on najwyraźniej trzęsie przed nią portkami. Postraszyłem go, żeby lepiej od razu się przyznał, bo nie ma alibi na tę noc. Sąsiad widział go, jak wraca rowerem, ale o dziewiętnastej, czyli na długo przed śmiercią Jakuba Tomczyńskiego. Jego ojciec wprawdzie poświadczył, że chłopak spędził noc w domu, ale jak sam przyznał, wypił kilka piw i zasnął. Powiedziałem młodemu, że do tej pory był grzecznym, miłym chłopcem i będzie to stanowiło w sądzie okoliczność łagodzącą. Dostanie dwadzieścia lat i wypuszczą go po piętnastu za dobre sprawowanie.

Wanda wyszła z wanny i zawięła się w ręcznik. Dopiero teraz zaczęła szczękać zębami.

– Po wyjściu z pierdła będzie po trzydziestce, a to jeszcze nie za późno, by snuć plany na przyszłość. W więzieniu można się dużo nauczyć, skończyć nawet studia zaoczne. Jego matka zaczęła wrzeszczeć, że staram się wydusić z jej syna przyznanie się do winy i to jest niezgodne z prawem.

– Chłopak może ponosić odpowiedzialność karną, odkąd skończył siedemnaście lat – mruknęła Wanda. – Mam nadzieję, że jej to uświadomiłeś. Tej nocy, gdy zginął Pan Tom, był w hotelu w Szczecinie?

Naciągnęła na pośladki długi czarny T-shirt, którego używała do spania, i poprawiła słuchawkę w prawym uchu.

– Tak, i to nie ja, tylko matka wydusiła z niego to wyznanie. Nie, nie zamordował Pana Toma, ale miał romans z jego żoną.

To nie tak. Dereń wcale się nie cieszył, że kolejny szaleniec, który we własnym mniemaniu otarł się o wzniosłość, odebrał życie Jakubowi Tomczyńskiemu. To, że zamordowany napisał przed śmiercią kilka bestsellerowych powieści, było w jego odczuciu drugorzędne. Podobnie jak to, że zdradzała go żona, bo przecież nie jego pierwszego i nie jego ostatniego. Facet miał trzydzieści pięć lat, w głowie maszynkę do robienia pieniędzy i dość czasu, by znaleźć wierniejszą kobietę na resztę życia.

Cieszył go natomiast fakt, że musi w związku z tym odwołać dzisiejsze spotkanie z Joanną. Po raz pierwszy zaprosiła go do siebie na kolację, a ponieważ była to ich szósta randka, sobotnia kolacja mogła potrwać do niedzielnego śniadania. Jej też musiały chodzić po głowie takie myśli, bo wspomniała, że jej córka spędza ten weekend u swojego taty w Koszalinie.

Teraz jednak zadzwonił, by odwołać spotkanie, i miał doskonały powód, a zdjęcia tego powodu, z osikowym kołkiem wbitym w serce, leżały przed nim w otwartej teczce. Siedział przy stole w salce konferencyjnej komendy, zadowolony z obrotu spraw, bo dotarło do niego z opóźnionym zapłonem, że to właśnie perspektywa niedzielnego śniadania budzi jego obawy. Kumple Piotra mieli przez lata formalne i mniej formalne związki. W ich opowieściach pojawiały się żony, dupy, kochanki, baby, o których chętnie opowiadali. Żonę, jedną i tę samą, dopóki go nie

zostawiła, miał tylko on. Jakkolwiek dziwnie to brzmiało w dzisiejszych czasach, Anka, jego eks, była jego pierwszą i jedyną.

– Chłopaki czują się przy tobie niekomfortowo – powiedział mu kiedyś Iwanowski, zwany przez wszystkich Iwanem.

– Czy ja kogoś oceniam?

– Kurwa, Piotrek, jesteś jak procesja na Boże Ciało, która wyśpiewuje pod oknami ateistów, że Pan Jezus już się zbliża.

Z czasem Dereń awansował na szefa dochodzeniówki i sprawy się uprościły. Nawet jeśli ktoś czuł się przy nim niekomfortowo, opowiadając o swoich podbojach, nie narzekał.

Piotr spojrział na Tobiasza i Agatę, którzy siedzieli pogrążeni każde we własnej ciszy, i otworzył elektroniczny notes – prezent od syna. Zapęniał go drobnym maczkiem, bo nadal nie miał pojęcia, jak hashtagować i przenosić zapisany tam tekst na komputer. W krótkim czasie stał się facetem z e-papierosem i e-zeszytem, ale w gruncie rzeczy nadal czuł się technologicznym idiotą.

Fundusze, które wygospodarował Iwanowski przed odejściem na emeryturę, nie dotarły do konferencyjnej i panował w niej klimat salki katechetycznej z dzieciństwa Piotra. Ten sam stęchły zapach i ascetyczne meble pamiętające późnego Gierka, jasne linoleum na podłodze. Jedyнным ukłonem w stronę współczesności były rolety w zielonkawym kolorze, które Dereń opuścił do połowy, gdy kwietniowe słońce zaczęło ostro świecić w szyby.

– Wydostałaś z wydawnictwa te dane? – zapytał Agatę, która odsunęła się dalej od stołu i wyciągnęła przed sobą długie nogi w dżinsowych ogrodniczkach.

– Napisał osiem kryminałów przetłumaczonych na kilkanaście języków europejskich – wyrecytowała dziewczyna. – Angielski, niemiecki,

szwedzki, francuski, czeski, słowacki, rosyjski, hiszpański, włoski i – zajrzała z niedowierzaniem do swoich notatek – tak, na islandzki też. Każdy zyskał status bestsellera, a część doczekała się wznowień.

Jej kręcone czarne włosy były dziś jeszcze bardziej nieujarzmione niż zwykle, ale nie to przykuwało uwagę, tylko sporej wielkości brzuch, który stanowił niemal odrębny kształt przyklejony do jej wysportowanego ciała. Była w szóstym miesiącu ciąży i już w styczniu oświadczyła, że nie zamierza iść na zwolnienie, bo ciąża to fizjologia, nie patologia. Piotr starał się, by więcej czasu spędzała za biurkiem, a nie w terenie, ale nie mógł zrobić nic więcej. Inna sprawa, że potrzebowali ludzi. Miał nadzieję, że Świder szybko zatwierdzi przyjęcie kolejnej osoby.

Agata zakręciła na palcu obrączką. Jej skromny i przyspieszony przez ciążę ślub odbył się na Wielkanoc.

– Stał się kimś w rodzaju literackiego Midasa. Wszystko, co napisał, zamieniało się w złoto – dodała, jakby nie wierzyła w dostateczną znajomość mitów greckich przełożonego.

– O jakich pieniądzach mówimy? – zapytał Piotr.

– Gdy zapytałam o nakłady i konkretne kwoty, dyrektor sprzedaży nabrała wody w usta, ale do rozmów włączyła się prokurator Just i godzinę temu dostałam szczegółowe dane. Każda z części ostatniej trylogii rozeszła się w nakładzie pół miliona egzemplarzy, i to tylko w języku polskim! Łącznie zarobił w zeszłym roku na książkach dziesięć milionów złotych, a teraz tantiemy będą płynąć szeroką rzeką do jego spadkobierców.

– Czyli do żony?

Skinęła głową. Tobiasz, który do tej pory siedział jak rzeźba, otworzył laptop. Jego wygląd w ostatnich miesiącach też się zmienił. Piotr często go spotykał na nowej siłowni i obserwował efekty jego wysiłków. Do tego w ramach kulinarnych eksperymentów młody przestawił się z diety

wegetariańskiej na jaskiniową, opartą głównie na mięsie, i wraz z nią nabral jaskiniowego uporu. Owszem, robił to, co do niego należy, ale myślami był gdzie indziej. Jakby zaciął się w sobie.

– Zgadza się – powiedział, wierząc się niespokojnie na krześle. – Nie zostawił testamentu i w tej sytuacji wszystko dziedziczy Iza Tomczyńska. Miała więc motyw, szczególnie teraz, gdy wiemy, że go zdradzała. Swoją drogą, nadal wydaje mi się to dziwne. – Wzruszył ramionami. – Co dojrzała kobieta robiła z takim dzieciakiem?

– To idealny moment wyrównania libido u kobiety i mężczyzny – mruknęła Agata. – Podobno czekali, aż Kamil zda maturę, by nie wywoływać w mieście skandalu. Dopiero wtedy mieli wyjechać. Tomczyńska planowała rozwieść się z mężem.

– I odpuścić całą tę kasę? Nie wydaje mi się – burknął Tobiasz. – Kobiety w tym wieku mają wysokie libido, ale jeszcze wyższe oczekiwania finansowe.

Piotr obserwował, jak tych dwoje z coraz większą złością odbija niewidzialną piłeczkę, i czuł, że lada chwila ktoś oberwie. Wiedział, że Tobiasz nadal przeżywa ślub Agaty, z którą, zdaje się, coś go łączyło. Jeśli myślał, że ostatecznie wybrała Wiktora ze względu na pieniądze, naprawdę miał w sobie dużo żalu do dziewczyny. No i chyba był ślepy, bo jej ciąży nie można już było przeoczyć.

– A gdyby Kamil Żuk zdążył wrócić ze Szczecina? – zwrócił się do Tobiasza.

– Nie ma takiej opcji. Tomczyńska zjechała z chłopakiem do lobby około szóstej rano. On wyszedł z hotelu, ona została. Recepcjonistka z nocki pamięta to dokładnie, bo zainteresowała ją ta para. Podobno rano nadal sprawiali wrażenie pokłóconych. Ona miała czerwone oczy, a on włożył kaptur na głowę i wyszedł.

- Nie odrzucałabym motywu rabunkowego – wtrąciła Agata.
- Tylko dlaczego dopiero teraz? O milionowej zaliczce w gazetach pisano już w listopadzie. Sprawdziłaś alibi gosposi, jej męża i dzieci?
Skinęła głową.
- Na ten moment każdy szczegół się zgadza, ale mimo wszystko bym ich jeszcze nie skreślała.
- Jakiś psychofan, który odkrył prawdziwą tożsamość Pana Toma i jego adres? – rzucił Tobiasz.
- Znalazłeś coś na jego komputerze? – zapytał z nadzieją Piotr.
- Skopiowałem zawartość dysku. Całe szczęście nie było tego dużo i żadnych zasieków.
- Zasieków?
- Programów kasujących zawartość komputera po jego nieupoważnionym uruchomieniu. Spodziewałem się czegoś takiego, biorąc pod uwagę paranoję pisarza, jeśli chodzi o jego, o jego... – szukał przez chwilę słowa – manuskrypty. Miał wyjątkowy porządek, dawno takiego nie widziałem. Większość ludzi nie sprząta, że tak powiem, w obejściu, dotyczy to szczególnie niemakowców.
- Niemakowce? – Piotr poczuł, że gubi się w żargonie Tobiasza.
- Windowsowcy. Plują na Microsoft, a wystarczyłoby trochę higieny. Od czasu do czasu jakaś defragmentacja dysku, czyszczenie rejestrów...
- Ale coś znalazłeś?
- No, jest tam trochę plików, głównie zdjęcia planet, znakomite zresztą. Pierścienie Saturna, chmury na Jowiszu, Mars. Każdy plik ze zdjęciem został odpowiednio opisany i skatalogowany.
- Tomczyńska wspomniała, że pasjonowały go obserwacje astronomiczne. Teleskop stoi pod oknem w jego pokoju. W Kuszewie są

idealne warunki do podziwiania nocnego nieba, kompletne zaciemnienie.
Coś jeszcze?

– Projekty i plany architektoniczne, arkusze Excel z rozliczeniami prac budowlanych, dokumentacja z czasów budowy domu, która zakończyła się dwa lata temu.

– No a powieść? – zapytała Agata, nadal bawiąc się obrączką.

– Właśnie. Nie było tam nic, co w jakimkolwiek stopniu przypominałoby powieść. Ani jednego akapitu.

– Może miał blokadę? To się przecież zdarza. – Obrączka wyślizgnęła się Agacie z palców i potoczyła po stole, a Tobiasz złapał ją w garść.

– Kto wie. – Spojrzał w zagłębienie dłoni, jakby krył się tam odrażający owad. – Ale uważam, że powinniśmy też rozważyć inną opcję. Skoro wiemy, że miał paranoję i ukończone powieści trzymał w sejfie, niewykluczone, że ją skończył, a po wydrukowaniu manuskryptu i nagraniu pliku na pendrive usunął go od razu z laptopa i włożył do sejfu. A stamtąd – oddał Agacie obrączkę – tekst zniknął.

BORNE SULINOWO, 21 PAŹDZIERNIKA 1992 ROKU

Jagoda stoi wraz z innymi na leśnej skarpie i patrzy, jak na rampie przy drodze do Łubowa szykują się do odjazdu ostatnie radzieckie, a w zasadzie rosyjskie już wojska. W ciągu czterdziestu siedmiu lat stacjonująca tu armia zdążyła trzy razy zmienić nazwę. Przyjechała Armia Czerwona, stacjonowała Radziecka, a wyjeżdża Armia Federacji Rosyjskiej. Tacy czy owacy, czort ich brał, mruczy Jagoda pod nosem, na tyle głośno, by usłyszał ją mąż. Różni się od niej pod każdym względem. To flegmatyczny blondyn o delikatnej skórze, z piegami, które układają się w złociste archipelagi na ramionach.

– Mamooo, będzie wojna? – Córka ciągnie ją za rękę. Jest zaniepokojona, wyraźnie nie chce już tu być.

– Nie będzie żadnej wojny – odpowiada Jagoda, choć słyszała wcześniej od Igora, że pokój wisiał na włosku.

W końcu to on każdego dnia stał przed podświetlaną mapą, zajmującą całą ścianę. Lampki, gdy je podłączyć do prądu, zapalały się jak te choinkowe, a każda oznaczała odrębny cel. Igor mówił, że gdyby do tego doszło, ta część zachodniej Polski zamieniłaby się w jeden wielki atomowy rów. Opowiadał jej znacznie więcej o sprawach, o których Jagoda nigdy nie zamierza mówić.

– Gdzie to wszystko pomieścili? – pyta obcy mężczyzna, który przystanął obok. Wpatruje się w odjeżdżające pociągi, czarny zygzak wagonów z czołgami, transporterami i żołnierzami.

Wygląda to tak, jakby wysiedlano średniej wielkości miasto, i w istocie tak jest. Przed wojną stacjonowali tu żołnierze niemieccy, później radzieccy, a teraz mówi się, że przyjdzie wojsko polskie. Sporo ludzi zjechało się tu dziś, w miejsce od lat oznaczane na mapach jako niezamieszkałe tereny leśne, by bez żalu pomachać ruskim na pożegnanie.

– No jak to gdzie? – odpowiada mąż Jagody. – Osiemnaście tysięcy hektarów, panie, oj, mieli gdzie sobie postrzelać. A ilu dokładnie ich było, to nikt nie wie. Wiesz pan, jak to jest. Tołku nie dojdiesz. Prawdy nie dowiemy się nigdy.

Jagoda zna prawdę, ale się nie odzywa. Dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy to spore wojsko, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że przez lata ulokowane było w obcym państwie, w środku kompletnej głuszy. Generał Dubynin, zwany oficjalnie afgańskim lwem, a w kuluarach żołdakiem z Legnicy, powiedział, że wyjadą z Polski z honorem, na swoich warunkach. Tymczasem wszędzie tylko te kontenery, meble i bety, brudne materace wojskowych i cywili. Nie wygląda to wcale jak „z honorem”, gdy żony żołnierzy upychają po wagonach nadprute poduchy. Między nimi poszczekują Szariki, których w Bornem było mnóstwo. Szarik na każdą klatkę.

Jagoda, jej mąż i ten obcy stoją oczywiście daleko, nie mogli podejść bliżej, ale ogrom transporterów i tak robi wrażenie. Kobieta przykłada ręce do oczu, zawijając palce w kształt lornetki. Minie dobrych kilka godzin, zanim wagony znikną i na rampie zostanie tylko trochę pierza, połamanych desek i psich odchodów.

– No a czołgi? Liczył pan? – pyta Władek, bo tak ma podobno na imię ten facet.

To fan militariów z Koszalina. Sam chciał do woja, ale go nie wzięli ze względu na wadę serca. Ma miłą i nijaką twarz, którą od razu się zapomina.

– Może ze dwieście, ale to jeszcze nic – odpowiada mu mąż Jagody. – W zeszłym roku wyjechało już podobno trzysta pięćdziesiąt czołgów i z tysiąc transporterów. Pan do tego doda samoloty bojowe, śmigłowce opancerzone i setki ton amunicji.

– A atomówki też tu jakieś mieli? – pyta facet szeptem.

– Gdzie tam, nie mieli.

– Nie wierzę – mówi Władek z Koszalina, a jej mąż niezobowiązująco kiwa głową.

Ostatecznie nie wiadomo, czy się zgadza z nowym znajomym, czy nie.

– Mamooo, to kanfietów już nie będzie? – pyta Iza, ciągnąc ją za rękaw.

Dali jej tak na imię na cześć Izabeli Trojanowskiej, którą uwielbia jej mąż. Jagoda Trojanowskiej nie poważa, bo jak miałyby poważać kogoś, kto tylko chce „polecieć z ramion twych wprost do nieba, do nieba”. O nie, dziękuję. Zdecydowanie woli Maanam. Zdarła zdobywczy *Nocny patrol* na gramofonie, ale Igor, zanim zniknął, załatwił jej nową płytę. Igor wszystko potrafił zorganizować.

Słuchała Maanamu przez cały czas, gdy Iza była w pieluchach, a mąż w pracy. Szczególnie kawałka *Jestem kobietą*. Prała zasikane tetry do dźwięków *Jestem kobietą*. Gotowała ziemniaki z łubinem w miękkich łupinach, bo takie jej mąż lubił najbardziej, nucąc: „Mam w domu szafę bardzo starą, z podwójnym dnem, z lustrami dwoma. Gdy zaczną strzelać za oknami, będziemy w szafie żyć”. Mała dostawała kolek, darła się czasem wniebogłosy, ale na szczęście mieli jedną tylko sąsiadkę na piętrze, a ona nie zgłaszała pretensji. Przy czwórce maluchów był u niej wieczny rejwach.

– Mamusiu, to kanfietów już nie będzie? – powtarza Iza marudnym tonem i staje na palcach, wyciągając wysoko główkę.

Nawet podobna jest bardziej do Kory z Maanamu niż do tej całej mimozy Trojanowskiej. Oczy ma czarne jak guziczki, ładnie wykrojone usteczka i żywą naturę, jakby ktoś ogień podłożył. Ogoń, powiedziała by Igor.

– Jakich znowu kanfietów, dziecko?

– Tych dobrych, czekoladowych, co je Żenia w sklepiku sprzedawał. Wiesz, ten Żenia, co znaczki nam rozdawał do wpięcia w kołnierzyk.

– To już lepiej tego nie wspominaj. Nie pamiętasz, jak dostałaś w tyłek?

Wstęp na teren radziecki był przez te wszystkie lata surowo wzbroniony, z każdej strony teren ten otaczały mury, wartownie, druty i *awtamobilnyje* punkty kontrolne. Miejscowi jednak zawsze znaleźli sposób. Fajki i znajomości jako przepustki. Inaczej z kim by wojacy mogli handlować? Sami czasem jeździli po wioskach z kanistrami ropy i wymieniali na wiejskie żarcie albo na złotówki. Potem i Polacy rozstawiali pod wartownią stoły i sprzedawali futra z lisa, garnki, prodiże, dywany. No a dzieciarnia jak to dzieciarnia, zawsze znalazła jakiś sposób. Rok temu pięcioletnia wówczas Iza wybrała się ze starszymi dziećmi na eskapadę do dobrze wyposażonego sklepiku za wartownią. Choć zajmował się nią dwunastoletni syn sąsiadki, Jagoda oberwała od męża.

– Gdzieś ty była, zamiast dzieciaka pilnować? Pewnie znowu słuchałaś tej durnej hipiski.

Jej mąż nie znosił Kory, uważał, że to zła kobieta. Był prostym człowiekiem o prostych skojarzeniach. „Zdrada, zdrada, zdrada, podstępne, zimne oczy gada”, skandowała Kora. Miała dykcję tak samo wyrazistą jak makijaż. Jagoda też chciała się tak malować, ale mąż by na to nie pozwolił. Wziął ją z brzuchem, ale to nie znaczyło, że zamierzał jej pobażać.

– Dostaniesz swoje cukierki. Teraz będzie łatwiej – mówi córce Jagoda, choć wcale tak nie myśli. Odwraca głowę i patrzy na wagony, do których zapakowały się już długie wojskowe szeregi. Mruży oczy, niby od słońca, by nikt nie zauważył, że zaszyły łzami. Jesienne liście migoczą w promieniach, przez co wyglądają, jakby w każdej sekundzie zmieniały barwy. Zaczyna ją boleć głowa.

Władek prosi jej męża o podwózkę na stację i Jagoda czuje, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Wypiją za wymarsz ruskich i za wolną Polskę. Chwyta lepką rączkę córeczki, która urodziła się w dniu katastrofy w Czarnobylu, choć nikt jeszcze wtedy nie wiedział, do czego tak naprawdę doszło dwudziestego szóstego kwietnia w dalekiej Prypeci. Prawie nikt.

Ocalała z dwóch katastrof, myśli Jagoda i wkłada córeczce kurtkę, bo popołudnia są już chłodne, jakby słońce traciło energię, wybarwiając liście. „Eksplodzja, eksplozja”, śpiewała Kora, a w głosie miała zapalnik. Jagoda zmuszała ją do śpiewania na okrągło, do zderzenia taśmy. Mogą sobie mówić o ludzkich błędach i o reakcji łańcuchowej. Czarnobyl wysadziły ludzka energia i muzyka. Czarnobyl wysadziły Kora i *Eksplodzja*.

– A ty wiesz – mówi do niej mąż – jak się nazywał ostatni dowódca wojsk stacjonujących w Bornem Sulinowie? – Uśmiecha się szeroko na samą myśl, że czeka go zimna wódka z nowo poznanym kompanem.

– Dowódca Witebsko-Nowogródzkiej Gwardyjskiej Dywizji Zmechanizowanej – dodaje usłużnie Władek i Jagoda patrzy na niego podejrzliwie.

Skąd niby wie? Pewnie przyjechał tu węszyć. Woli, żeby jej mąż go nie podwoził, a już na pewno z nim nie pił. Ma słabą głowę i istnieje ryzyko, że coś chlapnie. Jagoda doskonale zna nazwisko przełożonego Igora, ale wzrusza ramionami.

– Bułhakow – mówi mąż i poklepuje ją protekcyjnie po plecach. – Tak jak twój ulubiony pisarz – dodaje, a Jagoda uśmiecha się ze zdziwieniem, bo ma świadomość, że obaj mężczyźni tego od niej oczekują.

Wanda wyłączyła wycieraczki i patrzyła na krople deszczu, które coraz szybciej wypełniały wolne miejsca na przedniej szybie. Niechętnie sięgnęła po parasol i torebkę i wyszła na zewnątrz. Przypomniał jej się pogrzeb ojca – tylko wtedy zamiast deszczu padał śnieg, który efektownie wirował nad głowami i topił się tuż przy ziemi. „W marcu jak w garncu”, zagaił ksiądz, podchodząc do niej i do jej siostry po mszy żałobnej. Natalia twierdziła, że ojciec chciał katolickiego pogrzebu, choć trudno było w to uwierzyć. Po wypadku i śmierci matki przestał się pokazywać w kościele.

Ksiądz powiedział nad trumną kilka frazesów, a jego duża, nalana twarz tężała na zimnym wietrze. Od czasu do czasu rzucał Natalii podejrzliwe spojrzenie spod grubych brwi, bo sława wróżbitki chyba zaczęła ją wyprzedzać. Uparła się, by pochować ojca w jednym grobie z matką, a Wanda nie znalazła w sobie dość siły, by się jej przeciwstawić. Nadal stąpały po niepewnym gruncie. Nigdy nie powiedziała Natalii, że choć odwiedziła ojca przed śmiercią, nie potrafiła mu wybaczyć. Siedziała, patrząc na zniekształcone odbicie swojej twarzy w na wpół opróżnionych szklankach i fiolkach z lekarstwami. Równie dobrze mogłaby tkwić po drugiej stronie szkła i rozpaczliwie próbować wydostać się na zewnątrz.

Tak jak wspomniała Dereniowi, ludzi na pogrzeb ojca nie przyszło dużo. Nie miał przyjaciół wśród żyjących i w przeciwieństwie do pogrzebu Pana Toma jego pochówek nie był wydarzeniem sezonu. Zanim zamknięto

trumnę, widziała, że ktoś w domu pogrzebowym bardzo się natrudził, by ojciec wyglądał naturalnie. Mimo to wydawał jej się poźółkły i kruchy jak liść, a przerzedzone włosy potraktowane specjalnym preparatem przypominały czapeczkę z wełenki, jak te, które przedszkolaki przyklejają do żołądzi.

Dziś Wanda szła w pewnej odległości za konduktem pogrzebowym, który rozlał się na cały cmentarz. Jakub Tomczyński może i stronił od kontaktów z mediami i czytelnikami, ale informacja o jego prawdziwej tożsamości i tragicznej śmierci szybko się rozniosła i na pogrzeb do Czaplinka zjechało mnóstwo ludzi z całej Polski. Wanda przyglądała się tłumowi z nieodpartym wrażeniem, że morderca jest wśród nich i rozkoszuje się atmosferą sensacji podgrzewaną przez reporterów czekających za bramami cmentarza na każdego, kto będzie chciał z nimi porozmawiać. Złapała na sobie czyjś wzrok. Idący nieopodal mężczyzna pomachał jej dyskretnie i rozpoznała w nim kolegę z podstawówki. Leszek... nazwiska nie mogła sobie przypomnieć, choć pamiętała jego kolekcję puszek po zagranicznym piwie. Skinęła mu głową.

O miłości czytelników do Pana Toma świadczyły nie tylko ogromna frekwencja i setki wieńców i kwiatów, lecz także spontaniczne słowa wypisane na kartkach zatkniętych za wstążki wiązanek. Wielu trzymało w rękach czy pod pachą książkę pisarza, by później pozostawić ją wśród płonących zniczy. Wanda zwróciła też uwagę na ludzi z czerwoną opaską na ramieniu. Okazało się, że to znak rozpoznawczy ustalony wcześniej przez największą grupę fanów na Facebooku. Po zakończonej ceremonii ci z opaskami przyblokowali rynek, chyba zaskoczeni liczebnością swojej grupy. Raczej trudno było sobie wyobrazić, że ponad sto osób ot tak wypije w jakiejś lokalnej kawiarni żałobną kawę. W końcu ruszyli więc w kierunku jeziora.

Wanda nie zdążyła przeczytać książek Pana Toma, ale kupiła już e-booki i wrzuciła je na czytnik, który był jej urodzinowym prezentem dla samej siebie. Zaczęła lekturę od ostatniej wydanej powieści, którą uważała za najważniejszą z punktu widzenia śledztwa, i była w mniej więcej połowie. *Krew* nie okazała się ani genialna, ani zła. Na pewno szybko się ją czytało, a fabuła nie była zbyt wydumana, nawet jeśli o pracy policji pisarz nie miał dużego pojęcia. Polubiła antropolożkę i żałowała, że to właśnie ją uśmiercił.

Gdy cmentarz opustoszał, Wanda dostrzegła między drzewami Kamila Żuka. Chłopak stał w pewnej odległości, przygarbiony i zmoknięty w czarnym polarze, a ludzie już wytykali go palcami. Iza Tomczyńska, która szła zaraz za trumną, wsparta na ramieniu niższej i starszej kobiety, nie spojrzała na chłopaka ani razu. Wanda zastanawiała się, czy ktoś z mediów przygotował ją na to wydarzenie. Wydawała się spokojna, pogodzona z sytuacją. W czarnej dopasowanej sukience i płaszczu z obszernym kapturem prezentowała się godnie i dostojnie. Właśnie tak, jak powinna się prezentować młoda wdowa. Wiadomo było, że zdjęcia z pogrzebu Pana Toma zdominują krajowe newsy nie tylko w sekcji „Kultura”.

Za bramą cmentarza dwie kobiety otrzepywały drogie parasole obok lexusa na warszawskich blachach. Wanda przejrzała wieczorem raport na temat wydawnictwa *Litery* sporządzony przez Agatę i rozpoznała wypolerowane blondynki, które kojarzyły się raczej ze światem show-biznesu niż literatury. Fizycznie nie mogły się od siebie bardziej różnić. Jedna pulchna i niska, druga szczupła i wysoka, ale ich obcasy tak samo zapadały się w błoto, a ciemne płaszcze odsłaniały długie rozcięcia identycznych spódnic. Wanda poprosiła kobiety o krótkie spotkanie po stypie, na którą, rzecz jasna, zostały zaproszone.

Ze światem wydawniczym kojarzyła jej się bardziej starsza para, która przez cały pogrzeb orbitowała na krańcach orszaku. Ich też Wanda widziała wcześniej na zdjęciach, a dzięki informacjom przekazanych przez Agatę wiedziała, że czas młodości Malickich, właścicieli wydawnictwa Nowa Proza, przypadł na lata osiemdziesiąte. Siwy mężczyzna z przerzuconą przez ramię torbą listonoszką trzymał parasol nad kobietą w bordowym płaszczu i ciemnej chustce w zielone liście na głowie. Strój ten, kiedyś uznawany pewnie za artystyczny, dziś ją postarzał. Oboje byli na bakier z modą, co tłumaczyło problemy finansowe ich wydawnictwa, z raportu wynikało bowiem, że nie wiodło im się najlepiej. Gdy Wanda poprosiła ich o chwilę rozmowy, każde z nich miało zagubiony wyraz twarzy podróżnika w czasie. Przed kilkoma dniami Dereń dowiedział się, że dziesięć lat wcześniej dwudziestokilkuletnia Izabela Tomczyńska wydała u nich książkę *Strachy na lachy*. Nakład był bardzo skromny, zaledwie tysiąc pięćset egzemplarzy, a i tak kilkadziesiąt do dziś zbierało kurz w magazynie Nowej Prozy.

– Przegapiliśmy wielu bestsellerowych autorów. – Kalina Malicka zdjęła chustkę i wcisnęła ją do torebki. W okolicach cmentarza i na rynku roіło się od dziennikarzy, odjechali więc kawałek za miasto i tam rozmawiali w Citroënie Wandy, bo znowu zaczęło padać. – Kilka razy odrzuciliśmy powieści Kowala czy Santockiej, a oni dosłownie chwilę później osiągnęli wielki sukces.

– Niektórzy nam zarzucają, że gdybyśmy wydali ich powieści, Kowal nie byłby dziś Kowalem, a Santocka Santocką, bo nie potrafimy się odnaleźć na dzisiejszym rynku – dodał jej mąż. – Niech mnie pani nazwie naiwnym, ale zawsze uważałem, że dobra literatura obroni się sama.

– Może i się obroni, ale nie wypromuje. Powtarzam to, ale jesteś uparty jak osioł.

– A co mi pozostało? Nie mamy pieniędzy na marketing i możemy liczyć jedynie na ten szeptany. Wie pani, co o nas mówią? – zwrócił się do Wandy. – Że do nas pisarze przychodzą się urodzić albo umrzeć. Jesteśmy jak ten ksiądz, który ich chrzci na początku kariery i grzebie, gdy im nie wyjdzie gdzie indziej.

– A Iza Tomczyńska? – zapytała Wanda.

Malicki pokręcił siwą głową z lekkim uśmiechem.

– Ją ochrzciliśmy. Wydaliśmy tę powieść, która, na marginesie, nie była wcale dobra.

– Ale mimo to zdecydowaliście się ją wydać?

– Debiutant rzadko pisze dobrze, ale ważne, by w nim dostrzec potencjał. Pisała ładnym literackim językiem, tyle że obecnie to za mało – podjęła Malicka. – Dzisiejszy czytelnik to w dużej mierze konsument treści. Literatura umarła, niech żyje książka. Ludzie bez trudu robią pięć rzeczy naraz, ale równie łatwo się rozpraszają. Bardzo łatwo ich zgubić, a odkąd pojawił się internet...

– Trzeba machać czerwoną płachtą, a jak wszyscy zaczynają machać czerwonymi płachtami, wyjąć strzelbę i wystrzelić w powietrze. – Malicki skierował kciuk w stronę podsufitki. – Nie ma dziś mody na literacką literaturę, jakkolwiek dziwnie to brzmi.

– A powieści Pana Toma? Czytaliście je państwo?

– Oczywiście, choćby z branżowej ciekawości, nie wiedzieliśmy, że to dzieła męża naszej autorki – podkreślił z dumą. – Sporo efekciarstwa, ale sprawnie napisane, nie można zaprzeczyć. Pan Tom miał świetny warsztat.

– A Iza Tomczyńska?

Malicki się zawahał.

– Ona napisała tę książkę jakby dla siebie. Sporo tam było odniesień do Miłosza i Bułhakowa. Niech mi pani prokurator powie, kogo to dziś

interesuje?

Wanda otworzyła drzwi, bo ich mokre okrycia parowały i w samochodzie zaczęło się robić duszno.

– A jeśli chodzi o Pana Toma, miał jakichś wrogów? Może coś ludzie mówią w środowisku?

– My się trzymamy od tego wszystkiego z daleka – odpowiedziała szybko Malicka. – Być może to prawda i nie rozumiemy już nowego czytelnika. Powinniśmy się przemianować z Nowa Proza na Stara Proza. Ten Bułhakow, no właśnie... – Spojrzała przelotnie na męża. – Czytała pani *Mistrza i Małgorzatę*?

– Owszem, dawno temu, przed maturą. – Wanda mimowolnie pomyślała znowu o swojej profesor Chmielickiej, która w dniu matury z polskiego wyjątkowo przywdziała zieloną garsonkę. Miał to być kolor nadziei, choć komponował się raczej z zielonkawoszarymi ze strachu twarzami abiturientów.

– Wie pani, że Bułhakow do śmierci poprawiał tę powieść?

– Ze względu na cenzurę?

– Nie tylko. Pierwszą wersję napisał w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym roku, potem ją zniszczył, bo był z niej niezadowolony, i zaczął od początku. Poprawiał ją osiem razy aż do swojej śmierci dwanaście lat później, ale do końca nie był usatysfakcjonowany. Kto by miał dziś na to czas? To szybki świat.

Wanda pokiwała głową. Przypuszczała, że lepiej dla Nowej Prozy byłoby, gdyby przed kilkunastoma laty Maliccy oddali stery wydawnictwa młodemu, sprawnemu menedżerowi. Tyle że ci ludzie nie mieli wydawnictwa, ale dziecko. Sprawnego menedżera potraktowaliby jak nadgorliwego i wrogo nastawionego pracownika opieki społecznej. Wypuściła ich z auta i patrzyła, jak przesiadają się do swojego, a potem

ruszyła na rynek. Teraz już opustoszał i bez trudu znalazła wolne miejsce. Pod hotelem stał wóz transmisyjny jednej ze stacji, ale zdaje się, że ekipa zbierała się już do odjazdu. Wanda spojrzała na witrynę cukierni Złoty Rożek, która niezmiennie przypominała jej o pierwszej dużej sprawie, którą prowadziła po powrocie do Drawska Pomorskiego. W środku było pusto.

Po krótkiej przerwie deszcz znowu zaczął siąpić i w samochodzie zrobiło się sennie. Zerknęła na zegarek. Do spotkania z Faith i Koterską miała jeszcze kwadrans. Ponownie otworzyła e-mail od Agaty i przeczytała raport na temat wydawnictwa Litery. Jak zawsze był zwięzły i treściwy, dziewczyna miała talent do wybierania tego, co najważniejsze. Agnieszka Faith, szefowa, pojawiała się na stronach kolorowych magazynów niemal tak często jak autorzy Liter. Odkąd zasiadła w fotelu prezesa, gdy przed dwoma laty wydawnictwo kupił jej obecnie były już mąż, ekscentryczny biznesmen ze Szkocji, Litery postawiły na prostą formułę i wydawały publikacje celebrytów. W ich ofercie były więc książki kulinarne i podróżnicze ludzi znanych z tego, że są znani. Na listach bestsellerów królowały wydawane przez Litery poradniki lifestyle'owe, a w ostatnim roku pojawił się nowy segment literatury dla najmłodszych. Serię promowały zdjęcia gwiazd i gwiazdek z pociechami. Wyjątkiem, rzecz jasna, było nazwisko Pana Toma. Barbara Koterska, dyrektorka sprzedaży i marketingu, rzadko udzielała się w mediach, miała za to imponujący profil zawodowy na LinkedIn z siecią kilkuset kontaktów.

Trudno było przegapić lśniącego lexusa parkującego między starym fordem ka i skodą, i gdy tylko kobiety zniknęły w Złotym Rożku, Wanda ruszyła za nimi. Miały nad nią przewagę zaledwie kilku minut, ale gdy weszła, były już zadomowione, a kelnerka krzątała się przy ich stoliku. Faith uśmiechnęła się do Wandy uprzejmie i podała rękę. Była między czterdziestką a sześćdziesiątką, w tym bezkresnym dwudziestoleciu, kiedy

o wieku kobiety stanowią zasobność jej portfela, zaangażowanie i spora doza masochizmu umożliwiająca znoszenie cierpienia, z którym wiązało się poprawianie metryki. Ciemna spódnica, która podczas pogrzebu wystawała spod płaszcza, okazała się dopasowaną fioletową sukienką z nietoperzowymi rękawami. Podkreślała szczupłą figurę pani prezes. Kobieta położyła przed sobą na stole telefon, jakby chciała zaakcentować, że wciąż jest w pracy i ma mało czasu.

Splotła szczupłe palce i spojrzała Wandzie w oczy:

– To okropne, co się stało. Okropne i okrutne. Nadal nie mogę w to uwierzyć.

Koterska przytaknęła, pochylając się nad filiżanką, jakby w ten sposób chciała oddać zmarłemu hołd.

– Uwielbiałyśmy Kubę.

– Chyba był dla pani trudny?

– Ależ dlaczego? Przemiły człowiek. – Blond fale okalające okrągłą twarz Koterskiej nawet nie drgnęły, gdy odwróciła się w stronę Wandy.

– Mam na myśli to, że publikował pod pseudonimem. Nie było więc żadnych zdjęć, spotkań z czytelnikami. Wyobrażam sobie, że to znacząco komplikowało pracę pani działu?

– Być może na początku, ale daliśmy sobie radę. – Koterska uśmiechnęła się jak kobieta, która jako pierwsza samodzielnie przeleciała nad Atlantykiem, a Agnieszka Faith wreszcie spojrzała na Wandę z zainteresowaniem.

Najwyraźniej zaskoczyło ją, że pani prokurator z malowniczego zadupia odrobiła zadanie i wie, czym jej towarzyszka zajmuje się w wydawnictwie. Zmarszczyła nos.

– Z tej drobnej niedogodności udało się zrobić atut – powiedziała Koterska. – Teraz ludzie gadają, że Pan Tom był naszą dojną krową, ale to

nie tak.

– A jak? – Wanda upiła łyk kawy, którą właśnie przyniosła jej kelnerka.

– Kuba miał u nas wolną rękę – wtrąciła się Faith. – Mógł pisać, co chciał i o czym chciał. Był poza naszą główną linią wydawniczą, ale też, jak na pewno zdaje sobie pani sprawę, poza wszelką konkurencją.

– Mógł odejść. Bała się pani tego, prawda?

– Ludzie zawsze mogą odejść. Wie o tym każdy, kto cokolwiek przeżył. – Grdyka na długiej szyi Faith stała się bardziej widoczna. – Na ten moment Kuba miał z nami kontrakt na jeszcze jedną książkę. Tę, na którą dostał zaliczkę w wysokości miliona złotych. Domyślam się, że już pani o tym słyszała? No właśnie. Trudno więc się dziwić, że był zadowolony ze współpracy z Literami i nigdzie się nie wybierał. Chyba że pani prokurator słyszała coś innego?

Wanda zignorowała lekką uszczypliwość w tonie Faith.

– Od kogo wyszedł pomysł ostatniego cyklu?

– *Śnieg, Ciało, Krew*? Oczywiście, że od Kuby. Jak zawsze. Ale co to ma wspólnego z jego śmiercią? – Na twarzy Koterskiej pojawiły się wypieki.

– Wszystko może mieć związek ze sprawą, dlatego będę obu paniom wdzięczna za w miarę możliwości związane odpowiedzi.

– Kuba – powiedziała Agnieszka Faith, jakby zwięzłość była jej dziedziną.

– Nowa książka była już gotowa?

– Nie odebrałyśmy jej, ale tak przypuszczam. Zwykle napisanie powieści zajmowało mu sześć miesięcy od zawarcia umowy. Zbliża się maj, tak więc...

– Bułhakow podobno stworzył wiele wersji *Mistrza i Małgorzaty* i zajęło mu to kilkanaście lat. – Wanda postanowiła błysnąć niedawno

zdobytą wiedzą.

– Zgadza się. – Faith skinęła głową. – Margaret Mitchell przez dziesięć lat pisała *Przeminęło z wiatrem*, a Tolkien poświęcił trylogii *Władca Pierścieni* szesnaście lat życia.

– Dziś wszyscy by już o nich zdążyli zapomnieć – przytaknęła szefowej Koterska.

– Ale też nie ma co się tak napinać – mówiła dalej Faith. Gładko ułożone jasne włosy okalały jej twarz o ptasich rysach. – Długi okres pisania nie zawsze oznacza wybitną jakość, a argumenty można przytoczyć na obronę każdej tezy. Pani jako prokurator okręgowy z pewnością to wie.

– Rejonowy – poprawiła ją Wanda. Wiedziała, że to zamierzony prztyczek. Dobrze знаła te mechanizmy jeszcze z pracy w Poznaniu, ale dawno już nauczyła się trzymać emocje na wodzy.

– Proszę pamiętać, że Anthony Burgess napisał *Mechaniczną pomarańczę* w zaledwie trzy tygodnie, a Charles Dickens ze swoją *Opowieścią wigilijną* uwiął się w sześć. Nie ma tu więc reguły. – Koterska jak zwykle chętnie poparła szefową. – Kuba był słowny – dorzuciła miękko.

– To rzadkość?

– Oczywiście. Pisarze często zwlekają z oddaniem tekstu, winiąc za to brak weny.

– Wena... – Faith wzdrygnęła się, jakby to było brzydkie słowo. – Wymówka każdego lenia.

Przejechała opuszką po brzegu filizanki. Miała długie paznokcie pomalowane na jasnoróżowy kolor.

– Dlatego wolę model biznesowy oparty na książkach celebrytów.

– Oni nie potrzebują weny?

– Oni potrzebują ghostwriterów, dzielnych małych galerników. – Uśmiechnęła się pod nosem, a Wandę zdziwiła jej szczerość.

Koterską chyba też, bo pochyliła się jeszcze niżej nad swoją filiżanką. Blond lok wreszcie ruszył z miejsca i opadł na prawe oko.

– Całą resztę, czyli „celebrytyzm”, mają w małym palcu – mówiła dalej Faith. – Uwielbiają pokazywać się w telewizji, na swoich kanałach w social mediach i doskonale wiedzą, jak dobrze wypaść. Kuba był inny. Nie czekał na zaśpiew muz, tylko siadał na czterech literach i brał się do roboty. Nie wiem, jak pani, ale ja lubię takich ludzi.

– A manuskrypty trzymane w sejfie? Nie wydawało się to paniom dziwne?

– Znam pisarza, który trzyma wszystkie swoje książki w specjalnej zakopanej w tym celu kapsule. Uważa, że tylko one przetrwają katastrofę, ku której nieuchronnie zmierzamy.

Wanda pokiwała głową.

– Kto odbierał od niego skończoną książkę?

– Ja i Basia.

„Basia” zabrzmiało tak ciepło w jej ustach, że Wandzie zajęło chwilę dopasowanie tego imienia do Koterskiej.

– Tomczyński miał jakichś wrogów?

– Tomczyński nie sędzę, ale Pan Tom owszem. Jak wielu ludzi w tym kraju, któremu się powiodło. Z każdą kolejną książką wieszczono mu koniec kariery, a potem równie entuzjastycznie witano jego powrót. Pisano niejednokrotnie, że się wypalił, że leci schematem, że „żadnej książki Pana Toma już, kurde, nie kupię”. Tylko wie pani, to były zwykłe internetowe trolle, a one są jak komary. Widać odrobinę krwi, lecz to przecież nie znaczy, że mordują. Wystarczy machnąć ręką, by je rozgonić. Kuba miał rzadki dar. Kochali go czytelnicy.

Przy stoliku zapanowało milczenie.

– Jeśli to wszystko... – Faith sięgnęła po torebkę.

– Przykro mi, ale mam jeszcze kilka pytań. To już nie zajmie dużo czasu, wiem, że przed paniami długa droga powrotna do Warszawy. – Wanda zamówiła kolejną kawę, a Koterska skorzystała z okazji i poprosiła kelnerkę o eklerkę z talerzyka w witrynie.

– Dawno ich nie widziałam, to cukiernicze retro – rzuciła ze spłoszonym uśmiechem.

Poczekają cierpliwie, aż kelnerka je obsłuży i odejdzie do innych klientów.

– Tomczyński miał z waszym wydawnictwem umowę, która go zobowiązywała do milczenia na temat pisanej właśnie książki. To jakiś standard?

Faith spokojnie pokiwała głową.

– W przypadku thrillerów i kryminałów zasada jest jedna: żadnych spoilerów. Chyba to pani rozumie. – Poruszyła dłońmi i różowy lakier na paznokciach błysnął w świetle lampy. Chilloutowa muzyka sącząca się z głośników nagle umilkła i zanim kelnerka zmieniła płytę, rozległ się przyjemny odgłos deszczu bębniącego o szyby.

– Pani też aż do samego końca nie wiedziała, o czym będzie książka?

– Tym razem nie. – Faith dotknęła przelotnie włosów.

– Mnie powiedział. – Koterska, która rozprawiała się już z połową eklerki, wyprostowała się i otrzepała pulchne dłonie nad talerzykiem. Kilka okruchów przykleiło jej się do ust pociągniętych szminką.

Faith spojrzała na nią z napięciem. Zdaje się, że Wanda poruszyła kwestię, której wcześniej nie przećwiczyły.

– Zadzwoiłam z życzeniami wielkanocnymi i spytałam, jak mu idzie pisanie. Odpowiedział, że ta powieść jest jak nieistniejące miasto.

Pomyślałam, że może nic jeszcze nie napisał. To byłoby do Kuby niepodobne, ale różnie bywa. – Podniosła serwetkę do ust i otarła je z drobinek lukru.

To się zgadzało. Wanda przejrzała wykaz połączeń telefonicznych Tomczyńskiego w tygodniach poprzedzających morderstwo i pamiętała, że ta rozmowa trwała około dwudziestu minut. Dość długo jak na złożenie życzeń.

– Rozmawialiście o czymś jeszcze?

– Wspomniał coś o miastach widmach. Już wiem. Zapytał, czy kiedykolwiek słyszałam o Bornem Sulinowie. Zgodnie z prawdą odpowiedziałam, że nie. Odetchnęłam z ulgą, bo to zabrzmiało tak, jakby jednak coś już miał. Dlatego nic nie mówiłam, nie chciałam cię niepotrzebnie denerwować. – Odwróciła się do Agnieszki Faith, która nie patrzyła już na nią, tylko wbiła wzrok w Wandę.

– Wiem już od jego żony, że sejf był pusty, ale jego laptop? Na pewno go przejrzeście?

– Niestety nie mogę udzielić takiej informacji. Dla dobra śledztwa.

– Dla dobra śledztwa – powtórzyła Faith i potrząsnęła głową. – Mam nadzieję, że nie zapłaciliśmy okrągłego miliona za książkę, której nie ma. Za książkę widmo.

Jej ton był nadal opanowany, ale Wanda zauważyła, że pobladła pod gładką warstwą makijażu.

– Byłoby dobrze, gdyby ta informacja nie przedostała się do prasy.

– Ta o zaginięciu rękopisu?

– O ewentualnym zaginięciu – poprawiła Wandę Koterska, szybka jak autokorekta.

– Och, tak naprawdę najlepiej byłoby, gdyby nikt się nie dowiedział o śmierci Pana Toma, ale na to niestety już za późno – powiedziała Faith,

a Koterska posłała je spojrzenie pełne zarazem uwielbienia i niepokoju. – Tak, ja mam świadomość, jak to brzmi, i doskonale rozumiem, że nie żyje człowiek, ale musi pani zdać sobie sprawę, że wraz z nim pogrzebaliśmy właśnie markę. Najpotężniejszą markę rynku wydawniczego w nowoczesnej Polsce.

Od odnalezienia ciała Jakuba Tomczyńskiego minęło pięć dni, tymczasem oni nadal nie mieli konkretnego tropu. Internet dla przeciwwagi pękał w szwach od rozmaitych teorii, które mogły konkurować z fabułą powieści pisarza. Cóż, choć Jakubowi Tomczyńskiemu udało się chronić swoją prywatność, Pan Tom należał do kultury masowej. Pewnie za sprawą gosposi Tomczyńskich informacja o osikowym kołku przedostała się już do „Pulsu Pojezierza Drawskiego”, a stamtąd szeroką i malowniczą rzeką o nazwie Bzdura pomknęła w odmęty internetu. Na Facebooku zorganizowała się już samozwańcza grupa pogromców wampirów, która twierdziła, że pisarz był tysiącletnim krwiopijcą i dobrze się stało, że ktoś go wreszcie załatwił.

Piotr długo nie mógł zasnąć i czytał komentarze pod nowym artykułem lokalnego serwisu. Według wielu z nich Jakub Tomczyński wampirom właśnie zawdzięczał sukcesy swoich powieści. Wampiry wyrastały na tajną grupę trzymającą władzę na świecie. Coś na kształt żydokomuny czy bractwa Opus Dei. W komentarzach wyrażano przy tym nadzieję, że grób pisarza został odpowiednio zabezpieczony przed jego powrotem do świata żywych. „Ludzie po..bało was?”, napisał LesioLesio15, tak zwany głos rozsądku. „Ale jakim niby wampirem? On wcale nie był jednym z nich, tylko we *Krwi* ich obnażył i dlatego musiał zginąć. Aż dziwne, że nie upozorowali samobójstwa przez postrzał w plecy. Haha”.

W miejscowej bibliotece wszystkie egzemplarze *Krwi* były wypożyczone, a bibliotekarka wspomniała o długiej liście oczekujących. W księgarni przy placu Konstytucji twórczości Pana Toma poświęcono trzy długie półki, ale ostatniej części trylogii też chwilowo nie mieli. Podobno na książki pisarza zapanował w okolicy niesłychany popyt, i to nie tylko dlatego, że zmarł tragicznie. Okazało się bowiem, że mieszkał i tworzył praktycznie za miedzą. Piotr postanowił zapytać o książkę Wandę. Był pewien, że nie tylko już ją przeczytała, ale i zrobiła szczegółowe notatki tym swoim eleganckim pismem.

O szóstej zwlókł się w końcu z łóżka, wyprowadził zaspanego Dextera na krótką rundkę między pawilonami i pojechał na komendę. Włączył czajnik, wsypał do kubka resztkę kawy i czekał bezmyślnie na klik odskakującego przycisku, który obwieszczał, że zagotowała się woda. Jednym z pierwszych maili, które otworzył po włączeniu komputera, była wiadomość od nowego naczelnika wydziału. Piotr ziewnął szeroko i nie bez ciekawości ruszył na pierwsze piętro.

Następca Iwanowskiego bardzo rzadko sięgał po telefon, a jeszcze rzadziej opuszczał swój gabinet. Dereń wyobrażał sobie w związku z tym, że to przytulne miejsce, i nie mógł się bardziej zdziwić. Pokój został przedzielony na dwa i w czymś w rodzaju surowego przedsionka przywitała go sekretarka, która nastąpiła tu w styczniu wraz z nominacją komisarza Świdra. Piotr słyszał już od Tobiasza, że kobieta skończyła dwa fakultety i podyplomówkę z administracji, ale do jej głównych zajęć należy zapewnianie naczelnikowi świętego spokoju.

Drugie pomieszczenie było nieco większe, lecz urządzone w tym samym stylu kantorka księgowego. Zaskoczenie stanowił nie tylko gospodarz – trudno było bowiem sobie wyobrazić większe fizyczne przeciwieństwo starego Iwana, który był niski, gruby i jowialny – ale

i wystrój. Kiedyś panował tu nieokrzesany nieład, a znaczną część blatu zajmowały oprawione w ramki zdjęcia rodziny naczelnika. Teraz wzdłuż ścian ciągnęły się malowane proszkowo magazynowe półki wypełnione segregatorami. Były czarne, bo Świder najwyraźniej lubił ten kolor. Na biurku stał czarny monitor, na oko dziewiętnastka, a przed nim spoczywały czarna klawiatura i tego samego koloru podkładka z myszką. Ze ściany zniknął kalendarz Iwanowskiego z polskimi dworkami, wymieniany co roku na identyczny. Wszyscy na komendzie żartowali, że stary Iwan „zaktualizował sobie kalendarz”. Na stoliku pod oknem stała rozłożona szachownica w trakcie partii i Piotr zastanawiał się, z kim komisarz rozgrywa. Ze swoją sekretarką? Nigdzie nie było żadnych drobiazgów związanych z życiem prywatnym i jeśli istnieli pani Świder i małe Świderki, nowy naczelnik nosił ich podobizny wyłącznie w sercu.

Komisarz, ubrany na czarno, z ciemnymi włosami lekko siwiejącymi przy skroniach, pasował tu doskonale. Krążyły plotki, że jest zarazkofobem, może dlatego, że wszystko starał się załatwić za pomocą maili, okólników i notatek. Fakt jednak, że nie podał Piotrowi ręki. Wskazał gestem krzesło. Dereń pomyślał, że nawet gdyby nie nazywał się Świder, szybko dorobiłby się takiego przezwiska. Miał coś takiego w oczach.

– Sprawa morderstwa Jakuba Tomczyńskiego jest bardzo medialna. Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę z nacisków na nasz wydział? – Świder założył nogę na nogę, odsłaniając wysoko podciągnięte dzianinowe skarpetki. Czarne, rzecz jasna. Pytanie było najwyraźniej retoryczne, bo mówił dalej: – Chciałbym, by potraktował pan tę sprawę absolutnie priorytetowo. Mamy mało zasobów, dużo ognisk zapalnych, trzeba popracować nad lepszym przepływem danych i uzupełnić braki formalne.

Piotr pokiwał głową. Czuł się, jakby nadal czytał jeden z oficjalnych okólników Świdra. Naczelnik miał dziwny, trochę szemrzący głos. Mówił

niewyraźnie i trzeba się było skupić na poszczególnych słowach.

– Nie będę pana pouczał, jak prowadzić dochodzenie, ale dobrze byłoby odsunąć starszą aspirantkę Sawicką od tej sprawy.

Chodziło mu o Agatę? Idąc na górę, tego się nie spodziewał.

– Agata jest bardzo dobrym śledczym.

– Nie twierdzę, że jest inaczej. Niech się pan jednak zastanowi, jaki komunikat wysyłamy w świat. Wysyłamy komunikat – powtórzył po krótkiej pauzie – że nie angażujemy naszych najlepszych ludzi, tylko kobietę, która przygotowuje wyprawkę dla bobasa. Nawet jeśli się do tego nie przyzna, robi to w myślach, a w wydziale dochodzeniowym najważniejsze jest przecież skupienie na sprawie. Panu nie muszę tego mówić, komisarzu.

– Zna dobrze sprawę, a ciąża w żaden sposób nie wpłynęła na jej umiejętność dedukcji czy opracowywania koniecznych raportów. – Piotr podkreślił ostatnie słowo, które chyba wywarło zamierzony efekt, bo Świder na chwilę zamilkł.

– Byle nie wysłać jej w teren – powiedział w końcu z rozmysłem. – Nie chciałbym, by była widoczna. Wiem, że myślał pan o rekrutacji nowej osoby. Słusznie. Zbliżający się dłuższy urlop starszej aspirantki Sawickiej to jedno, ale do tego dochodzi planowane odejście aspiranta Koniecznego do Szczecina. To wprawdzie perspektywa roku, ale jak sam pan wie, ruchy kadrowe trzeba planować jak na szachownicy. – Wskazał ręką stolik pod oknem. – Z dużym wyprzedzeniem.

Piotr uśmiechnął się głupkowato, bo nie miał zielonego pojęcia, o czym Świder mówi. Owszem, Tobiasz uczestniczył ostatnio w szkoleniach z cyberataków w Szczecinie, ale miałby się tam wybierać na stałe? Nie mógł się przenieść bez wiedzy Derenia, bo potrzebował podpisu i rekomendacji bezpośredniego przełożonego. Piotr zdziwił się, że młody

rozmawiał z nowym naczelnikiem, zanim przyszedł z tym do niego. Coś tu było nie tak.

– Dzwoniła do mnie Marzena Wąs z komendy wojewódzkiej. Podobno aspirant Konieczny ma duże umiejętności w dziedzinie informatyki śledczej. Pan to potwierdza?

Piotr skinął głową. Rozluźnił się odrobinę, gdy usłyszał, że sprawy mają się nieco inaczej. Nadal był jednak zły, że Tobiasz nic mu nie wspomniał. Zrozumiał też, że w przeciwieństwie do Iwanowskiego Świder nie zamierza zostawiać mu relacji z wydziałem wojewódzkim w Szczecinie i od tej pory komunikacja będzie się odbywała na linii Świder–Wąs. Niemal się uśmiechnął na dźwięk tego zestawienia.

– Doceniam zainteresowanie Szczecina, ale szczerze mówiąc, wolałbym, żeby Konieczny pozostał w moim zespole.

Męczyła go ta rozmowa i najchętniej by wyszedł. Z Iwanowskim załatwiliby to w minutę, a tu musiał siedzieć z poważną miną i budować okrągłe zdania.

– Proszę go więc przekonać. Jeśli chodzi o budżet, są pewnie możliwości, niewielkie, ale zawsze. Wierzę jednak, że zna pan inne metody perswazji. Mój poprzednik – komisarz zawiesił głos, jakby miał na temat Iwanowskiego wiele przemyśleń, którymi nie chciał się teraz dzielić – bardzo pana cenił. Szczególnie pańskie umiejętności interpersonalne.

Spotkanie na szczęście dobiegło końca i Świder schował się za monitorem, kładąc rękę na myszce jak na berle.

Po powrocie do biura Piotr przejrzał raporty Wrzosia i Falskiego, a potem odebrał połączenie od Tobiasza. Od czasu publikacji wizerunku Pana Toma i podania jego prawdziwej tożsamości do wiadomości publicznej wiele osób dzwoniło na policję z informacjami, które rzekomo mogły pomóc w śledztwie. Najczęściej były to bezwartościowe szczegóły.

Ktoś widział Tomczyńskiego na zakupach w POLOmarkecie w Czaplinku, ktoś inny – na spacerze nad jeziorem Komorze. Pewna kobieta dzwoniła kilkakrotnie, upierając się, że miała z nim sekretny romans i całkiem jawną dwójkę dzieci, ale okazało się to historyjką wyssaną z palca. Tobiasz i Agata przedzierali się przez te wszystkie doniesienia jak amerykańscy żołnierze przez wietnamską dżunglę, aż do dziś, kiedy chłopak natrafił na przekazaną anonimowo informację, że ktoś widział pisarza kilka razy w restauracji U Żeni w Bornem Sulinowie. Kobieta, która zadzwoniła, nie zostawiła danych, ale dyżurny obsługujący wtedy linię telefoniczną dopisał w notatce, że miała śpiewny, jakby rosyjski akcent. Tobiasz uznał, że być może w tropikalnym gąszczu pojawił się właśnie prześwit, który coś im rozjaśni.

Piotr nie zapytał go o Szczecin. To mogło poczekać. Postanowił odłożyć rozmowę o przenosinach na później, znacznie później.

Gdy dotarł do prokuratury, Wanda była jeszcze u siebie i siedziała pochylona nad dokumentami. Długie włosy ściągnęła w ciasny węzeł nad karkiem i nad oczami powiewało samotne pasmo.

– Ostateczny raport Wrzosia jest jednoznaczny – powiedział, siadając naprzeciwko. – Gdy sprawca wbijał kołek w serce Pana Toma, pisarz jeszcze żył, choć wcześniej zaliczył twarde lądowanie i uderzenie w skroń. Świadczą o tym między innymi obrażenia czaszki, złamany obojczyk, otarcia na twarzy i prawej łydce.

– A Falski? Znalazł coś ciekawego?

Piotr rzucił jej zrezygnowane spojrzenie.

– Po dwojgu ludziach, którzy zdecydowali się na życie w odosobnieniu spodziewałbym się, czy ja wiem, odosobnienia? Tymczasem w ciągu kilku dni przed zabójstwem kręciło się tam co najmniej sześć osób. Między innymi specjalista z firmy, która im zakładała instalację alarmową.

Przyjechał w czwartek rano, przed wyjazdem Tomczyńskiej do Szczecina, aby poprawić lokalizację czujników ruchu.

– Może to on wyłączył przypadkowo drugą kamerę?

– Niewykluczone. Na pewno się nie przyzna, bo nie chce mieć kłopotów w robocie. Oprócz tego odwiedzili ich rodzice Tomczyńskiego i matka Tomczyńskiej, a w czwartek przed jego śmiercią pojawił się ten chłopak, Kamil Żuk. Codziennie rano przyjeżdżała oczywiście Marta Grzelak.

– Jak wygląda jej sytuacja rodzinna?

– Ma męża i dwoje dorosłych dzieci, które nadal z nimi mieszkają. Grzelakowa się zarzeka, że nigdy nie byli nawet obok domu Tomczyńskich.

Z zewnątrz dobiegał ich odgłos pospiesznych kroków i trzaskających w oddali drzwi. Budynek prokuratury powoli pustoszał. Wanda wyrównała dokumenty wnętrzami dłoni i włożyła je z powrotem do teczki.

– Ale nie dlatego tu jesteś, prawda?

– Borne Sulinowo. Byłaś tam kiedyś?

– Myślisz o poradzieckich miastach widmach, o których Tomczyński wspomniał Koterskiej?

Skinął głową.

– Tobiasz dowiedział się właśnie, że Tomczyńskiego widziano kilka razy w Bornem Sulinowie, w restauracji U Żeni. Kto wie, może ten Żenia ma do powiedzenia coś ciekawego. Pojadę tam, powęszę. Wiesz, byłem w tym miejscu po raz pierwszy, gdy wyjeżdżało wojsko, w dziewięćdziesiątym drugim. Ojciec mnie zabrał. Miałem piętnaście lat i powiedział, że mi pokaże, jak się ruskie pakują.

– Pamiętasz tak dokładnie?

Skinął głową.

– Byłem z ojcem na jednej wycieczce, trudno zapomnieć. Później zakazał mi się tam szwendać. Powiedział, że ruscy zostawili w lasach niewypały, broń chemiczną i nie wiadomo co jeszcze. Cieszył się jak dziecko, że wyjeżdżają. Sama pamiętasz, jak on nienawidził mundurów.

– Jak wtedy wszyscy – skwitowała Wanda.

– Wiesz, jemu nie chodziło tylko o komunę. Do nas sąsiedzi z naprzeciwka często wzywali milicję. Myślę, że zabierając papiery z akademii ekonomicznej i decydując się na Szczytno, złamałem mu serce.

– Jakoś sobie ciebie nie wyobrażam jako finansisty – odparła Wanda z uśmiechem.

– Wychodzi na to, że moją byłą żonę zawiodłem jeszcze bardziej niż ojca. Wyszła ponownie za mąż za dyrektora banku. Jak to mówią? Marzenia się spełniają.

Wzruszył ramionami. Tak naprawdę nie czuł już żadnych związanych z tą sprawą emocji. Życzył Ance szczęścia.

– A tak na marginesie, wiesz, kto jeszcze trzymał swoje rękopisy w sejfie? J.D. Salinger.

Jej zaskoczona mina była tego warta.

– Poczytałem trochę o tym panu. Przeprowadzając się z Manhattanu do New Hampshire na dziewięćdziesiąt samotnych akrów, spełnił marzenie Holdena z *Buszującego w zbożu*.

Skinęła głową.

– Było tam coś takiego. Chłopak marzył, by postawić dom daleko od ludzi i głupich rozmów, które musiałyby z nimi prowadzić. Wygląda na to, że Tomczyński miał identyczny plan. Kiedy się wybierasz do Bornego?

– Jutro i tak naprawdę dlatego tu jestem. Chciałbym, żebyś pojechała ze mną.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Na Agatę i Tobiasza nie ma co liczyć w tym zakresie. W szkole uczyli się angielskiego. My mieliśmy rosyjski, ale szczerze, ja po rusku mogę jedynie szturmować wroga i zamówić wódkę. Za to ty zdawałaś maturę z tego języka. Nie pamiętam dokładnie, ale zakładam, że na piątkę.

– I po co polazłeś na cmentarz?

Ojciec był na niego naprawdę wściekły. Zniknęła gdzieś obojętność, z jaką traktował częstsze niż zwykle wyjazdy matki, a nawet swoje zwolnienie z pracy. Tym razem nie robił zresztą niczego ciekawego. Pracował w niewielkim centrum ogrodniczym w Czaplunku, kompletował zamówienia i odbierał telefony. Patrzył na Kamila z niechęcią.

– Jak to po co? Znałem go przecież i lubiłem. Niewielu na tym pogrzebie mogłoby powiedzieć to samo.

– Ładne mi lubiłem. A jego żona? Nie tak cię wychowałem. Tak się, kurwa, nie robi. – Ojciec nigdy nie przeklinał i słowo zazgrzytało, jakby mówił w obcym języku.

– Mówiłem ci już sto razy. Nie miałem pojęcia, że pani Tomczyńska jest jego żoną. Nie miałem pojęcia, jak on się naprawdę nazywa. Dla mnie to był Pan Tom. Wszystko w temacie.

– I ty myślisz, że ktokolwiek w to uwierzy?

– Ktokolwiek może nie, ale ty i matka moglibyście. Poza tym to nie tak.

– A niby jak? Chcesz powiedzieć, że to jakaś wielka miłość? Przecież ta kobieta jest dla ciebie zbyt dojrzała.

– Masz na myśli: za stara? – zjeżył się Kamil. – Ma tylko trzydzieści pięć lat.

– Czyli prawie dwa razy tyle co ty.

– Niedługo skończę dziewiętnaście, co to za matematyka, ojciec?

– Daj już spokój! Do tego to twoja nauczycielka. Ludzie długo nie przestaną gadać, to małe miasto. Zwolnią ją z pracy, tego chciałeś?

Kamil wzruszył ramionami. Ojciec i tak nigdy go nie słuchał.

– Ona ma przecież tyle kasy, że nie musi się martwić o pracę. Zresztą wyjedzie. Wyjedziemy. – Zrzucił z głowy kaptur i od razu dostał lepe. Potarł w zdziwieniu gorący policzek.

Matce zdarzyło się go szturchnąć, ale stary go nie tykał.

– Zwariowałeś?

– To ty zwariowałeś. Gównu mnie obchodzi, co ona zrobi. Ty pojedziesz na studia do Szczecina, a tam zajmiesz się nauką i rówieśniczkami, rozumiano?

Kamil tylko się skrzywił. Ojciec potrafił wszystko spłycić.

– Rozumu nie masz, żeby z policją na karku iść na pogrzeb. Uszy masz położyć po sobie, dopóki ta sprawa nie przycichnie, i nie waż się spotykać z tą kobietą. Nigdy! Ona jest dla ciebie jeszcze bardziej martwa niż jej mąż! Zrozumiano?

Kamil gwizdnął na Sabatona. Nie chciał się rzucić na ojca i musiał wyjść, natychmiast. Za dużo i zbyt szybko się działo, jakby wpadł w niewidzialny wir. Matura, o której tyle było głośno w domu i w szkole, przestała być ważna. Musi ją tylko zaliczyć, by jak najszybciej uciec z tej smutnej dziury. On też miał teraz jakieś pieniądze. Trzy tysiąki to może nie majątek, ale da się za to przecież trochę przeżyć. Pan Tom, który dla niego nadal nie był żadnym Tomczyńskim – Kamil nie lubił o nim myśleć jako o mężu Izy – okazał się bardzo hojny i sporo mu ostatnio zapłacił. Tym razem nie za trawę.

Kamil minął ostatnie zabudowania i skręcił w stronę jeziora, a biszkoptowy labrador zaczął zataczać coraz szersze koła. Lubił obwąchać każdego przechodnia i nie wszystkim się to podobało, ale w kwietniu nad jeziorem było jeszcze pusto. Miejscowi spacerowali chętniej po supermarketach, a turyści zjadą tłumnie dopiero na majówkę. Wyjął z kieszeni komórkę. Stan wiadomości się nie zmienił: zero. Wcześniej przyszło coś od Deka, ale szybko usunął. Teraz, gdy Pan Tom nie żył, jego zapotrzebowanie na chlorofil znacznie zmaleło. Może w ogóle rzuci dilerkę. Iza by sobie pewnie tego życzyła.

Nadal nie rozumiał, dlaczego ojciec tak się wściekał. Matka to co innego, po niej można się było tego spodziewać. To ona chodziła na wywiadówki i opieprzała go za każdą kiepską ocenę, trwała o nauce, o włosach, że mógłby je ściąć. Ale ojciec? Czy nie powinien być z niego dumny? Iza Tomczyńska była kobietą, nie jak te chichoczące dziewczyny z jego klasy. Wysyłały w eter selfiaczki, selfiki, serduszka, fotki z kotami, kretyńskie gify. O takiej kobiecie jak Iza kumple z klasy mogli tylko pomarzyć.

– Coś ty, synku, najlepszego narobił? – zapytała matka tamtego wieczoru, gdy do ich mieszkania wrócił wysoki gliniarz.

Nie przestawała mówić, słowa płynęły jak ropa, która musi gdzieś znaleźć ujście. Coś o spierdoleniu sobie życia i młodości, która krótko trwa. Wycisnął w końcu z oczu kilka łez. Romans z nauczycielką przyjęła z ulgą. Romans to przecież nie morderstwo. Pomyślał o jej wyjazdach i sekretach. Może tak bardzo bała się pustego gniazda, że od dawna wiała je sobie gdzie indziej?

Gwizdnął na psa i zapiął mu smycz, gdy dojrzał grupę przedszkolaków w żółtych kamizelkach. Sabaton uwielbiał dzieci, ale był psem wielkogabarytowym i wystraszyłby je swoim entuzjazmem. Kamil ruszył

dalej, w pola, a gdy oddalił się od gromadki maluchów, przysiadł na zwalonym pniu i puścił psa wolno. Rzucił mu kij, a sam skręcił jointa. Przypomniawszy sobie wyprawę łodzią z Tomczyńską, która dla niego szybko stała się Izą. Rozmawiali o jej ulubionej *Dolinie Issy*. Przeczytał, a potem obejrzał dziwną ekranizację i od tej pory Iza kojarzyła mu się z młodą Anną Dymną, ciemnowłosą, ciemnoooką i dziką.

Iza mówiła o tabuizacji i oniryczności i sprawdził te pojęcia w internecie. Naga kobieta prowadząca konia, mężczyzna, który przywiązuje do drzewa psa, a potem do niego strzela, chłopcy z kawkami przywiązanymi do kijów. „W klimacie lynchowski, z muzyką jak z Hitchcocka”, powiedział jej po obejrzeniu filmu. „No i popatrz – zwróciła mu uwagę – znowu się odnosisz do amerykańskiej popkultury, jakbyśmy nie mieli nic własnego”.

Gdy się spotkali w lesie po raz pierwszy, liście gęsto pokrywały jeszcze gałęzie drzew. Na czubkach mieniły się kolorami, ale niżej kładły się już jesienne cienie. W szkole Iza wydawała mu się miła, myślał nawet, że go lubi, tam jednak przywitała go oschle. Nie rozumiał dlaczego. Wracił po raz pierwszy od faceta poznanego nad jeziorem, oszołomiony jointem, pierwszą wizytą w zajebistej chacie, no i tym – przede wszystkim tym – że właśnie się dowiedział, kim facet jest. Ja pierdołę, Pan Tom, powtarzał sobie może w duchu, może na głos. Niczego starym nie cisnął. Naprawdę nie miał pojęcia, że pisarz ma coś wspólnego z nową nauczycielką polskiego. Skąd niby miał wiedzieć?

Zostawił go wtedy umiarkowanie upalonego i schodził po skarpie w kierunku pomostu, przy którym przycumował łódkę. Był już na polanie, gdy z zagajnika dobiegł go szelest. Spodziewał się ujrzeć dziki. Szwendał się po okolicy z psem wystarczająco często, by wiedzieć, że to ich ulubiona miejscówka. Przesiadywały w cieniu jak barowe żule. Zdziwił się na widok

Tomczyńskiej i nie chodziło tylko o jej obecność na ścieżce wokół Komorza. Zwykle zaplatała włosy w staroświecki warkocz, ale wtedy były rozpuszczone, długie i lśniące. Obcisłe dzinsy i wysokie trapery podkreślały smukłość jej nóg, a bez makijażu nie wydawała się dużo starsza od niego. Myślał o niej ostatnio tak często, że poczuł się dziwnie, jakby w klasie była realną kobietą, ale tutaj zjawą.

Niespodziewanie poczuł wzwód, aż zabolowało, i głębiej wcisnął ręce w kieszenie kurtki, by przykryć rozporek. Pamiętał każdy szczegół ich pierwszego spotkania, nawet błysk pajęczyny, którą przecięła ramieniem, wychodząc na ścieżkę.

Zadzwoił do Izy, ale znowu nie odebrała. Bała się z nim rozmawiać? Miała telefon na podsłuchu? Nie zrobili przecież nic złego, ale słyszał, że pod jej domem non stop wystają reporterzy. Do tego pewnie męczyła ją policja. Bez wątpienia w końcu oddzwoni.

Od jeziora powiał zimny wiatr i Kamil gwizdnał na Sabatona, który dłubał łapami w jakiejś norze i powarkiwał. Po powrocie do domu przełożył repetytoria w widoczne miejsce, tak by matka pomyślała, że się uczył, nie miał jednak do tego głowy. Od kilku dni jego myśli poruszały się po tym samym okręgu. Rozmowa z Panem Tomem, spotkanie z Izą w Baszcie, wizyta policji. Okrąg wirował coraz szybciej, aż Kamil miał wrażenie, że zaraz pęknie mu czaszka. Rzucił się na łóżko i zakrył kołdrą.

Gdy tylko Wanda wsiadła do starego subaru podkomisarza, wyjęła czerwony kubek z napisem „Smile” z uchwytu po stronie pasażera.

– Nie wierzę. Zrobiłeś mi kawę?

Potrząsnęła naczyniem, okazało się puste, a w środku znalazła tylko ciemny osad. Piotr wyjął jej kubek z rąk wyraźnie speszony.

– Wybacz, nie zdążyłem posprzątać. Nie jest mój.

Pomyślała niechętnie, że piła z niego przedszkolanka, z którą Piotr podobno się spotykał. Oczywiście rozbawiła ją ta informacja, bo motyw gliniarza i przedszkolanki był przecież zgrany do cna w amerykańskich filmach. Cóż, Dereń postanowił najwyraźniej coś jeszcze z niego wycisnąć. Jego była żona pracowała jako nauczycielka wczesnoszkolna, można więc było wnioskować, że kręcą go kobiety dyscyplinujące dzieci.

Poczekwała, aż podkomisarz włączy silnik, i zapięła pas. Szczerze mówiąc, po porannej wizycie na strzelnicy nie potrzebowała już kawy, a obecność kubka z uśmiechem w samochodzie Derenia dodatkowo podniosła jej ciśnienie.

– Rozmawiałam dziś z Leszkiem na strzelnicy. Jego kuzyn mieszka w Bornem Sulinowie i zna te tereny. Podobno gdy sąsiednie Kłomino wyszło spod wojskowej administracji, wystawiono je na sprzedaż za dwa miliony złotych.

Dereń skinął głową.

– Ale nie było chętnych, bo i na co. Koszarowe blokowiska w środku lasu. Teraz gadają, że coś z tym można było zrobić, ale wtedy brakowało wizji, a jeszcze bardziej kasy. Koszalińskie nie miało środków, by udźwignąć i Borne Sulinowo, i Kłomino. Był moment, że chciano tam urządzić obóz dla uchodźców, a konkretnie: Polaków z Kazachstanu. Słyszałem też o oazie dla emerytów, miasteczku dla harleyowców, aż w końcu stanęło na tym co teraz. OiD.

– Opuszczenie i dewastacja?

Podkomisarz skinął głową i skręcił na Czaplinek. Dzień był ciepły, wiosenny i na gałęziach szybko przybywało zielonych liści, jakby przyroda chciała nadrobić zimną pierwszą połowę kwietnia. Słońce mocno świeciło w przednią szybę i Wanda opuściła osłonę po swojej stronie.

– W liceum łaziliśmy tam z chłopakami, szukając ruskich i niemieckich pamiątek, łusek po nabojach, nawet hełmów. Drzwi jeszcze wtedy tkwiły w futrynach, a w balkonach pręty. Potem wszystko roznieśli szabrownicy i złomiarze.

– Jak myślisz, co Tomczyńskiego pociągało w tej okolicy?

– Dziwię się raczej, że zainteresował się tym tematem tak późno. Historia radzieckich, a wcześniej niemieckich wojsk na tych terenach nadal wzbudza emocje wcale nie mniejsze niż wampiry.

Wjechali właśnie do Bornego Sulinowa i miasto, które Pan Tom w rozmowie z Koterską określił mianem wymarłego, wydało się Wandzie całkiem żywotne.

– Ktoś tu jednak mieszka. – Wskazała palcem dużą poniemiecką willę. W oknach wisiały zasłony, a na parapecie wygrzewał się w słońcu tłusty szary kot.

– W Bornem owszem, Żenia prowadzi przecież lokalną restaurację. To Kłomino znika z mapy. Tylko tym razem już na dobre.

Minęli kilka wyremontowanych poniemieckich domów i ośrodek wypoczynkowy, po czym wjechali w strefę niszczących bloków pomazanych graffiti. Na ścianie jednego z nich ktoś napisał na czerwono: „Nie kuric!”, a wyżej domalowano niebieskim: „Chcę być księdzem jak mój tata”. W samym centrum miasteczka straszły ruiny okazałej budowli, która kiedyś musiała robić wrażenie. Wanda wyjęła komórkę i pstryknęła kilka zdjęć.

– To Dom Oficera. Jest w znacznie gorszym stanie niż wtedy, gdy przyjeżdżałem tu w czasach liceum. Kawał historii, popieprzonej, ale jednak. Groß Born, bo tak się nazywało Borne Sulinowo za Niemca, otworzył z wielką pompą Hitler. Wiedziałaś o tym?

Pokręciła głową.

– Były tu wtedy kasyno z restauracją, kryształowe żyrandole, piwo, szampan, no i Ewa Braun.

– A teraz jest na sprzedaż. – Wanda zwróciła uwagę na tablicę.

– Podobno znalazł się już nabywca. Będzie miał na głowie konserwatora zabytków, ale oby udało się uratować to miejsce. Kawał historii – powtórzył Dereń. – Poprzedni właściciel chciał tu ponoć urządzić luksusowy hotel, bo przecież tak tu ładnie, lasy, jezioro Pile, ale budynek spłonął. Zresztą nie raz, tylko pożar z dwa tysiące dziesiątego był większy od poprzednich. Nie słyszałaś o nim?

Wanda potrząsnęła głową.

– No tak. Dziesięć lat temu do Poznania pewnie nie docierały tego typu lokalne wiadomości.

O dziwo, nie było w tym stwierdzeniu uszczypliwości.

– Ludzie bali się tu przyjeżdżać? – spytała.

– Niektórzy gadali o napromieniowaniu. No grzybów na pewno tu nikt nie zbierał, przynajmniej przez jakiś czas. – Piotr się uśmiechnął. – Z dziesięć lat temu faktycznie doszło do wypadku. Zbieracze złomu wykopali beczkę, a w niej sto litrów iperytu siarkowego gratis. Trafili do szpitala, a sprawą zajęły się wojska chemiczne.

Zaparkowali pod restauracją U Żeni, którą starszy mężczyzna wyprowadzający psa wskazał im palcem. W ten ciepły kwietniowy dzień na ulicach miasteczka nie brakowało ludzi.

– Tylko wtedy oni młodszy byli. – Żenia uśmiechnął się, częstując ich białoruskim sokiem brzozy w słoikach z grubego szkła.

Doskonale mówił po polsku, z lekkim jedynie zaśpiewem. Miał kozią bródkę i gęstą siwą czuprynę do ramion. W obcisłych dżinsach, z okularami wiszącymi na piersi na srebrnym sznurku, wyglądał jak emerytowany rockandrollowiec, który w odpowiednim czasie przestał wlewać w siebie hektolitry alkoholu.

– W tamtych czasach zdawało się, że wszyscy mieliśmy nie więcej niż trzydzieści lat i ze trzydziestką małych dzieci. Każdy – dodał, szeroko się uśmiechając. – *Nu da*. Zawsze plątało się tu pełno dzieciarni.

Podszedł do nich, gdy rozglądali się w sklepiku przy restauracji, zwanym z rosyjska „magazyn”. Na półkach królowały wódka Chlebnyj Dar, ikra Kremłowski Standard, sało, rosyjska musztarda, i czekolada Aljonka z wizerunkiem rumianej dziewczynki w zielonej chustce na włosach. Żenia wskazał im stolik w głębi restauracji i poprosił żonę, niską i cichą kobietę o azjatyckich rysach, by przygotowała czaj. Miała zamiar napalić węglem pod tradycyjnym samowarem, ale Wanda i Piotr powiedzieli, że się spieszą, więc ostatecznie stanęło na elektrycznym.

– A jak wyjechało wojsko, to się zrobiło cicho – powiedział. – Nawet ptaki nie śpiewały, bo wcześniej tu był poligon. Wojsko do wszystkiego

strzelało, to pouciekały. Tysiące hektarów i cisza... Jak to u was mówią? Jak po śmierci organisty. No i te wielkie pola wrzosów. Co tam Francja, Prowansja, co tam pola lawendy! Wrzosowiska są tu najpiękniejsze. – Uśmiechnął się pod wąsem.

– Pan też wyjechał – stwierdziła Wanda.

– A pewnie. Przez pięć lat prowadziłem tu sklep garnizonowy, no a potem nazad w okolice Doniecka, ale po dziesięciu latach wróciłem. Tęskniłem. – Spojrzał przelotnie na żonę, która włączyła samowar, a po chwili wróciła do stolika z trzema szklankami w wiklinowych koszyczkach i salaterkami konfitury na tacy z czerwonej laki. Uśmiechnęła się nieśmiało. – To były dla mnie bardzo dobre lata. Zakochałem się w Maszeńce, a ona mnie chciała. Otworzyliśmy ten sklepik i restaurację.

– Zarobek z tego jest? – zapytał Piotr, a Wandę jak zwykle zdumiała jego bezpośredniość.

Żenia tylko uśmiechnął się szeroko. Powinna się przyzwyczaić, że Dereń szybko robi na ludziach wrażenie kogoś, z kim kiedyś już pili wódkę i po prostu o tym zapomnieli.

– No kokosów, jak to mówią, nie ma, ale dajemy radę. Wbrew temu, co na początku obiecywali, jak wyniosło się wojsko, pracy tu było mało. Niedawno padła większa firma i są tacy, co wyjechali. Ale Żenia się nigdzie nie wybiera.

Podsunał im konfiturę i nakazał włożyć do herbaty albo zjeść i popić gorzkim naparem, a Wanda rozejrzała się po restauracji, przypominającej typowy rosyjski salon rodem z powieści Tołstoja. Pokój był duży i widny, z ciężkimi meblami stłoczonymi na niemal każdym skrawku przestrzeni, ludowymi kilimami na ścianach i matrioszkami na parapetach. W oknach wisiały koronkowe firanki, a w nielicznych wolnych miejscach zalegały haftowane poduszki. Stoły dla gości schowane były pod długimi

czerwonymi obrusami, na które spływały dodatkowe warstwy serwet i serwetek. Nieśmiała Masza (czy to ona zadzwoniła na policję?) i jej pomocnice musiały dużo czasu spędzać z żelazkiem w ręce. Wanda skierowała badawczy wzrok na Żenię.

– Słyszał pan o pisarzu, który publikował powieści pod pseudonimem Pan Tom?

– Szczerze? Ja nie czytam beletrystyki, czasu u mnie brak, ale domyślam się, że skoro pytają o niego policja i prokuratura, nie chodzi o Nagrodę Nobla?

Wanda skinęła głową.

– Został zamordowany w zeszły piątek. Wiemy, że tu przyjeżdżał, rozmawiał z panem.

Informacja o morderstwie nie zrobiła na mężczyźnie wrażenia. Stacjonował z radzieckim wojskiem w Bornem Sulinowie, a większość życia spędził pod Donieckiem. Z pewnością trzeba by znacznie więcej, żeby go poruszyć.

Potrząsnął głową.

– Pamiętałbym z pewnością spotkanie z pisarzem, bo i zdjęcie pamiątkowe Maszka moja by zrobiła. Tam, w gablocie – wskazał ręką korytarz za przeszklonymi drzwiami – wisi kolekcja moich zdjęć ze sławnymi ludźmi. A niejeden przyjeżdża porozmawiać, popytać o stare czasy. Każdy w Bornem Sulinowie wcześniej czy później trafi do Żeni, po kanfiety, sguzczonkę, bordzomi czy inne *russkoje żarkoje*.

– Bordzomi? – zainteresował się Dereń.

– Nie słyszeli wy? – Żenia podkreślił zaśpiew. – Woda mineralna z Gruzji, co umarłego na nogi postawi. Nawet miejscowi bywa, że kupią, ale ci to bardziej z sentymentu. Ludzie czasem przyjadą z Łubowa, z Krągów. Handelek tu kiedyś odchodził, nie powiem. Z jednej strony

zakazy, a z drugiej ludzie. – Mrugnął do Wandy. – A ludzie żyć chcą. Kochać chcą. Zaraz, jak pani mówi, ten pisarz nazywał się? Pan Tom?

Skinęła głową.

– To mi Maszka mówiła, słyszała w wiadomościach. Ale to on tu u mnie był? Jesteście pewni? Ma pani jakieś zdjęcie?

Wanda poszukała na telefonie najbardziej aktualnej fotografii Jakuba Tomczyńskiego. Dostali ich kilka od jego żony.

– To on był pisarz? Słynny? A niech to, nic nie powiedział! To przecież Kuba, tak się przedstawił. Kuba zamordowany? – Pokręcił głową z niedowierzaniem i oddał Wandzie komórkę. – Maszeńka, słyszałaś?

Odezwał się do żony szybko po ukraińsku i Wanda zrozumiała go na tyle, by wiedzieć, że nie powiedział nic ponad przekazane przez nich właśnie informacje.

– Był u pana?

– No był. Ze dwa razy.

– O czym chciał rozmawiać?

– O tym co wszyscy. O historii Bornego, Kłomina, Brzeźnicy-Kolonii. Nic ja jemu szczególnego nie powiedziałem – dodał. Wydawał się niemal ucieszony. – Tyle co każdemu. Wiadomo no, trochę o wojnie, o cmentarzu i o tym, skąd się wzięła ta skierowana w niebo pepesza.

– Kiedy?

– Pierwszy raz to jakoś jeszcze latem, a drugi nie tak dawno temu. Maszka? Maszeńka? – zawołał żonę i ustalili, że mogło to być ze dwa tygodnie wcześniej.

– Przejazdem był. Do Kłomina się chyba wybierał.

– Mieszka tam ktoś jeszcze? – Piotr wypił już herbatę, a o konfiturze najwyraźniej zapomniał, bo dopiero teraz wyjadał ją powoli łyżeczką.

– Kilka osób, nie więcej, bo kolejny blok wyburzyli ze dwa miesiące temu. Kiedyś Andriusza mieszkał. Dawno go nie widziałem, może umarł? Są tacy, co nadal tam jeżdżą, żeby przeżyć przygodę.

– Jakiego rodzaju przygodę? – Wanda zmarszczyła brwi.

– Organizują te nowoczesne poszukiwania skarbu, gry terenowe. Jak to się nazywa? Keszto coś tam. Wiem już – pstryknął palcami – geokeszing. Jada, myśląc, że tam polska Prypeć, a potem piją z Żenią czaj i mówią, że tam nie Prypeć, tylko Czeczenia. – Obejrzał się za siebie. – Maszeńka nie lubi, jak ja o Czeczenii... No a Kłomino to dopiero kawał historii! – Włączył mu się tryb gawędziarza. – Kto tam kogo nie trzymał w dulagach, stalagach, oflagach. Niemcy Rosjan, Rosjanie Niemców, a jedni i drudzy Polaków i Francuzów. Szczątki tysięcy ludzi rozrzucone są po lasach, niektóre tylko groby oznaczone, szkoda gadać.

Gdy wychodzili z restauracji, Żenia zatrzymał się przy gablotce i włączył przycisk, by ją podświetlić. Rzeczywiście chętnie się fotografował z turystami celebrytami. Kilkoro Wanda rozpoznała, inni byli pewnie znani w określonej grupie, która oglądała ich w serialu czy programie reality.

– Dobrze, że auto dobre. – Żenia pokiwał z uznaniem głową na widok subaru. – Bo do Kłomina droga kiepska. Można skorzystać z usługi płatnego przewodnika w UAZ-ie, ale to z wyprzedzeniem trzeba zaplanować. – Jeszcze raz pokiwał głową, tym razem jakoś smętnie. – No i jak to się dzieje, że człowiek zna słynnego pisarza, ale się o tym dowiaduje za późno.

Na zniszczonej drodze do Kłomina Wanda patrzyła przez okno na leśny krajobraz, który pozostawał przyjemny, dopóki nie ujrzeli zniszczonych zabudowań. Faktycznie kojarzyły się z poczerniałymi blokami, które ucierpiały wskutek zamachów bombowych. Po wojnie w Czeczenii na pewno było takich pełno. Niechętnie wysiadła z samochodu i ruszyła za

Piotrem między szkielety budynków. Jeden wyglądał lepiej od innych, choć szyby były powybijane i tylko w mieszkaniu na parterze w oknach tkwiła dykta, na której ktoś napisał czerwonym flamastrem, koślawo, ale o dziwo bezbłędnie: „Teren Prywatny Wstęp Surowo Wzbroniony”. Gdy weszli do środka, stało się jasne, że spenetrują tylko parter, bo klatka schodowa została w większości wyburzona i nad nimi zionęła dziura z kawałkami schodów pokrytych pleśnią.

Dereń przeszedł po gruzie do odrapanych drzwi, do których przyklejono kawałek tektury z tym samym napisem co od strony balkonu, i pociągnął za klamkę. Zamknięte. Zapukał i Wanda niechętnie podążyła w jego kierunku. Spojrzała z obawą na popękany strop i zręby murów pokryte napisami i obscenicznymi rysunkami. Wszędzie śmierdziało moczem i zgnilizną. W środku usłyszeli szelest, ale gdy Piotr zastukał do drzwi raz jeszcze, zapadła cisza. Prokurator Just wyobraziła sobie szczury buszujące w śmieciach i odchrząknęła głośno, a cokolwiek ruszało się w środku, znieruchomiało.

Wzdrygnęła się i zabiła na szyi pierwszego komara w tym roku.

Po kilku ciepłych, letnich wręcz dniach temperatura spadła o dziesięć stopni, ale nastolatki i tak wyległy na skwer za pawilonami, by palić papierosy i puszczać muzykę z komórek. Piotr zabrał jamnika na spacer, bo nie mógł dłużej ignorować wyrzutu w jego ciepłych, brązowych oczach. Wystarczyło mu poczucie winy w związku z Joanną, z którą nadal się nie spotkał.

Wyjął z kieszeni e-papierosa. Wciąż nie potrafił zrezygnować z nikotyny, która pomagała mu się skupić, a poza tym polubił ten dziwny wynalazek, który pozwalał mu władować jej w krwiobiegu tyle, ile tylko chciał. Cichy głos z tyłu głowy, który podpowiadał, że wpadł z nikotynowego deszczu pod rynnę, uparcie starał się ignorować. Jedynym minusem, który zauważył do tej pory, było to, że e-papieros był tylko jeden. Nie można nim było nikogo poczęstować, by szybciej przełamać lody.

Dexter podbiegł do chłopaka, który usiadł okrakiem na ławce, Piotr przywołał więc jamnika z powrotem. Wydawało mu się przez chwilę, że nastolatek to Kamil Żuk, ale to był tylko szczupły i wysoki chłopak z podobną fryzurą: włosami wygolonymi po bokach i dłuższymi na czubku głowy. W sumie co Żuk miałby robić w Drawsku Pomorskim, obok jego bloku? Piotr wziął jamnika na smycz. Wcześniej rozmawiał z Tobiaszem, który przejrzał nie tylko laptop Tomczyńskiego, ale też listę połączeń na jego telefonie i nie znalazł niczego podejrzanego. Pisarz nie udzielał się

towarzysko: w dniu śmierci rozmawiał tylko z Żukiem, dzień przed z żoną i specjalistą od instalacji alarmowej, a dwa dni wcześniej ze swoją matką. W gruncie rzeczy wiódł spokojne życie, odmienne od tego, które przedstawiał w swoich powieściach.

Piotr pomyślał, że pisanie kryminałów musi być dziwnym zajęciem. W bibliotece nadal nie mieli *Krwi*, ale wypożyczył pierwszą część słynnej trylogii, *Ciało*, i po przeczytaniu stu stron wiedział już, że Jakub Tomczyński nie miał wielkiego pojęcia o pracy dochodzeniówki. Może i dobrze, bo czytelnik umarłby z nudów. Umieścił tam za to historię Ukrainek kupowanych za trzysta dolarów, pozbawianych paszportu i zmuszanych do świadczenia usług seksualnych po to, by odpracować fikcyjny dług. Akcja toczyła się szybko, a poszczególne wątki łączyły się w logiczny sposób, wolne od działań po omacku i biurokracji, której pracownicy komendy doświadczali na każdym kroku. Pan Tom był władcą marionetek. Prowadził śledztwo, nie wstając zza biurka, i ponosił odpowiedzialność tylko przed czytelnikami, podczas gdy ich robota była żmudna, mało efektowna, często jeszcze mniej efektywna, a do tego narażona na nieustanną krytykę ze strony każdego, kto miał dostęp do internetu i potrzebę podzielenia się swoją opinią. A jak powiedział Clint Eastwood w filmie *Pula śmierci*: „Opinia jest jak odbyt, każdy ją ma”.

Piotr włączył ekspres i podszedł do tablicy korkowej. Planował ją przenieść gdzie indziej, ale tak długo wisiała nad stołem, że nie mógłby tego zrobić, bo zostałyby po niej jaśniejszy placek i musiałyby przemalować kuchnię. A nie miał ochoty na malowanie. Żył tu od dwudziestu lat i mieszkanie starzało się wraz z nim. Nie wyobrażał sobie wyprowadzki.

Zdjął z tablicy ulotkę. Zwykle reklamy, które znajdował w skrzynce na listy, trafiały do kosza, ale zdjęcie spływu kajakowego przypomniało mu o kilku pogodnych dniach na Drawie i postanowił ją zostawić. Pomyślał, że

może zaprosi gdzieś Joannę, gdy skończy się to śledztwo. Obok wisiała kartka z Edynburga, gdzie jego córka spędziła niedawno ze swoim chłopakiem dłuższy weekend. O ile mu było wiadomo, ona i Rafał nie porzucili pomysłu poszukiwania skradzionych podczas wojny polskich dzieł sztuki, ale wcześniej musieli skończyć studia i znaleźć pracę. Miał nadzieję, że są tego świadomi. Kartka przedstawiała kobziarza w kilcie na tle średniowiecznego zamku. Piotr spojrział na Dextera, który ocknął się z drzemki i mlasnął wyczekująco.

Gdy tablica była pusta, umieścił na środku żółtą samoprzylepną karteczkę z napisem Pan Tom. Wokół przykleił kilka innych, jak planety krążące wokół Słońca. Najbliżej znaleźli się żona zmarłego, Iza Tomczyńska, oraz jej młodociany kochanek, dostawca trawki Kamil Żuk. Nieco dalej umieścił teściową, gosposię, jej męża i dzieci. Na końcu dolepił jeszcze Agnieszkę Faith i Barbarę Koterską z Liter. Dzisiejsza wyprawa do Bornego Sulinowa i Kłomina nie przyniosła żadnych rozwiązań, ale mimo to umieścił ich nazwy na tablicy.

W końcu przykleił ostatnią kartkę, z napisem „Motyw”. Podkreślił wyraz kilka razy, aż napis niemal stracił czytelność. Piotr odsunął krzesło i założył ręce za głowę. Co mogło zyskać wydawnictwo na śmierci pisarza? Nagły wzrost sprzedaży i równie nagły spadek. Wyjaśniła mu to Barbara Koterska, dyrektorka sprzedaży i marketingu, z którą rozmawiał kilka razy przez telefon.

– Ludzie kochają serie. Na tym zawsze polegała popularność tasiemców, a teraz wypuszczanych w całości seriali na platformach typu Netflix. Sprawdza się ta sama zasada co w *Rejsie*.

– Ma pani na myśli inżyniera Mamonia i tekst: „Mnie się podobają melodie, które już raz słyszałem”?

– Otóż to. Tak naprawdę chodzi o zwrot z inwestycji.

– Zwrot z inwestycji?

– Ilość rozrywki wyciśniętej z poświęconego czasu. To czysty pragmatyzm. Widz czy czytelnik nie traci czasu na poznawanie tego, co nowe.

– No dobrze. Ale dlaczego w takim razie czytelnik miałby nie inwestować czasu w poznanie twórczości zamordowanego pisarza?

– Bo to trochę jak oglądanie pierwszego sezonu, kiedy z góry wiadomo, że nie zakontraktowano drugiego.

Poza tym Litery nie wypłaciły mu miliona złotych w zaliczce, by ostatecznie nie dostać nowej książki. A tymczasem powieści nie było i Piotr wiedział, że Koterska i Faith są tym mocno zaniepokojone. Zdjął z tablicy kartkę z napisem Litery i zgniótł ją w zamyśleniu w kulkę. Najwięcej na śmierci Tomczyńskiego nadal zyskiwała żona i dlatego jej nazwisko tkwiło na tablicy, choć miała niezbite alibi na noc zabójstwa. Podobnie rzecz się miała z chłopakiem. Na tablicy została też Grzelak i jej rodzina.

Dorośle już dzieci gosposi pracowały w Czaplinku. Córka była kasjerką w Dino, a syn jeździł wózkiem widłowym w tartaku. Grzelak po wyleczeniu raka prostaty był na rencie, ale dorabiał sobie stróżowaniem. Piotr spojrzął na karteczkę z napisem Borne Sulinowo. W przeciwieństwie do Wandy nadal uważał, że coś tkwi w skomplikowanej historii miasteczka, ale ludziom stamtąd, Żeni, byłoby na rękę, gdyby Pan Tom właśnie tam umieścił akcję swojej najnowszej książki. Borne Sulinowo dostałoby złotą pieczętkę „Pan Tom” i swoje pięć minut. Świętowaliby właściciele ośrodków turystycznych, organizatorzy zlotów pojazdów militarnych i ludzie tacy jak Żenia. Być może znalazłby się wreszcie kupiec na zrujnowany Dom Oficera.

Piotr wyjął z kieszeni wibrujący telefon. Joanna. Powinien z nią porozmawiać, ale znowu nie odebrał. Potarł czoło. Naprawdę chciał ją

gdzieś zaprosić, może na spływ kajakowy w maju, ale teraz musiał się skupić na śledztwie. Ekspres zabułgotał kilka razy i w kuchni przyjemnie zapachniało kawą. Telefon nie dawał za wygraną, lecz tym razem to była Wanda. Wybrał zieloną ikonkę słuchawki.

– Przeglądam właśnie zdjęcia zrobione przez Tobiasza zaraz po zabójstwie – powiedziała. – Zastanawia mnie jedna rzecz. Porządek.

– To takie dziwne? W końcu za coś płacili Marcie Grzelak.

– Nie chodzi o cały dom, ale o pokój. Ten, do którego gospościa podobno nie miała wstępu, bo Pan Tom odsypiał w nim pracowite noce.

– Nie kierujesz się aby stereotypami? Skoro artysta, to niby powinien mieć bałagan?

– Obejrzyj je jeszcze raz. Pod ścianą stoi biurko z laptopem. Żadnych fiszek, notatek, książek, karteluszków.

– Może wszystkie materiały trzymał na komputerze?

Usłyszał jej zniecierpliwione sapnięcie.

– Według Tobiasza tam też jest porządek i nie ma żadnych plików choćby przypominających fragment powieści. Skoro Tomczyński był w Bornem Sulinowie, powinien chyba zbierać jakieś informacje na ten temat? Stare fotografie, artykuły?

– Co sugerujesz?

– Sama nie wiem. Wydaje mi się to po prostu dziwne. Tobie nie?

– Może był ekscentrykiem jeszcze większym, niż nam się zdaje? A może zwyczajnie zrobił sobie przerwę i pomimo milionowej zaliczki nie zabrał się jeszcze do roboty? Miał dość pieniędzy, stać go było na urlop i oglądanie gwiazd.

Rozłączył się, ale wiedział, że Wanda ma rację. Coś tu nie grało.

Wanda spojrzała ze współczuciem na rodziców Tomczyńskiego. Chciała móc im przekazać informację o ujęciu sprawcy, ale nadal nie mieli pojęcia, kto stoi za zabójstwem, choć od pogrzebu Pana Toma minął tydzień. Pojechała do Szczecina szukać śladów Tomczyńskiego w jego domu rodzinnym, bo czuła, że sprawa im się wymyka. Zostały po nim książki, ale nadal niewiele wiedzieli o nim samym, a doświadczenie mówiło jej, że jeśli nie poznają dobrze ofiary, nie poznają też mordercy. Jakub Tomczyński był tymczasem tak samo czystą kartą jak jego biurko. Zamieszkał na bezludziu, by pisać, palić trawkę i obserwować gwiazdy. To wciąż było mało.

– Syn często państwa odwiedzał?

– Od czasu do czasu. Bardzo dużo pracował. – Jego matka westchnęła. – Bzdury ludzie gadają. Pisanie książek to ciężka praca – dodała, zerkając na męża, który całą uwagę poświęcał dużemu psu. Owczarek belgijski o zadbanej sierści szczechnął i włożył pysk w jego dłoń.

Tomczyński był jedynakiem i może dlatego tak dobrze funkcjonował jako pisarz odizolowany od świata. Wanda wyobrażała sobie, że pisanie książek musi być zajęciem bardzo samotnym. Jego ojciec, inżynier chemik, całe życie zawodowe spędził w Zakładach Chemicznych w Policach. Matka skończyła technikum ekonomiczne i pracowała tam w kadrach. Teraz byli

już na emeryturze i mieszkali w ładnie odnowionej starej willi w zachodniej części Szczecina.

– Byliśmy u nich dwa dni wcześniej, jakby coś mnie tknęło. Dawno się nie kontaktowałam, a ze Szczecina do Kuszewa jest przecież niedaleko.

Spojrzała na męża, jakby chciała, by przyłączył się wreszcie do rozmowy, ale on milczał. Głaskał psa po brunatnej sierści, rudej przy uszach i brzuchu. Wanda spojrzała w załzawione oczy Tomczyńskiej i przeniosła wzrok na głowę jej męża pochyloną nad psem.

– Czy podczas tej ostatniej wizyty zauważyli państwo coś dziwnego w zachowaniu syna lub synowej?

– Co tam u nich mogło być dziwnego. Ładny dom, ładni oni, żadnych trosk, przynajmniej finansowych – dodała szybko kobieta i otarła oczy. – Ja się tylko o wnuka modliłam.

– Jak widać na marne – odezwał się wreszcie jej mąż. Nie podniósł jednak głowy.

Tomczyńska zignorowała jego komentarz.

– Chyba nie mogli mieć dzieci, i tyle. Przestaliśmy pytać kilka lat temu, żeby im nie robić przykrości.

– Jakub wspominał może coś o książce, nad którą ostatnio pracował?

– Miał w umowie z wydawnictwem klauzulę poufności i nie mógł o tym mówić.

Raz jeszcze wytarła oczy okolone pajęczyną zmarszczek.

– Wtedy, podczas państwa wizyty, Jakub i Iza nie wydawali się pokłóceni?

– Byli bardzo zgodnym małżeństwem, kochali się. Ja nie wiem, co to za historia z tym całym Kamilem Żukiem. Może się w niej ten maturzysta zadurzył, i tyle. – Tomczyńska była wyraźnie zdenerwowana. – Iza jest przecież młodą i ładną kobietą.

Tomczyński odepchnął psa i spojrzął na Wandę z niechęcią. Stał w progu, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale machnął ręką i wyszedł.

– Proszę mu wybaczyć. Mąż... – Na policzkach Tomczyńskiej wykwitły czerwone plamy. – My się nadal nie potrafimy pozbierać.

Wanda skinęła głową i przez chwilę milczała.

– Chciałabym zobaczyć zdjęcia Jakuba z dzieciństwa, jeśli to możliwe – poprosiła. – Podobno zabraliście państwo do siebie jego album.

– Wie pani, jak to jest – jęknęła matka Pana Toma, uciekając wzrokiem. – To przecież nasze jedyne pamiątki po synu. Iza na pewno wyjdzie jeszcze za mąż, a wtedy kto wie, co z tym wszystkim będzie. Na niczym innym nam nie zależało. Kuba był dobrym chłopcem. Spokojnym, dobrym chłopcem – powiedziała, podnosząc się z miejsca. Skinęła dłonią na Wandę, by ruszyła za nią po schodach na górę.

W niewielkim pokoju stał regał z książkami, a na najniższej półce leżały grube albumy.

– Na początku martwiliśmy się z mężem, co z tego pisania będzie. Nie chcieliśmy, żeby klepali biedę. Mąż to się nawet na Kubę wkurzał, mówił, że facet powinien sobie poważne zajęcie znaleźć. Zostawię panią z tym. – Podała jej album w brązowej oprawie. – Ja nie jestem jeszcze w stanie. Nie mogę, nie powinnam – rzuciła i wycofała się szybko za drzwi.

Wanda usłyszała jej ciężkie kroki na schodach, a potem ujadanie psa. Wreszcie zapadła cisza.

Dzień był pochmurny, zapaliła więc lampę. Musnęła dłonią staroświecki abażur z frędzlami. Dzieciństwo Jakuba Tomczyńskiego przypadło na przełom lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych i pierwsze uwiecznione momenty jego życia przypominały kolorowe pocztówki. Trzyosobowa rodzina świętująca różne okazje wydawała się szczęśliwa. Na kolejnych zdjęciach pojawiały się nowe osoby, w miarę jak świat chłopca

się poszerzał. Zatrzymała wzrok dłużej na grupowym zdjęciu z trzeciej klasy szkoły podstawowej. Mały Kuba miał urodę sympatycznego chłopca, którego łatwo polubić. Puciołowaty, ale nie gruby, z wesołym spojrzeniem. Dalej wertowała album, płynąc przez kolejne stop-klatki z jego licealnego życia i czasu studiów.

Na ostatnim zdjęciu wklejonym do albumu fotograf uchwycił Jakuba Tomczyńskiego w momencie odbierania dyplomu akademii ekonomicznej. Chwost biretu opadał mu zawadiacko na prawe ucho. Spomiędzy pustych kartek wysunęły się dwie luźne fotografie. Jeszcze wczoraj Wanda nie miałaby pojęcia, gdzie je zrobiono, ale teraz od razu rozpoznała charakterystyczny budynek Domu Oficera. Na jednym ze zdjęć stała młodsza Iza Tomczyńska na tle niespalonego jeszcze budynku. Na rewersie ktoś, zapewne jej mąż, napisał niestarannie „Issa”. Druga fotografia przedstawiała małą dziewczynkę z psem i starszym mężczyzną. Nie było żadnego podpisu.

– Wie pani, kim jest ta dziewczynka na zdjęciu? – zapytała Wanda Tomczyńską, oddając jej album.

– To przecież Iza.

– A mężczyzna? To jej ojciec?

– Nie sądzę. Widziałam go wprawdzie tylko raz na ich ślubie, w dodatku przez chwilę, bo nie został na weselu. Rodzice Izy się rozwiedli, gdy była jeszcze dzieckiem, i o ile wiem, nie utrzymywali ze sobą kontaktu. Jej ojciec był alkoholikiem, zaraz, proszę chwilę poczekać.

Zostawiła Wandę samą w pokoju i wróciła z kolejną fotografią. Przedstawiała skrępowaną młodą parę oraz wysokiego mężczyznę o mocno przerzedzonych blond włosach i obrzmiałej twarzy.

– To on. Mój mąż się uparł, żeby zrobić to zdjęcie. W końcu ojciec.

Wanda pokiwała głową. Do tej pory nie udało im się ustalić miejsca pobytu Andrzeja Podolskiego, ojca Izy.

– Issa to jakieś przezwisko pani synowej?

– On tak ją nazywał. Kuba. Ach, bo pani prokurator nie wie, *Dolina Issy* to była jej ulubiona powieść, przynajmniej na studiach.

Wanda wracała już do Drawska, gdy zadzwonił Piotr. Brzmiał weselej niż ostatnio.

– Alibi rodziny Grzelaków jest potwierdzone, ale okazuje się, że ich córka, Karina, zadaje się z podejrzanym facetem. Odsiedział trzy lata w Wierchowiu z dwiesięć siedemdziesiątego dziewiątego. Czuję, że jak ich przyciśniemy, okaże się, że Grzelakowa dobrze wiedziała, u kogo sprzęta, córka znała kod, a jej chłopak wiedział o sejfie i o zaliczce.

Czyli kolejne włamanie, które poszło nie tak. Wanda nie mogła się oprzeć wrażeniu, że to zbyt gładki finał tej sprawy. Włożyła do odtwarzacza płytę z koncertem klawesynowym Bacha i zwolniła, by dłużej nacieszyć się jazdą wśród starych lip.

– Wiem już, dlaczego słuchasz muzyki klasycznej – stwierdził Piotr poprzedniego dnia, gdy wracali z Bornego Sulinowa. – Bo do tego nie można sobie pośpiewać, jedynie mrużyć pod nosem. – Jakby na dowód włączył składankę Formacji Nieżywych Schabuff i zafałszował basem: – „Na podniebnym szlaku koni, falujących morskich traw, każdy pragnie mieć marzenie, czemu nieeee...”

Coś w tym było. Wanda nigdy nie śpiewała na całe gardło. Nawet gdy była małą dziewczynką. Nawet pod prysznicem.

Pokonała kolejny zakręt i przełączyła odtwarzacz na radio. Sprawdziła kilka stacji, na jednej leciało akurat *Wszystko, czego dziś chcę* Izabeli Trojanowskiej w wykonaniu Brodki. Zrobiła głośniej i zaczęła jej nieśmiało wtórować:

– Wszystko, czego dziś chcę, pamiętaj o tym, polecieć chcę tam i z powrotem – a potem coraz głośniej: – z ramion twych wprost do nieba, do nieba.

Zamilkła zażenowana, gdy entuzjastyczny męski głos wbił się w końcówkę utworu, by jej oznajmić, że wysłuchała właśnie hitu z polskiego serialu kryminalnego *Rojst*. Włączyła Bacha.

BORNE SULINOWO, 9 MAJA 1985 ROKU

Jagoda siedzi sama w domu i po raz kolejny przesuwa ramię gramofonu Bambino nad płytę Maanam. Dziś jest jej smutno i czerń wirująca pod igłą wydaje się złowieszcza jak skrzydło nietoperza. Nastrój Jagody nie pasuje do pięknej pogody za oknem. Deszcz byłby lepszy, szelest kropli na szybach i mokre wróble. Ojciec powiedział rano, że sra na radziecki Dzień Zwycięstwa, ale i tak wiedziała, że dziewiątego maja w zakładzie będzie wódka i wróci zaprawiony późną nocą.

Tyle dobrego, że będzie dziś mogła zdzierać do woli *Nocny patrol* na gramofonie. Skróciła nawet włosy i zrobiła trwałą w zakładzie fryzjerskim w Szczecinku, by wyglądać tak jak Kora, a sąsiadka potwierdziła, że mogłaby dać koncert z playbacku. Jagoda pojechała wczoraj pekaesem i postukała palcem w plakat z „Nowej Wsi”, ale zanim złapała autobus powrotny, zlizła czerwoną szminkę i zawiązała na głowie chustkę, bo wiedziała, że ojcu ta fryzura się nie spodoba. Powie, że wygląda jak kobieta, której jest już wszystko jedno, bo to, co miała najlepszego, oddała mężczyznom. Każdy kobieciec drobiazg – koronkę, szminkę, krótszą sukienkę – traktował jak godny potępienia przejaw kurewstwa. Wstawiła rano kapuśniak na wędzonce, którym jutro udobrucha skacowanego ojca, bo w końcu przecież te włosy zobaczy. Zresztą jakie to teraz ma znaczenie. Niedługo wyjedzie daleko stąd, do Leningradu.

Jagoda podchodzi do lustra i maluje usta na czerwono, zaznaczając wyraźnie łuk kupidyna. Wygląda może jak Kora, ale w środku czuje się jak Jagoda. Boi się ojca tak samo jak zawsze.

Jest smutna, bo wie, że dziś nie uda jej się spotkać z Igorem, który przez cały dzień wraz z resztą wojska defiluje przed generałem. Jagoda nadal jeździ rowerem na handel pod płot, najczęściej bez sąsiadki, która urodziła właśnie czwarte dziecko, kolejnego chłopaka. Ojciec wydziela jej pieniądze na delikatesy z radzieckich uniwersytetów, choć ruskimi gardzi. W lokalnym geesie nie ma nic poza octem i obrażoną ekspedientką, a za wartownią w Bornem mają słodkie mleczko, kawior, kanfiety w czekoladzie. Raz ojciec kupił od nich złoto i zazieleniały mu palce, ale i tak się nie zraził. Hipokryta. Często powtarza, że skoro ich własna władza nie szanuje i więcej jest dla nich warta świńska skóra, z której zrobione są ich buty, to niby dlaczego on powinien. Babcia już nie żyje. Może i dobrze, bo ona na samą wzmiankę o Bornem Sulinowie wypluwała: „Czerwona hołota”, jak najgorsze z przekleństw. Dobrze pamiętała Krągi i to, do czego tam dochodziło zaraz po wojnie, a co zostało zamiecione pod dywan w imię polsko-radzieckiej przyjaźni z bajki *Cztery pancerni i pies*. Tyle że to, co zmiatali pod dywan, wciąż tam jest. Duże i żywe, a gdy się nadeprnie, dywan zaczyna się wybrzuszać.

Tamtego dnia, gdy poznała Igora, spieszyła się, jadąc rowerem przez las, bo obiad był jeszcze niegotowy, a ojciec wracał z roboty głodny i niecierpliwy. Chciał, żeby wraz ze szczękiem klucza w zamku talerz wjeżdżał na stół. Maj był jak teraz, tylko cieplejszy. Od zapachu kwiatów kręciło jej się w głowie. Z krzaków wyszło dwóch żołnierzy w czapkach z czerwonymi gwiazdami, pod którymi pociły im się czoła. Zastawili jej drogę.

– A tobie kuda spieszno tak? – zapytał wyższy, gdy próbowała ich wyminąć, ryjąc kołami w piachu. Nagle leżała jak długa z rowerem w poprzek ścieżki, nie bardzo wiedząc, co się właśnie stało. Ten drugi, niski, pomógł jej wstać, ale za chwilę przycisnął do siebie, ocierając się krocem o jej biodro.

– Przecież my nisztó złego nie chcemy. Razgowor, pokuric. No, kuda ci tak spieszno? Mąż w domu czeka?

Jagoda nie mogła dobyć słowa, nie mówiąc o krzyku. Usta miała suche, a krtań ściśniętą w węzeł. Próbowwała się wyrwać, ale żołnierz ją trzymał w uścisku.

– My dużo nie chcemy. Weźmiemy, co dasz. – Wsunął jej pod bluzkę wielką dłoń i wymacał pierś. Śmierdział potem i tytoniem, a gdy się szarpnęła, mocniej przyciągnął ją do siebie. Ręka powędrowała w dół, pod pasek spódnicy i do linii majtek.

Jagoda spojrzała błagalnie na wysokiego, który wyszczerzył zęby w głupawym uśmiešku. Zdjął czapkę, odsłaniając blond włosy obcięte na zapałkę, między którymi jaśniała różowa skóra.

– Won stąd!

Igor pojawił się na ścieżce znikąd, podobnie jak wcześniej ci dwaj. Był od nich starszy, także rangą, bo wystrzelili w górę, by zasalutować.

– My nisztó – zaczęli się tłumaczyć, ale Igor wrzasnął coś po rosyjsku i zniknęli w chaszczach.

– Nic ci nie jest? – Podał jej chustkę i papierosa, ale pokręciła głową.

Mówił płynnie po polsku. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że zanim dostał przydział do Bornego, oprowadzał po Leningradzie polskie wycieczki. Sam zapalił, patrząc, jak Jagoda ociera sobie twarz i kolana.

– Mało to o nas mówią, że tu siedzimy jak u siebie, że nie bronić, ale rabować przyjechaliśmy. Ech... – Pstryknął niedopałkiem i zdeptał go

ciężkim butem.

Wsiadła na rower, ale po ujechaniu kilkudziesięciu metrów zatrzymała się, by spojrzeć za siebie. Igor nadal tam stał i odprowadzał ją wzrokiem.

– Wiele się przecież ostatnio zmieniło – rzucił Piotr, nie patrząc na Tobiasza. Nie chciał z nim rozmawiać o przenosinach do Szczecina, ale chłopak sam wreszcie z tym do niego przyszedł. – Zrobiłeś studia.

– Taaa. Zrobiłem studia – mruknął młody, nie spuszczać wzroku z mijanych za oknem drzew.

Dereń czekał, aż Tobiasz powie coś jeszcze, ale ten zamilkł. Nad prawą brwią miał przyklejony plaster.

– Zaciąłem się przy goleniu – powiedział, choć Piotr nie zapytał, i wrócił do kontemplowania drogi. Wiele starych drzew wycięto tej wiosny i na zakrętach sterczały brzydkie zręby.

– Jak sam widzisz, dużych, medialnych spraw w Drawsku Pomorskim nie brakuje. No i to ja zarekomendowałem cię przecież na podyplomówkę z informatyki śledczej. Po cholere ci ten Szczecin?

Chłopak wzruszył ramionami. Zdaje się, że nie to Świder miał na myśli, wspominając o zdolnościach interpersonalnych Piotra tak wychwalanych przez Iwanowskiego. Iwana nie było jednak przy nich w kościele, gdy Agata powtórzyła za księdzem, że ślubuje Wiktorowi miłość, wierność i uczciwość małżeńską na wieki wieków amen. Był za to Tobiasz, który na dźwięk tych słów zeszywniał jak oskarżony na odczytaniu wyroku. Kacper, brat Agaty, powiedział pod kościołem, że Wiktor to pizda i jego siostra

popęłniła błąd, ale Tobiasz też jest pizda, skoro odpuścił, więc może ostatecznie nie był to wielki błąd.

Lewy pas wreszcie się zwolnił i Piotr wyprzedził opla z wrocławską rejestracją, który jechał przepisową pięćdziesiątką prawdopodobnie tylko dlatego, że się zgubił. Kierowca rozglądał się na wszystkie strony i jego pojazd zatańczył niebezpiecznie na jezdni. Piotr wolał go mieć za plecami.

– Tobiasz, kurde, ja wiem, że tu nie chodzi o pracę, tylko o kobietę, ale to przecież można załatwić inaczej. Ty i Agata nie musicie pracować razem.

– Co ma szef na myśli?

– Po powrocie z urlopu macierzyńskiego chciałyby dołączyć do zespołu Kacpra. Do narkotyków. Kurwia noga, że tak Wrzosiem polecę, ja nie jestem przecież głupi. Wiem, że chodzi jej po głowie dokładnie to samo co tobie.

Jechali dalej w milczeniu, ale czego się właściwie spodziewał. Myślał, że młody urządzi mu koncert zwierzeń i opowie o miłości do kobiety, która wyszła za innego? Dość już miał melodramatu, który od dwóch lat rozgrywał się na jego oczach. Tobiasz uparcie patrzył w okno.

– Ona nie jest z nim szczęśliwa – powiedział w końcu, stawiając kołnierz kurtki.

– Być może, ale będą mieli dziecko, wybrała i musi żyć z konsekwencjami tego wyboru. Ty też. Według komisarza Świdra dostaniemy Roberta Bakę ze Złocieńca. Znasz Roberta?

Młody skinął głową.

– Myślę, że Robert jest w porządku.

– Jak na niego mówicie? Na komisarza Świdra? – zapytał Piotr, żeby przełamać ciężki nastrój.

– My przecież...

– No dawaj, na pewno już ochrzciliście nowego naczelnika.

– Komsio.

Piotr uśmiechnął się pod nosem, myśląc o „Migotku”.

– Co to za adres? – zapytał, gdy wjeżdżali do Czaplinka.

– Tartaczna.

– To chłopak Kariny Grzelak też pracuje w tartaku?

– Tartak jest przy Wałęckiej, a przy Tartacznej jest mechanik samochodowy.

– Wszystko jasne. Dobrze, że nie ma Mechanicznej.

Gdy dojechali na miejsce, wyjął z kieszeni e-papierosa, ale zapomniał wymienić wkład i mógł się co najwyżej sztachnąć powietrzem, jak jego syn Paweł, który ćwiczył oddychanie z dziwnym Holendrem na YouTube.

Mieli szczęście, bo Prałat stał właśnie przed warsztatem, z którego dolatywały głośne bity hiphopowego kawałka, i rozmawiał przez telefon.

Porozumienie między nim a raperem wydawało się całkowite i co chwilę jeden albo drugi rzucał tekst o kompletnym rozjebaniu i bakaniu. Raper miał tylko lepsze tempo. Piotr zrobił kilka kroków w kierunku dwudziestolatka i spojrzał znacząco na zegarek, ale Prałat odwrócił się na pięcie i mówił dalej. Zachęcał właśnie swojego rozmówcę, żeby przestał rozkminiać, i zachichotał.

Tobiasz zaszedł go z drugiej strony i machnął mu przed oczami legitymacją.

– No to, kurwa, pa. – Prałat przełożył komórkę do drugiej ręki. – Mam tu dwa psy. Nie, nie wiem jeszcze, jakiej rasy – rzucił i się rozłączył. – O co chodzi, panowie?

– O Jakuba Tomczyńskiego.

– Nie znam żadnego Jakuba Tomczyńskiego i nic mnie to nie obchodzi – powiedział, wyjmując z kieszeni paczkę marlboro. Przypominał

trochę Sebastiana Fabijańskiego. Z wyglądu, ale i sposobu mówienia.

– Widzę, że w Wierzchowie niczego cię nie nauczyli. – Piotr starał się nie patrzeć na papierosy. Czuł za to, że narasta w nim złość.

– Nauczyli. – Prałat wyjął z kieszeni zippo i pstryknął, a podkomisarz zdał sobie właśnie sprawę, jak bardzo brakuje mu tego dźwięku. – Nie wtrącać się w nie swoje sprawy.

– Tyle że to jest twoja sprawa. Matka Kariny Grzelak, twojej dziewczyny, pracowała u Jakuba Tomczyńskiego, zamordowanego w nocy z piętnastego na szesnasty kwietnia.

– A więc jest to sprawa matki mojej dziewczyny. Może nawet jest to sprawa mojej dziewczyny. Na pewno nie moja. – Prałat wzruszył ramionami.

– Gdzie byłeś w nocy z czwartku na piątek, z piętnastego na szesnasty kwietnia? – zapytał Tobiasz.

– Musiałbym sobie najpierw przypomnieć, gdzie byłem zeszłej nocy. Pewnie jak zwykle z Kariną.

– Okazuje się, że nie. Twoja dziewczyna siedziała z rodzicami u sąsiadów przed telewizorem, a potem wróciła z nimi do domu. Ciebie tam nie było.

– Wiadomo. Jej starzy za mną nie przepadają, nie pojawiają się na ich wiosce. W Sikorach jestem, jak to mówią, *persona non grata*.

– No więc? Gdzie byłeś w nocy z czwartku na piątek, z piętnastego na szesnasty kwietnia? – Piotr ponowił pytanie.

– Wolałbym nie mówić.

– A co, zmęczyło cię już życie na stojaka i chcesz sobie posiedzieć? Wierz mi, wolałbyś mówić.

Prałat spojrzał na niego z uwagą.

– Wjechała tu wtedy taka wieczorem, miałem już zamykać. Czarny SUV, beemka, nówka sztuka. Miejscowi się takimi nie rozbijają. Jaki wózek, taka lala. – Źrenice mu się rozszerzyły nie wiadomo, czy bardziej na myśl o aucie czy o kobiecie. – Czarny kombinezon, błyszczący jak lakier na wozie, biust wielki, że zamka nie mogła dopiąć, dupka w kształcie serca.

Piotr miał ochotę roześmiać mu się w twarz, bo dobrze wiedział, dokąd zmierza ta historia. Legendy tego typu miał w zanadrzu każdy taksiarz i każdy mechanik samochodowy.

Niewzruszony Prałat opowiadał dalej:

– Gumę złapała. Ha, ha. – Wyszczrzył zęby i zaciągnął się po raz ostatni. – Wysłałem ją na spacer do miasta i szybko zabrałem się do roboty, ale i tak zeszło do dwudziestej. Jeszcze jej płyny uzupełniłem, a jak. Tak że ten. *Full service*.

– No i? Starzejemy się tu – zniecierpliwił się Tobiasz.

– Zadzwoiłem do niej, że autko gotowe do odbioru, ona na to, że Czaplinek taki piękny, godzina późna i postanowiła zostać na noc. W Elekcie się zatrzymała, na rynku, ale narzekała, że się nudzi.

– Poszliście gdzieś? Ktoś was widział?

– No nie tak całkiem poszliśmy, ale dojść doszliśmy, i to nie raz. – Prałat głupio wyszczrzył zęby. Teraz nie wydawał się już przystojny.

– Masz jej numer?

– Jasne, ale sami panowie rozumiecie. Nie chciałbym, żeby się Karina dowiedziała.

Wyjął z kieszeni telefon i podsunął go Piotrowi pod nos. Zdaje się, że uznał go za „dobrego policjanta”. Jak można się było spodziewać, był idiotą, który przechowuje pamiątki swoich erotycznych podbojów. Niezbyt wyraźna fotka przedstawiała pulchną brunetkę o urodzie gwiazdki porno.

Jej czarne bmw, pomyślał Piotr, jeśli historia jest prawdziwa, należy pewnie do właściciela jakiegoś szemranego biznesu.

– To wyłącznie kwestia czasu – rzucił sucho.

– Bo co? Bo powiecie Karinie?

– Bo trzymasz zdjęcia tej dupy na swoim telefonie, a założę się, że masz jeszcze inne, bez tych wszystkich łaszków – odezwał się Tobiasz. – Zgadza się?

Prałat spojrział na niego spode łba.

– Nie chciałbym, żeby dziewczyna miała przeze mnie kłopoty.

– Kontaktowałeś się z nią później?

– Nie. Tak.

– Schizofrenik, kurde, jesteś? – Tobiasz pokręcił głową.

– No nie odbierała. Kilka esek wysłałem, ale też nic. Nie wiem, może numer zmieniała. Może wyjechała.

– Byłoby lepiej dla ciebie, gdyby po prostu nie chciała z tobą gadać. Tomczyński nie żyje, a my dobrze wiemy, za co siedział.

– Nie za morderstwo – zaperzył się Prałat.

– Nie znalazłeś niczego w sejfie i wkurzony zrzuciłeś go ze schodów.

– I niby jeszcze mu kołek wbiłem?

– Podobno nie znasz żadnego Jakuba Tomczyńskiego. Skąd wiesz o kołku?

– Wiadomości czytam, co nie? Nie znaczy, że znam. Że niby co? Raz złodziej, zawsze złodziej? Nie wierzycie, panowie, w drugą szansę?

Tobiasz skopiował numer jego lateksowej kochanki.

– Ale Karina o niczym się nie dowie? Panowie? – krzyknął za nimi żałośnie.

Wieczorem Piotr zaparkował pod domem Joanny. Wcześniej zaopatrzył się w butelkę prosecco, którą poleciła mu ekspedientka na stoisku z alkoholem. Powiedziała, że to najchętniej piją dziś kobiety, a on uśmiechnął się na myśl o Wandzie i jej torfowej whisky zalatującej bandażem. Cieszył się, że Joanna podała mu swój adres, gdy miał ją odwiedzić w tamtą sobotę, bo nachodzenie w przedszkolu z pewnością odebrałaby źle. Zrozumiał, że spieprzył sprawę, i gdy dziś wreszcie dojrzał do tego, by do niej oddzwonić, nie odebrała. Odczekał do szesnastej, bo wiedział, że o tej godzinie kończy pracę, ale nadal nic. Pomyślał, że może jeszcze nie włączyła telefonu, jednak po godzinie spotkało go to samo. Po kolejnej też. No i przed chwilą. Najwyraźniej nie miała ochoty z nim rozmawiać i trudno ją było winić. Od czasu odwołanej kolacji zachowywał się tak, jakby wymazał ją z pamięci.

Zatrzymał samochód niedaleko ładnie utrzymanego poniemieckiego domku z czerwonej cegły. Rosły przed nim tulipany i żółte kwiaty na długich łodygach, których nie potrafił nazwać. Mały ogródek był w pełnym rozkwicie, a jego kolory wyglądały jeszcze intensywniej na tle ciemniejącego nieba. Zanosilo się na deszcz. Nie wiadomo skąd zerwał się silny wiatr i potrząsał dzwonkami zawieszonymi pod dachem sąsiedniego domu. Piotr już miał wysiąść z samochodu, gdy minęły go dwie dziewczynki i podeszły do furtki. Jedną rozpoznał od razu, Joanna nosiła jej zdjęcie w portmonetce i pokazała mu już na ich pierwszym spotkaniu. Dziewczynka była wysoka, podobnie jak jej mama, i wyglądała na więcej niż dziesięć lat. Pulchna koleżanka z rudymi kitkami sięgała jej ramienia, a w rękach trzymała smycz zakończoną małą puchatą kulką. Gdzieś tam w środku błyszczały ciemne oczka i ostre zęby.

Dziewczynki nie zwróciły uwagi ani na wzmagający się wiatr, który wybrzuszał zasłonę w otwartym oknie, ani na samochód Piotra. Były zbyt zajęte rozmową i co chwilę wybuchały głośnym śmiechem. O czym mogły

plotkować? Miał nadzieję, że o pieskach i kucykach, a nie o chłopcach i papierosach, ale szczerze mówiąc, nie pamiętał już, jak to było z jego córką. Odkąd Lena i Paweł byli w podobnym wieku, minęło sporo czasu. Piotr nie tylko niemal całkowicie poświęcał się wtedy pracy, jak wypominała mu wielokrotnie Anka, ale też sam był w zasadzie jeszcze dzieciakiem. Gdy Lena miała dziesięć lat, był przecież w wieku Tobiasza i Agaty.

Dziewczynki wreszcie się rozstały i mniejsza skręciła do sąsiedniego domu, a córka Joanny przeszła przez ogródek pod dzwonekami rozkołysanymi przez wiatr. Piotr spojrzął na nią, zanim zniknęła za drzwiami, i przeraziła go myśl, że miałby przechodzić przez to wszystko jeszcze raz. Znowu nieudolnie komuś ojcować, znowu być dla kogoś kiepskim mężem. Przypomniawszy sobie ostatnie lata małżeństwa i pretensje Anki, które odrastały jak głowy hydry. Gdy jeden konflikt udało mu się zażegnać, w jego miejsce pojawiały się dwa kolejne. Zanim go zostawiła, Piotr był już winien wszystkiego, nawet jej wypalenia zawodowego i tego, że przybywa jej zmarszczek, fałd i siwych włosów. Winien głodu w Afryce. Mógł paść przed nią na kolana i walić się w pierś, a i tak nie zmieniłby niczego. Jedynie podnieść się z podłogi byłoby mu trudniej.

Przypomniawszy sobie, jak wśród rzeczy zostawionych w mieszkaniu przez Ankę po jej wyprowadzce znalazł plik listów, które lata temu wysyłał do niej ze Szczytna. Wypisywał po nocach ogień, który rozpalał go na myśl o jej krótko chłaśniętych dżinsowych spodenkach. Kumpel z pokoju nazywał ten ogień bardziej dosadnie. Pisał też dla niej kiepskie wiersze i planował wspólną przyszłość w domu z werandą oplecioną winobluszczem i stawem pełnym okoni i amurów. Anka zostawiła te listy na dnie szuflady, pod stertą nieaktualnych już zeznań podatkowych oraz wyciągów z małżeńskiego konta.

Spojrzał z niechęcią na butelkę prosecco, jakby krył się w niej złośliwy dzinn, który z pewnością znajdzie sposób, by odebrać, co swoje, gdy już spełni jego życzenie. Jak na znak niebo przeszył błądy zygzak i Piotr już miał zawrócić, gdy ktoś zatrzęsnał okno z fruującą zasłoną i w drzwiach stanęła Joanna.

BORNE SULINOWO, 23 WRZEŚNIA 1985 ROKU

Igor całuje ją w usta i siadają pod drzewem. Pień brzozy jest jeszcze ciepły, a jej gałęzie gęsto pokryte zielonymi i żółknącymi liśćmi. Gdy Jagoda kładzie się na udzie Igora i zadziera głowę, widzi między nimi błękit nieba jak zdjęcie w ramce.

– Nic się nie martw, moja luba, wszystko będzie dobrze. Zabiorę cię do Leningradu. Zobaczysz, jak tam u nas pięknie, ile wysp, ile mostów i muzeów. Wszystko ci pokażę: Ermitaż, Pałac Zimowy i Marmurowy, w którym mieszkał wasz Poniatowski. Będziemy jeździć tramwajami i trolejbusami, aż nam czapki pospadają z głów.

– A białe noce? – Jagoda patrzy, jak listki drżą na wietrze. Trzymają się wciąż mocno gałęzi, aż trudno uwierzyć, że to początek jesieni.

– Od maja aż do lipca nie będziemy w ogóle sypiać. Zobaczysz, że się nie da spać, bo luna wtedy bije na niebie jak od tysięcy świec.

– A jak będę zmęczona?

– To cię będę nosił na rękach.

Jagodzie, choć kocha Igora, Leningrad wydaje się bardzo, ale to bardzo daleki od Łubowa. Nie powiedziała mu jeszcze, ale spóźnia jej się okres, a brzuch zrobił się bardziej wypukły. Jeśli szybko nie wyjadą, ojciec go zauważy i wyrzuci ją na zbity pysk, bo nie dość, że w ciąży, to jeszcze z ruskim. Po wszystkim, co tu robili po wojnie, po tym, jak ciężarówkami

ludzi rozjeżdżali po pijaku, jak zgwałcili tę kobietę i zastrzelili polskiego milicjanta, a potem cicho sza, świadków brak, w papierach hula wiatr. Teraz, we wrześniu, gdy nad ranem mgła chodzi już po polach, lipcowy żar i dwie wspólne noce z Igorem wydają się Jagodzie odległe jak życie bohaterów powieści. Może nawet jej ulubionej, *Mistrza i Małgorzaty*.

Wtedy, w lipcu, Igor stał po kolana w wodzie i opowiadał jej z werwą, jak będzie wyglądał świat, gdy padnie Związek Radziecki. Był pewien, że padnie. Z błyszczącymi oczami i kędzierzawą czupryną przypominał jej Grigorija Saakaszwilego z *Czterech pancernych* i zdawał się mieć jeszcze więcej energii.

– Niedługo to wszystko się skończy. – Machnął ręką w nieokreślonym kierunku.

Zapadł już zmrok i przypiekali na ognisku płatki nadziane na ruszt. Pół dnia przespali w cieniu czarnej olchy, a pod wieczór Igor łowił ryby na prowizoryczną wędkę.

Jagoda okłamała ojca, że jedzie do kuzynki, a Igor wyszedł z koszar na przepustkę. Spędzili dwie noce pod namiotem na wyspie, którą miejscowi nazywali Cyganką. Jagoda była pewna, że sam diabeł ich tam nie znajdzie, a jeśli nawet, to tylko po to, by im powiedzieć dobranoc.

– Co się skończy? – zapytała, podając mu woreczek z solą.

– Wszystko. Sama zobaczysz. Padnie ten kolos na glinianych nogach i odeślą nas do domu. Kurica będzie znowu ptica, a Polska zagranica. Ot co. Wszystko odkładam, cały żołd, żebyś pojechała ze mną. Będziemy parzyć czaj w samowarze i chodzić po łągach. Jesienina i Lermontowa będę ci czytał w oryginale.

– A jeśli nie padnie? Sam mówiłeś, że Gorbaczow, ten wasz nowy sekretarz partii, dopiero zaczyna mówić o reformach, o pieriestrojce i głasności. Co, jak ta pieriestrojka i głasnost mu się udadzą?

– Gorbaczow? On podniósł ceny wódki, żeby naród radziecki się nie rozpijał. Jeśli tak do wszystkich reform podchodzi, wierz mi, padnie w try miga! – Roześmiał się donośnie i sprawdził, czy płotka jest już upieczona w środku. – Tylko ty o tym nikomu nie mów. Niczego ty nie mów, bo mnie więcej nie zobaczysz.

– Komu miałabym rozpowiadać, okoniom w jeziorze? Żadna ze mnie Mata Hari. – Jagoda ostrożnie ułożyła rybę na kawałku gazety. Chrupiąca skórka parzyła ją w palce.

– Nie przesadzam. Kulka w łeb i do piachu – dodał zimno i zapatrzył się w ognisko. Wtedy nawet nie przypuszczała, jak dużo naprawdę wie. Myślała, że lubi się przechwalać, jak każdy mężczyzna.

W końcu oderwał wzrok od płomieni i na jego ustach znowu pojawił się uśmiech.

– To dla ciebie, Jagódka. – Wyjął z plecaka pakunek przewiązany źdźbłem pszenicy. Nastrój jak zawsze szybko mu się poprawił, bo Igor w ogóle rzadko się złościł.

Otworzył książkę na chybił trafił i zaczął czytać ładnym barytonem, po polsku, z lekkim zaśpiewem. „W białym płaszczu z podbiciem koloru krwawnika posuwistym krokiem kawalerzysty wczesnym rankiem czternastego dnia wiosennego miesiąca nisan pod krytą kolumnadę łączącą oba skrzydła pałacu Heroda Wielkiego wyszedł procurator Judei Poncjusz Piłat”^{*}.

Gdy żar w ognisku zaczął dogasać i Cyganek spowiły całkowite ciemności, Igor wziął Jagodę na ręce i wniósł do namiotu.

^{*} Michaił Bułhakow, *Mistrz i Małgorzata*, tłum. Irena Lewandowska i Witold Dąbrowski, Warszawa 2004, s. 22.

Piotr wpatrywał się w załzawione oczy jamnika i zastanawiał się, jak sprawić, by pies sam się wyprowadził na spacer. Ewentualnie jak go namówić, by wypróżnił pęcherz w eleganckim stylu, stając czterema łapami na desce klozetowej. Widział na YouTubie, jak pies o nieco tylko dłuższych łapach doskonale sobie radzi z tą sztuczką, i teraz żałował, że nie nauczył jej Dextera. Ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, była pionizacja ciała i opuszczenie łóżka, a potem mieszkania. Wiedział jednak, że jeśli zaraz nie wstanie, pies zacznie szczekać i skamleć, a jemu naprawdę pięknie łeb. Zamrugał oczami. Oj, bolało. Po nocnej nawałnicy nadszedł jasny, cholernie jasny dzień. Piotr wsunął nos z powrotem pod kołdrę z nadzieją, że wszystko wokół niego zniknie, łącznie z psem, ale Dexter oparł się przednimi łapami o łóżko i nosem wydrążył w pościeli tunel do swojego pana.

Podkomisarz zwlókł się z łóżka, nalał jamnikowi świeżej wody i otworzył dużą puszkę po herbatnikach, która służyła mu za apteczkę. Nie trzymał tam zbyt wiele: plastry, wodę utlenioną, aspirynę i przeterminowany węgiel, który za chwilę będzie tak stary jak ten kopalny. Leki w puszcze zagrzechotały tak głośno, że rozmasował sobie skronie. Piotr rozpuścił w szklance tabletkę aspiryny, a bąbelki przypomniały mu o tych wczorajszych. Nie odmówił, gdy Joanna otworzyła butelkę prosecco, najpierw tę, którą ze sobą przywiózł, a potem kolejną. Nie odmówił, gdy

poprosiła, by został, kiedy błyskawice zaczęły ganiać się po niebie jak jaszczurki. Podobno od dziecka bała się burzy i faktycznie, gdy grzmotnęło, wyglądała na przerażoną. Poprosiła, by jej nie wydał przed córką, która poszła na imprezę piżamową do rudowłosej sąsiadki.

Gdy rozprawili się z musującym winem, Joanna otworzyła butelkę wódki i uznała, że jej strach przed burzą ulotnił się błyskawicznie. Błyskawicznie, powtórzyła ze śmiechem. Później wieczór nabrał alkoholowego turboprzyspieszenia i Piotr śpiewał *Sultans of Swing* koślawą angielszczyzną, a Joanna akompaniowała mu na bębnie, który przytargała z pokoju córki.

Dereń przełknął aspirynę i obrazy zaczęły do niego wracać niczym kompromitujące zdjęcia na końcu *Kac Vegas*. Po brawurowym wykonaniu *Money for Nothing* on i Joanna próbowali się pocałować, ale potknęli się o bęben i upadli na dywan. Tam dopadł ich atak nieopanowanego śmiechu i ona zaczęła rzeźić, a on dostał kolki. Ile, do cholery, wypili tej wódki? Jak przez mgłę przypomniał sobie jeszcze na wpół opróżnioną butelkę campari, którą Joanna wyjęła z szafki. Zdaje się, że dokończył ją sam i być może zapijał mlekiem, bo gdy się obudził, opróżniony karton leżał obok.

Dłużej niż zwykle stał pod gorącym prysznicem, czekając, aż wyparuje z niego choć część toksyn, a potem wypił pół butelki wody i usmażył sobie jajecznicę na boczku. Dopiero po śniadaniu poczuł się nieco mniej sponiewierany. Dexter zamerdał ogonem, gdy zobaczył, że jego pan wkłada buty. Sam zapiąłby sobie smycz, gdyby tylko potrafił.

Poszli tam gdzie zawsze, na skwer za pawilonami. Powietrze po burzy było przyjemnie rześkie, ale ptaki śpiewały dziś zbyt głośno, a świat był zbyt kolorowy. Piotr opuścił głowę. Chciał bezbarwności, szarości, ciemności, a tymczasem nawet ziemia pod stopami wydawała się jaskrawobrazowa.

Ostatnią rzeczą, którą zobaczył, zanim urwał mu się film, były nagie stopy Joanny. Przypominały dwa ruchliwe żyjątka, a w zasadzie zwierzątko. Miała duże stopy. Obudził się w łóżku obok niej w plamie światła, które sączyło się przez szpary w bambusowej roletcie. Odsunął kołdrę, miał na sobie slipy, a ona majtki i stanik. Jej duże białe piersi poruszały się miarowo w rytm oddechu. Do niczego nie doszło, pomyślał z ulgą, byli na to zbyt ubrani i zbyt pijani.

Wstał, starając się nie zrobić hałasu. Joanna pochrapywała, wydając z siebie głośnie świsty, ze stopami wystającymi spod kołdry. Na ramie łóżka wisiała sukienka, którą miała wczoraj na sobie. Gdy się nachylała, dekolt odsłaniał miękkie linie piersi. Piotr napił się zimnej kawy, którą znalazł na stole, i zgarnął do kieszeni telefon i kluczyki. W przedpokoju leżał mały notatnik i chciał zostawić Joannie wiadomość, ale nie miał pojęcia, co miałby tam napisać. Przepraszam? Dziękuję? Dopiero w samochodzie sklecił pospiesznie esemesa: „Do usłyszenia” i dołączył durnowato uśmiechniętą buźkę. Później pomyślał, że mógł napisać coś w stylu: „Ładnie wyglądasz, jak śpisz”.

Dexter wyrwał go z zamyślenia, szarpiąc smycz na widok kota, a gdy zadzwonił telefon, Piotr odrzucił połączenie, byle tylko nie słuchać melodii, która wgryzała się w czaszkę. Za drugim razem stwierdził, że z tego samego powodu lepiej będzie jednak odebrać.

– Dereń – burknął, nie patrząc na wyświetlacz.

– No mam nadzieję, że Dereń. – Usłyszał głos Wandy. – Obudziłam cię?

– Nie śpię od szóstej – odpowiedział, w zasadzie zgodnie z prawdą.

Dexter na całe szczęście odpuścił kotu i teraz obwąchiwał krzak.

– Dzwonili już do ciebie z komendy w Czaplinku?

Przypuszczał, że to było właśnie to pierwsze połączenie, którego nie odebrał.

– Ktoś się włamał w nocy na cmentarz i wykopał trumnę Pana Toma.

Po porannym chesaniu ołowiem, jak nazywał jej regularne treningi Piotr, Wanda czuła się jak zwykle ożywiona. Dziś poszło jej wyjątkowo dobrze. Miała osiem przyzwoitych strzałów, a dwa razy trafiła dziesiątkę. Tylko jeden pocisk odskoczył i wiedziała, że skopała sprawę już w momencie, gdy pociągnęła za spust. Lepiej kontrolowała oddech, co wpływało na poprawę skupienia i postawy. W następnych tygodniach zamierzała popracować nad szybkością. Leszek ze strzelnicy proponował jej trening z długą bronią i namawiał na kałacha, ale nie widziała takiej potrzeby. Nie miała zamiaru uganiać się z karabinem, chodziło jej raczej o poczucie bezpieczeństwa, które nadal kulało po tym, co zaszło na początku stycznia na Wydrzej Wyspie.

Zaraz po zakończeniu rekonwalescencji wzięła się do ćwiczeń na strzelnicy. Od jej szkolenia minęło dużo czasu i czuła, że służbowy glock zardzewiał, a nie chciała już nigdy czuć się tak bezradna jak wtedy. Gdyby nie Dereń... Wolała nawet o tym myśleć. Planowała też zapisać się na coś z dziedziny sztuk walki, mignęło jej ostatnio jakieś ogłoszenie. Zajechała na rynek i zaparkowała pod kamienicą, o której nie myślała już jako o mieszkaniu rodziców. To był teraz – a tak naprawdę już od dawna – dom Natalii.

– Myślisz, że zrobił to morderca? – zapytała siostra. Wyglądała zabawnie z czerwoną chustką zawiązaną nad czołem w dwa rogi. Była

sobota, dziewiąta rano, ale ona też nie spała już od kilku godzin.

Ich spotkania stały się wreszcie bardziej naturalne. Po śmierci ojca przeszłość nie zniknęła, ale nabrała kompaktowego kształtu i pozwalała się zamknąć w szufladzie z odpowiednim napisem. Mały pokoik, w którym umarł ojciec, a wcześniej babka układała latami pasjansy w oparach gęsiego smalcu, zajmował teraz Ignacy, ośmioletni siostrzeniec Wandy.

W mieszkaniu odbywał się remont i panował typowy okołoremontowy rozgardiasz. Większość rzeczy została już spakowana i wyniesiona, a ściany straciły wreszcie brudnożółty odcień. Zapach wilgoci i leków zastępowała woń wapna i świeżej farby. W korytarzu stały już meble z Ikei w kartonach i choć Wanda nie była wielbicielką skandynawskiej masówki, w tym przypadku rozumiała, że nic nie zasygnalizuje lepiej nowego początku.

Siedziały w kuchni, przy dużym drewnianym stole, który jako jedyny ze starych mebli miał tu pozostać, a ich głosy odbijały się od pustych ścian. Natalia oparła się na łokciach. Była zmęczona, ale też bardziej radosna niż zwykle. Dopiero teraz do Wandy dotarło, że siostra też musiała się tu dusić. Była przecież tą córką, która nigdy nie wyjechała.

– Myślę, że zrobił to raczej ktoś, kto się naczytał tych wszystkich bredni w internecie i uznał, że Jakub Tomczyński był wampirem, który sam napisał swoją śmierć.

– Chodzi ci o jego ostatnią książkę? O *Krew*?

– Czytałaś?

– Jeszcze nie, ale zamierzam, gdy tylko skończę z tą nową pasją. – Wskazała głową wałki malarskie suszące się na parapecie. – Zamówiłam w księgarni internetowej, bo w naszej czekają na nową dostawę, że o bibliotece nie wspomnę. Podobno są zapisy, a kolejka chętnych długa jak na serię o Harrym Potterze. Pamiętasz? Ha. A mówią, że Polacy nie czytają.

Natalia wyszła na korytarz i wróciła z trzema książkami o charakterystycznych okładkach. Na *Krwi* widniał sepiowy las widziany z lotu ptaka, a między drzewami wiała się rzeka w kolorze jaskrawej czerwieni. Okładki *Ciała* i *Śniegu* różniły się tylko detalami. Na pierwszej ten sam las rósł wokół kobiecego pępka, a na drugiej pokryty był śniegiem, w miejscu pępka zaś stała odwrócona tyłem postać w czerwonym kapturze.

– No nie patrz tak mnie. – Natalia odłożyła książki na stół. – Ja wcale ślepo nie gonię za sensacją. Po prostu chcę poznać historię, którą ekscytuje się cała Polska. Podobno ktoś włożył do trumny sierp?

Wanda skinęła głową.

– Ułożył go na szyi – wskazała miejsce gestem – a w usta wepchnął kartki z Biblii. Potem sprawca, a raczej sprawcy, bo na miejscu znaleźliśmy dwa różne ślady butów, nieudolnie zasypali grób. Zdaje się, że ktoś ich wypłoszył. Przy okazji rozbili donice z chryzantemami, rozrzućli znicze, maskotki i książki Pana Toma z żałobnymi wpisami. Swoją drogą – Wanda otrzepała z tynku rękaw czarnej bluzki – to ostatnie to jakiś dziwny zwyczaj.

– Na cmentarzu nie ma monitoringu?

– Nie i gdyby nie ten bałagan, nikt by się nie dowiedział. No chyba że konieczna byłaby ekshumacja zwłok. Do tej pory nie zgłosił się żaden świadek. A ślady butów mogą pasować do co drugiego mieszkańca. – Wzruszyła ramionami. – Media rzuciły się na to jak wygłodniałe hieny.

– Sama przyznaj, smakowity kąsek. Chcesz, żebym postawiła karty? – Natalia się uśmiechnęła, bo dobrze знаła stosunek Wandy do jej wróżbiarskiej działalności.

– I powiesz mi, kto rozkopał jego grób? To może idź na całość i wyczytaj w kartach, kto go zabił. Bardzo proszę – westchnęła.

Komórka w torbie wydała kilka zduszonych dźwięków i Wanda spojrzała na wyświetlacz. Zmarszczyła brwi.

– Muszę niestety już jechać. Dzięki za kawę.

Natalia chciała zapytać o coś jeszcze, ale na szczęście zrezygnowała. Wanda weszła do małego pokoju, by pożegnać się z Ignacym, który układał właśnie wymyślną twierdzę z klocków Lego. Ściany były tu teraz przyjemnie oliwkowe, a na podłodze leżały ułożone wczoraj jasne panele. Na półkach stały figurki superbohaterów, pod sufitem wisiał toporny model samolotu. To był teraz zupełnie inny pokój. Spojrzała na skupioną twarz siostrzeńca i stłumiła westchnienie.

Gdy przyjechała tu pod koniec lutego, poczuła charakterystyczną woń śmierci, choć ojciec jeszcze żył. Był żałośnie chudy w ostatnim stadium raka, a między rzadkimi włosami zlepionymi potem dało się zauważyć żółtawą skórą. Być może wziął Wandę za Natalię, bo poprosił gestem o wodę. Chciała mu podać szklanekę, ale nie miał siły utrzymać jej w ręce, podawała mu po odrobinie na łyżeczce. Ojciec cały się trząsał. Chciała coś powiedzieć, jakoś go uspokoić, ale poczuła ucisk w klatce piersiowej, jakby zabrakło jej tlenu. Wiedziała, że dłużej tu nie wytrzyma, była sztywna od stóp po krtań, z której wydobył się w końcu tylko jęk. Łyżeczka wypadła Wandzie z ręki, a ojciec pokazał ruchem dłoni, by nachyliła się bliżej.

Jego oczy oprzytomniały, a kropla potu czy łza stoczyła się po policzku.

– Ty, ty... – wyszeptał.

Wiedziała wtedy, że ją rozpoznał.

– Ignacy jest do niego taki podobny, prawda? Czasem aż przechodzi mnie dreszcz – powiedziała Natalia, stając za jej plecami.

Agata obrzuciła się w lustrze ostatnim krytycznym spojrzeniem i wyszła z domu. Zawsze była wysoką dziewczynką, którą w szkole i przedszkolu ustawiano do zdjęć w ostatnim rzędzie. Pozując do fotografii na balu gimnazjalnym, stała obok wychowawcy i byli tacy, w tym jej niedowidząca babcia, którzy ją brali za jego żonę. Wychowawca był młody i przystojny, podkochiwały się w nim wszystkie dziewczyny z klasy, więc nie było jej z tego powodu specjalnie przykro.

Przez całe życie była jednak dziewczyną nie tylko wysoką, ale i szczupłą, z fiołem na punkcie biegania i treningu interwałowego, więc wielki brzuch, który od kilku tygodni wyprzedzał ją, gdziekolwiek szła, działał na nią deprymująco. Było jej nagle jeszcze więcej i znowu nie pasowały na nią ciuchy z szafy. Powtórka z dzieciństwa. Wbrew temu, co powtarzała wszem wobec, że ciąża to fizjologia, nie patologia, czuła się wyrzucona poza nawias dotychczasowego życia. Myśl o dziecku, które niedługo przyjdzie na świat, powodowała przyspieszenie pulsu, ale jego powodem było nie podekscytowanie, lecz strach. Nie byli na nie gotowi. Nie mieli dla niego nic, nawet imienia. Jak tak w ogóle można? Po ślubie przeprowadzili się z Wiktorem z Czaplinka do Drawska Pomorskiego i wynajęli mieszkanie na drugim piętrze kamienicy przy ulicy Chrobrego. Nadal nie czuła się tu jak u siebie.

Skinęła głową sąsiadce z parteru, która wymiatała kurz spod wycieraczki. Wiktor wyjechał dziś do pracy znacznie wcześniej, po nocy, którą wyjątkowo spędził w domu. Wrócił wczoraj wściekły, a gdy zapytała, jak mu minął dzień, odburknął w odpowiedzi: „A co, książkę będziesz pisać?”, i zgasił światło. Nad ranem, gdy jeszcze spał, a ona rzucała się na łóżku, zauważyła, że ma rozciętą wargę i spuchnięte oko. Jego przystojna twarz nadal była przystojna po lewej stronie. Prawa przypominała gnijący owoc. W co on się wpakował? Po przebudzeniu opieprzył ją tylko, że kręciła się po nocy i go budziła, wolała więc o nic nie pytać.

Gdy między nią a Wiktorem było dobrze, szybowała w górę unoszona jego nieomal dziecięcą radością, a kiedy było źle, chodziła na palcach, zerkając raz po raz w jego stronę niczym służący, który próbuje ocenić nastrój swojego pana. Trochę od niej niższy, wiecznie niespokojny i nerwowy, gdy wychodzili do znajomych, strzelał żartami albo wpadał w posępne milczenie i wyciągał ją do domu, zanim impreza zdążyła się na dobre rozkręcić. Kobiety żegnały go tęsknym spojrzeniem, a faceci mówili: „Ach, ten Wiktor”. Nie bez zazdrości. Uwielbiała to. Uwielbiała to, jak jeszcze na schodach wpijał się w jej usta i mówił, że przecież to banda nudziarzy, a gdy wrócą do domu, a może nawet i tu, teraz, zaraz, szeptał kusząco, zapewni jej dużo lepszą rozrywkę. Po powrocie jednak najczęściej ruszał prosto do laptopa i to nad nim zasypiał, do niego się przytulał, wsłuchany w mechaniczne mruczenie.

Czasem myślała, że to Wiktor jest w ich związku kobietą, która co rusz strzela focha, a ona mężczyzną przepełnionym poczuciem winy, że nawet źródła tego focha nie rozumie. Za każdym razem, gdy musiała pracować po godzinach, wyjeżdżać w środku nocy, próbowała mu to wynagrodzić, planując wieczór pizzy, piwa i tak zwanego męskiego kina, w którym było dużo strzelania i bezsensownego pieprzenia w każdym znaczeniu tego

słowa. Seks był dopowiedzeniem ich wcześniejszych utarczek. Dosłownie miękła w jego rękach jak wosk. Po wszystkim odsuwał się od niej, jakby było mu wstyd, że znowu jej uległ.

Gdy Wiktor awansował na stanowisko menedżera ośrodka wypoczynkowego Perła Pojezierza Drawskiego, wypłacił w banku swoją pierwszą pensję po podwyżce, pchnął Agatę na łóżko i obrzucił ją banknotami. Dokuczał jej, że za grosz nie ma fantazji, gdy próbowała przezornie odsuwać od siebie setki, których nie było tam znowu tak wiele. Nie że tej kasy było za mało, by odtworzyć scenę z *Niemoralnej propozycji*, a ona nie czuła się jak Demi Moore, tylko smoczyca w papierowej kałuży. To nie tak. Po prostu z domu wyniosła szacunek do pieniędzy. Gdy myślała o tym teraz, był to przedostatni raz, gdy się kochali. Rok temu.

Po awansie Wiktor coraz częściej nocował w służbówce, a ona przestała się truć antykoncepcją. Zarządzany przez niego ośrodek się rozbudowywał, oferował warsztaty jogi, ziołolecznictwa i kreatywnego pisania, obsługiwał gości przez okrągły rok. Czasem mówiła z przekąsem, że on jeden znalazł tam sobie „dom z dala od domu”, jak brzmiała reklama ośrodka. Odburkiwał, że teraz wreszcie rozumie, jak to jest, bo do tej pory to on wysłuchiwał, że „służba nie drużba”, a praca kobiety nigdy nie powinna być ważniejsza od pracy mężczyzny. Jej świeżo poślubiony mąż naprawdę tak uważał.

Lubiła się usprawiedliwiać, że to on otworzył szeroko okno ich związku, przez które wszedł Tobiasz. Wszedł? Wciągnęła go tam sama za rękę. Dopiero przy nim zrozumiała, jak bardzo była samotna, a pierścionek zaręczynowy na palcu zaczął jej ciążyć, jakby w oczku tkwił nie diament, ale głaz. Do tej pory wmawiała sobie, że tworzą z Wiktorem dobry związek. Może nie idealny, nie do końca szczęśliwy, ale w końcu gdzie są takie związki? Tylko w serialach typu *Przyjaciele*. Znała go na wyrywki, miała

ulubiony sezon (drugi) i odcinek (siódmy), a i tak lubiła go sobie włączyć, gdy dopadała ją chandra. Sprawiał, że naprawdę czuła się tak, jakby znalazła się gdzieś wśród swoich, dawnej paczki z ogólniaka, która niestety spotykała się coraz rzadziej. A może to ona przestała dostawać zaproszenia?

Wiktor natomiast, ten duży dzieciak, przestał ją traktować jak kompana do zabawy. Trzymał ją z dala od swoich spraw, a ciąża tylko wzmagala jego zły humor. „Ach, ten Wiktor”, pomyślała smętnie.

Gdyby to był odcinek jej ukochanych *Przyjaciół*, tytuł brzmiałby: *Ten, w którym wszystko się kończy*. Brat, który szybko się upił na ich skromnym przyjęciu weselnym, tłumaczył jej, że to niekoniecznie jest coś złego. Wskazywał przy tym swoją nogę z metalowymi nitami w piszczelu, kolanie i biodrze. Czekala go jeszcze jedna operacja i miał nadzieję, że w końcu wróci do czynnej służby. Twierdził, że wypadek zmienił go wewnątrz w sposób, którego nie potrafiła zrozumieć, bo nadal tkwiła w starych schematach myślowych. Być może słusznie porównał ich ślub do wypadku. Sama nie była już pewna, gdzie utknęła.

W każdym razie nie tak sobie to wszystko wyobrażała. Nie była już wcale taka młoda, miała trzydzieści lat, a w głowie kołatały jej słowa babci, że kobieta powinna urodzić pierwsze dziecko przed trzydziestką. Była też jednak policjantką, a gdy Dereń przyjął ją do swojego zespołu, czuła, że jej kariera w policji dopiero się zaczyna. Miała dość zwożenia pijaczków z ulic Czaplinka, a ojciec i brat byli z niej dumni, podobnie zresztą jak Tobiasz, który zerwał z nią przed Wigilią niemal bez słowa. I jakby w jednej chwili wykoleiły się świąteczne ciężarówki coca-coli mknące przez las. Powiedział, że tak trzeba, zanim sprawy między nimi zabrną za daleko. Tyle że tak zwane sprawy już zabrnęły za daleko, w dodatku w ślepy zaułek. Niczego nie rozumiał, ale nie zamierzała się już tłumaczyć. Jak mówiło stare powiedzenie, tłumaczą się tylko winni.

Planowała rozstać się z Wiktorem i pewnej listopadowej nocy, którą jej narzeczony wyjątkowo spędził w domu, gdy zamiast szybko odwrócić się do ściany, przycisnął ją do poduszki, poczuła, że jest mu to winna, jakąś czułość i bliskość na pożegnanie. Tak naprawdę sama potrzebowała pocieszenia, bo czuła się z tym źle, że od miesięcy jego twarz zlewa jej się z twarzą Tobiasza. To była długa noc, podła noc, ale zasnęła uspokojona, że zamyka za sobą pewien rozdział. Niech to szlag. Gdy na początku stycznia zrobiła test ciążowy, pomyślała, że życie najbardziej lubi komediodramat w dekoracjach z telenoweli. Na tym scenariuszu podpisało się dwiema czerwonymi kreskami. Teraz jednak żałowała przyspieszonego ślubu. Najchętniej wszystkich facetów posłałaby w kosmos.

Agata otrząsnęła się ze smętnych myśli i zamknęła w biurze. Tobiasz pojechał przesłuchać panią Miejska Legenda, jak przeżywali lateksową kochankę Prałata, ale nawet gdyby był na miejscu, siedziałby w salce konferencyjnej albo na siłowni. Unikał jej w zasadzie tak samo jak Wiktor. Niech ich wszystkich szlag. Powinna się skupić na pracy i na dziecku. Pomasowała brzuch i otworzyła swój raport. Alibi Grzelaków na noc morderstwa było niepodważalne i nie wśród nich należało szukać mordercy pisarza. Przygotowała też komunikat dla prasy na temat zbezczeszczenia grobu Pana Toma i wysłała go do sekretarki Świdra. Nowy naczelnik lubił kłaść na wszystkim ostateczną pieczęć, nawet jeśli zmiany dotyczyły szyku zdania. Już miała wychodzić, gdy zadzwonili z komendy w Czaplinku. Zgłosiła się kobieta, która widziała, jak w nocy na cmentarz wchodziły dwie osoby ze szpadlami.

Wanda włączyła światło w salce konferencyjnej i Piotr zamrugał oczami. Słońce jeszcze nie zaszło, a spomiędzy chmur połyskiwał już księżyc, biały i cienki jak opłatek. zaproponował jej kawę, ale pokręciła głową i usiadła, nie zdejmując kurtki.

– Podobno z Prałatem pudło? – zagadnęła.

– Eliza Bąk potwierdziła jego zeznanie. Co ciekawe, ta wypasiona fura należy rzeczywiście do niej. Jest dyplomowaną kosmetyczką i regularnie jeździ na Zachód, by ostrzykiwać oszczędne Niemki i Francuzki jadem kielbasianym i kwasem hialuronowym. Za to mamy świadka z dzisiejszej nocy.

Spojrzał na Tobiasza, który rozmawiał przez telefon i właśnie się rozłączył.

– Odnalazła się starsza pani, która mieszka niedaleko cmentarza – powiedział. – Obudziła ją burza i gdy poszła do kuchni napić się wody, widziała, jak dwóch mężczyzn wysiada z samochodu z łopatami. Przypomniała sobie o tym, gdy usłyszała od córki, że rozkopano grób Pana Toma.

– A wcześniej nie wydało jej się to podejrzane?

– Ta kobieta ma prawie pięćdziesiątkę, przeżyła wojnę i komunę. Niewiele rzeczy na tym świecie ją jeszcze zadziwia – odpowiedział

podkomisarz.

– Za to okazała się całkiem krewka? – Wanda wskazała czoło Tobiasza. Na wpół odklejony plaster odsłonił głębokie cięcie. – Nie myślałeś, żeby to dać do szycia?

– To? Nic takiego, zapewniam, że ten drugi wygląda gorzej.

– Zawiodła was elokwencja? – zażartowała.

– Nie było na nią czasu. – Tobiasz rozłożył ręce. Był dziś wyjątkowo tajemniczy.

Wyjął z kieszeni świeży plaster i nakleił go w tym samym miejscu.

– Starsza pani najpierw pomyślała, że to dwie zjawy, bo dopiero co przestało błyskać i grzmieć, jak w horrorze, a później, że to grabarze, którzy nie wyrabiają się z pracą i nocami już groby kopią. Nie mamy podobno pojęcia, jak wielu ludzi umiera każdego roku na początku maja. Ta kobieta prowadzi specjalny zeszyt, w którym przykleja klepsydry i zapisuje pogrzeby. W młodości była księgową – mówił dalej Tobiasz. – Na podstawie adresów zmarłych i miesięcznych statystyk próbuje przewidzieć datę własnej śmierci.

– A poza przepowiadaniem śmierci może nam się jeszcze do czegoś przydać?

– Owszem, to ona ich wystraszyła, gdy zatrzasnęła okno. Zanim odjechali, spisała blachy.

– Staruszka z sokolim wzrokiem?

– Miała na nosie okulary, a ulica jest dobrze oświetlona. Właśnie sprawdziliśmy, że volkswagen, który tam widziała, jest zarejestrowany na Grzelaka, męża gosposi.

– Założę się, że odciski palców na sierpie należą właśnie do niego. – Piotr zdjął kurtkę z wieszaka.

Grzelakowie mieszkali w niewielkim domu w Sikorach z widokiem na jezioro o tej samej nazwie. Od łagodnego brzegu dzieliły ich tylko droga wojewódzka i niewielki pagórek, ale Piotr domyślał się, że mieszkańcy wioski ostatni raz kąpali się tam dawno temu. Na Pojezierzu Drawskim było ponad dwieście pięćdziesiąt jezior, więc na nikim tutaj nie robiły wrażenia.

Tobiasz otworzył furtkę i weszli na podwórko, ignorując jazgot psa na długim łańcuchu. Omijając kurze łajno, młody zrobił kilka zdjęć volkswagena zaparkowanego pod stodołą i dwóch ubłoconych szpadli opartych o jej drzwi. Pies nie przestawał ujadać, gdy Piotr podszedł do łopat i zeszkrobał z jednej z nich przyschnięte błoto. Ktoś ich wreszcie zauważył, bo w oknie werandy zatrzepotała zasłona, a następnie skrzypnęły drzwi. Podkomisarz schował twardą grudę do kieszeni i otrzepał ręce.

– Jak coś na mnie macie, to aresztujcie, do cholery, a jak nie, to przestańcie mnie wreszcie nachodzić! – Najpierw usłyszeli podniesiony głos Marty Grzelak, a dopiero potem mignęły jej wściekle pomarańczowe włosy.

Karina wyszła za matką i trzymała ją za rękaw, jakby próbowała ją hamować, na wypadek gdyby rodzicielka chciała zrobić lub powiedzieć coś głupiego.

– Tym razem przyjechaliśmy porozmawiać z pani mężem. – Piotr zrobił dwa kroki w jej kierunku i pies, który przysiadł przed budą, znowu pociągnął za łańcuch. Zrobił to jednak od niechcienia i już nie szczekał.

– Przecież już go przesłuchaliście. Jego, mnie, sąsiadów, syna i córkę, a nawet tego jej Prałata. – Obejrzała się na Karinę z niesmakiem.

– Mąż w domu, pani Grzelakowa? – powtórzył Piotr z uporem.

– A gdzie ma być? Do pracy się szykuje, na nockę dziś jedzie.

– To nie zajmie dużo czasu.

– No dajże już spokój – syknęła na córkę Grzelakowa, wyrywając łokieć z uścisku, i weszła do domu. Nie zaprosiła ich do środka, ale drzwi zostawiła za sobą szeroko otwarte.

Byli tu już wcześniej i Piotr skierował się prosto do kuchni, w której Staszek Grzelak siedział nad parującym talerzem zupy, zerkając w ekran przenośnego telewizora na lodówce. Podobnie jak podczas ostatniego przesłuchania mężczyzna wydawał się oazą spokoju. Włosy miał mokre, jakby dopiero co wyszedł spod prysznic.

Karina zniknęła w głębi domu, ale Grzelakowa weszła do kuchni i usiadła obok męża, który odsunął talerz.

– Do roboty muszę jechać.

– Mam kilka pytań, możemy tu albo na komendzie. Jak pan woli.

– No dobra, dobra, miejmy to już za sobą. O co się wam znowu rozchodzi? – Grzelak westchnął, ale wstał i wyłączył telewizor.

Miał niespotykane ładne oczy, zielone z długimi rzęsami jak u kobiety, kontrastujące z jego sylwetką. Był wyższy od Piotra, a zwalistą posturą przypominał Wiktora Zborowskiego. Podkomisarz odchrząknął, gdy Grzelakowa zabrała się do mycia naczyń, a pomarańczowe pasemka skakały na jej głowie jak rozeżłone chochliki.

– Drzewa naniesę, bo się front po burzy zmienił. Noc będzie dziś zimna – powiedział Grzelak niby od niechcena, a jego żona pochyliła się niżej nad zlewem, ale już się nie odezwała. Piotr wymienił z Tobiaszem spojrzenia i zostawił go z nią w kuchni. Nie ufał tej kobiecie i uznał, że tak będzie lepiej.

Grzelak odsunął dwa szpadle, które podpierały drzwi stodoły, i przesunął w bok metalową zasuwkę. Weszli do środka.

– A gdzie pana syn? – zapytał Piotr. – W pracy?

– Z kumplami się gdzieś po wiosce szlaja, w końcu sobota. Ale myślałem, że to ze mną ma pan podkomisarz do pogadania?

W środku pachniało słomą i drewnem spiętrzoną po lewej stronie. Grzelak zapalił zwisającą z ukośnej belki żarówkę, podjechał tam taczka i wlażł na stertę, a Piotr przysiadł nieco dalej, na słomianym balocie.

– Gdzie pan był, panie Grzelak, dziś w nocy? Tylko niech pan mi nie mówi, że w pracy. Sprawdziliśmy grafik.

– A co? Znowu kogoś zaciukali i tak się składa, że pracuje tam moja żona?

– No dobrze. – Piotr postanowił skrócić grę wstępną do minimum. Nadal go męczył ból głowy. – Tak się składa, że wiemy, gdzie pan był. Odwiedził pan grób Pana Toma na cmentarzu w Czaplinku.

– Żartuje pan sobie? – Grzelak zamarł prosty jak struna z drewnianym klockiem w dłoni. – Po robocie zjadłem i uwałem się przed telewizorem. Nudy, ale kryminał za to przecież nie grozi. – Rzucił drewno na taczka, jednak chybił i kloc potoczył się pod stopy Derenia. – Wrzucisz go pan?

Piotr nie spuszczał z niego wzroku.

– Na pana nieszczęście mamy świadka, który tej nocy widział waszego volkswagena koło cmentarza.

– A bo mało to srebrnych volkswagenów po mieście jeździ? – Głos Grzelaka przycichł, gdy mężczyzna odwrócił się i nerwowo przebierał w stercie pod nogami.

– Sęk w tym, że mamy świadka i ten świadek spisał wasze blachy. Widział, jak dwie osoby wysiadają z samochodu z łopatami. Jedna wysoka, niemal ze dwa metry, druga niższa, około metra siedemdziesiąt.

– Może cyfrę jaką przekreślił ten wasz świadek? – Grzelak otrzepał ręce i poprawił żarówkę, o którą zahaczył głową.

– Pan jest duży, panie Grzelak, i wie pan, jak to jest. Może pan więcej zjeść i przez całe życie nikogo się pan nie bał, ale trudno pana przegapić czy pomylić z kimś innym. Wie pan też, co myślę? Myślę, że zabrał pan ze sobą syna, i zamierzam go przesłuchać. A ziemia na tych dwóch szpadlach za drzwiami stodoły – wskazał palcem – pochodzi prosto z cmentarza w Czaplunku, bo tu w okolicy takiej nie ma. Pan dobrze wie.

Grzelak zrobił minę, jakby teraz naprawdę się przestraszył, więc Piotr blefował dalej.

– Laboratorium porówna ziemię, którą zdjąłem ze szpadla – wyciągnął z kieszeni grudkę – z próbką z grobu Tomczyńskiego. Co pan na to? Jestem też pewien, że odciski palców na sierpie się zgadzą, no i podeszwy butów. Byliście tam tuż po burzy, gdy przestało lać. Mokłą ziemię łatwiej kopać, ale łatwiej też zostawić w niej ślady. Policja z Czaplunka nie musiała się nawet wysilać.

– No dobrze – Grzelak przysiadł na pniu oznaczonym siekierą – ale syna niech pan w to nie miesza. On nie ma z tym nic wspólnego. To Marta ze mną była, znaczy się moja żona. To był od początku jej pomysł, ale nikogo przecież nie skrzywdziliśmy. On już nie żyje. To tylko grób. Bym w nim nie gmerał, gdyby nie baba, ale o co znowu taka heca. – Spojrzał na Piotra z niechęcią.

– O zbezczeszczenie grobu.

– Jakie tam znowu zbecze... Od początku mówiłem, żeby odpuściła, ale się uparła. Chryste, uparta jest jak mulica, już jej ojciec mi to powtarzał, jak żeśmy przed ślubem wódkę pili. A powiem panu, że mulica by się obraziła.

– Na co się uparła?

– A na to, że on jej spokoju nie daje. Ten pisarz, Pan Tom. Po śmierci odwiedzał ją co noc i tylko wyglądał inaczej.

– Czyli jak? – Piotr wstał ze słomianego balotu i oparł się o belkę. Zadzwoił jego telefon i spojrział przelotnie na wyświetlacz, ale nie odebrał.

– No jak żywy trup, czy jak tam na nich mówią. Zombie. Zbywałem ją na początku, że bzdury opowiada, ale zaczęła mi się po nocach włóczyć do jeziora. Asfaltem i na przełaj. – Machnął ręką, wskazując ścianę stodoły. – Tam, przez pole.

– Skąd pan wie, gdzie chodziła? Śledził ją pan?

– Z początku nie. Nocki robiłem albo spałem, ale raz czy dwa się budzę, poduchę klepię, a baby nie ma. Myślałem najpierw, że poszła za potrzebą czy napić się wody. Czasem jej się gorąco robi, że chce głowę w zamrażalnik włożyć, bo u niej teraz te dni. – Przerwał, by spojrzeć na zegarek. – Do roboty muszę.

Piotr powoli pokręcił głową.

– Zeznanie musi pan złożyć. Zbezczeszczenie zwłok to poważne przestępstwo, panie Grzelak.

– Ale jakie tam znowu... Nic my takiego nie zrobili.

W mdłym świetle żarówki jego zielone oczy nabrały żółtego odcienia. Błysnęły jak u zwierzęcia zagonionego w róg klatki.

– Niech mnie pan zrozumie. Kilka razy ją znalazłem na podwórku w samej tylko koszuli. Głuchą i ślepa na mnie i moje wołanie. Potrząsałem nią i nic.

– Lunatykowała?

– Na to wychodzi – przytaknął Grzelak i włożył ręce do kieszeni. – Poszedłem za nią, a ona hyc na ulicę i nic tylko na boki rozgarnia nie wiadomo co, ot, powietrze. – Zamachał rękoma. – Strach był.

– A nad jeziorem?

– Wchodziła do wody po kostki i tam jakby się budziła. Ostatnim razem szybciej, zanim doszła do jeziora. Wstyd powiedzieć, ale jakby ten, pęcherz

jej puścił i od razu się ockła.

– Pytał ją pan, co pamięta z tych wycieczek?

– Mówiła, że on do niej przychodzi. Jak żywy, tyle że z dziurą tam, gdzie ten kołek miał wsadzony. O tu. – Wskazał serce. – Prowadził ją do jeziora i myślała, że chce ją utopić. Mówiła, że jej dziadek jeszcze o takich opowiadał, upiorach przeróżnych, co się po śmierci tułają po wsiach i po lasach. Spokoju nie mogą zaznać.

– No dobrze, panie Grzelak. – Piotr skinął głową. – Rozumiem, że coś się kobiecie przyśniło, ale po co od razu trumnę otwierać?

Mężczyzna przez chwilę milczał.

– Podobno ten pisarz sam tak napisał, ja nie czytałem, ale żona tak.

– Więc jednak wiedziała, że u pisarza pracuje?

– A skąd! Nic myśmy nie wiedzieli. Dopiero po pogrzebie jego książkę przyniosła do domu. Z krwią na okładce. Tam podobno jest napisane, że jak wampir po śmierci z trumny wychodzi i człowieka nawiedza, trzeba sierp położyć, gdzie szyja, żeby się nie mógł do kupy poskładać i z grobu wyjść. Pismo Święte w usta się wkłada, żeby odpędzić diabelskie słowa. No to tak żeśmy z Martą zrobili.

– Pan sobie zdaje sprawę, panie Grzelak, że to wszystko zabobony?

– A jego książka?

– Fikcja literacka.

– Może i tak, ale na babę siły nie ma. Sam pan wiesz, a jak pan nie wiesz, toś szczęściarz. Słucha się człowiek żony albo spokojnie sobie leży. Na OIOM-ie!

Piotr spojrział na niego ze zmęczeniem. Słyszał już gdzieś ten dowcip.

– Proszę wreszcie powiedzieć, jak to było. Od samego początku. Żona rzuciła go ze schodów, a potem wbiła kołek w serce?

- Marta nikogo nie zabiła.
- Ale uważała go za wampira?

Grzelak zamilkł.

- Musimy przesłuchać pana żonę i przeszukać dom i obejście.

- A nakaz?

– To w amerykańskich filmach. Na dziś wystarczy moja legitymacja, którą pan już widział.

Piotr otworzył drzwi od stodoły i pies znowu zaczął ujadać, naprężając łańcuch. Grzelak spojrział na żonę, która wyszła na podwórko w towarzystwie Kariny i Tobiasza, a Dereń przesunął palcami po grudkach błota rozsypanego w kieszeni, jakby to były paciorki różańca. Jednocześnie chciał i nie chciał, by znaleźli u Grzelaków coś więcej niż te brudne łopaty. To był taki dzień, że miał dość tej roboty. Znowu zadzwonił jego telefon, ale tym razem wyświetlił się numer Wandy i Piotr odebrał.

Wanda wyjrzała przez okno. Reportera, który stał tam od południa, całe szczęście już nie było. Nie chciała z nim rozmawiać na temat tego, co zaszło na czaplineckim cmentarzu, i odesłała go do oficjalnych komunikatów prasowych prokuratury i komendy powiatowej. To, że dziennikarze ogólnopolskich dzienników i reporterzy stacji telewizyjnych tak szybko trafiali pod jej kamienicę, wcale jej nie dziwiło. To nie był Poznań. Wystarczyło zapytać na ulicy czy w byle sklepie, gdzie mieszka prokurator Just.

Otworzyła książkę, która kilka dni temu przyszła na adres prokuratury. Nadawcą było wydawnictwo Nowa Proza, a w środku znalazła kartkę z kolażem wrocławskich widoczków i podniszczony egzemplarz powieści Izy Tomczyńskiej *Strachy na lachy*. Poprosiła Malickich o książkę, której nie znalazła już w żadnej księgarni internetowej ani na portalach aukcyjnych, ale zdążyła o tym zapomnieć. Odwróciła widokówkę, na której ktoś, zapewne Malicki, napisał zamaszyście: „Z pozdrowieniami z Wrocławia!”. Książka miała zaledwie sto pięćdziesiąt stron. Z tyłu na okładce widniało zdjęcie Tomczyńskiej z tego samego okresu, co fotografia zrobiona przez Jakuba na tle Domu Oficera. Miała na nim tę samą fryzurę, równo obcięte włosy sięgały ramion, tu patrzyła jednak w obiektyw bez uśmiechu, jakby chciała sobie dodać powagi.

Wanda zdążyła przeczytać powieść, ale teraz coś jej się przypomniało. Na drugiej stronie znalazła motto z *Doliny Issy* Miłosza: „Zabrał się raz do rysowania łuków, ale nagle przerwał i papier podarł. Bo łuki kochał, a jakoś przyszło mu na myśl, że tego, co się kocha, nie powinno się przedstawiać, że to powinno zostać zupełnym sekretem”*. Przypomniała sobie, że matka Jakuba Tomczyńskiego powiedziała, że właśnie *Dolina Issy* była ulubioną książką jej synowej. Wyjęła z torby czytnik w różowej okładce. Sama wybrałaby czarny, ale etui było urodzinowym prezentem od siostrzeńca, więc używałaby go, nawet gdyby było w kwiatki. Otworzyła *Krew* i szybko odszukała motto, dokładnie ten sam cytat z *Doliny Issy*. To przecież o niczym nie świadczyło. Byli małżeństwem i wbrew temu, co Iza Tomczyńska powiedziała o swoim mężu pisarzu i jego książkach – autokratycznych państewkach – z pewnością inspirowali się nawzajem.

Przecież ludzie, którzy długo żyją razem, mają na siebie ogromny wpływ, nawet gdy nie zajmują się twórczością. Jakub Tomczyński na pewno czytał powieść żony. Niewykluczone, że spodobał mu się nie tylko ten cytat.

Gdy zadzwonił domofon, Wanda wpuściła Piotra do środka i udała, że nie widzi zaschniętego błota, stanowiącego pozostałość po jego energicznym przemarszu przez przedpokój.

– Znaleźliście coś?

– Jeśli pytasz o młotek do wbijania osikowego kołka, to Grzelakowa dawno go już zakopała w ciemnym lesie. Tyle że nawet gdyby się teraz przyznała do zamordowania Tomczyńskiego, tobym tego nie kupił. Zeznała za to, że pisarz nawiedzał ją wielokrotnie po śmierci, by ssać jej krew.

– Rozumiem, że pokazała ślady ukąszeń? – Wanda pokiwała głową, uśmiechając się mimo woli, choć w zasadzie nie było jej do śmiechu. Cokolwiek skłoniło Grzelaków do wykopania trumny ze zwłokami Jakuba

Tomczyńskiego, spowodowało, że Czaplinek znowu był bohaterem nagłówków, a to oznaczało niezdrowy medialny szum, który przeszkadzał im w pracy.

– Przyznała się do zbezczeszczenia jego grobu, choć i ona, i jej mąż nadal mają problem z nazywaniem tego w ten sposób – powiedział Piotr. – Według nich nie zrobili nic złego. Ona po prostu nie mogła dłużej ryzykować, a o tym, jak należy postąpić, jej córka wyczytała we *Krwi*. Podobno Pan Tom umieścił tam gotową instrukcję, jeśli ktoś czułby się nękanym przez wampiry. Mam wrażenie, że całe miasteczko czyta to z wypiekami na twarzy. Co takiego jest w jego choliernej *Krwi*? I nie, nie chodzi mi o pośmiertną analizę składników osocza. – Wyjął z kieszeni e-papierosa i spojrzał na Wandę, jakby ją prosił o pozwolenie.

– Od tego świństwa też możesz dostać raka. Badania wykazują, że e-liquidy zawierają glikol propylenowy i glicerynę, nie wspominając o substancjach zapachowych, które po podgrzaniu są toksyczne. Wiedziałeś o tym?

– Obiecanki cacanki. – Piotr machnął ręką.

Wanda wskazała mu kanapę i weszła do kuchni, by postawić kawiarkę na gazie. Było późno, ale wyjątkowo miała ochotę na kawę. Derenia nie pytała. Nie widziała, by kiedykolwiek pił herbatę, o ile nie chodziło o zbliżenie się w ten sposób do przesłuchiwanego. Wyjęła z szafki dwa kubki i paczkę przyniesionych kiedyś przez siostrę kokosowych ciastek. Spojrzała na datę ważności i wyrzuciła je do śmieci.

– Domyślam się, że ty już to przeczytałaś? – Dereń stanął za jej plecami.

– Owszem. To ze względu na tę książkę dziennikarze już na początku piali, że Pan Tom napisał swoją śmierć, a po nocnej akcji na cmentarzu twierdzą, że epilog *Krwi* pisze samo życie.

– Dziennikarze? Ładnie ich nazywasz. Po tym, co czytam, mam wrażenie, że zostali sami specjaliści od „kopiuj-wklej”. – Zaciągnął się mgiełką e-papierosa i Wanda poczuła mocny zapach syntetycznej wanilii.

– To pierwsza książka, w której Tomczyński dał bohaterowi, a w zasadzie dwóm bohaterom, swoje prawdziwe imię. Nie muszę chyba dodawać, że obu spotkał tragiczny los?

Podawała mu swój czytnik otwarty na stronie tytułowej *Krwi*, a Dereń pogłaskał różowe etui.

– Wszędzie zmiany. Widzę, że polubiłaś pastele?

Wanda wzruszyła ramionami.

– Prezent od siostrzeńca. W ostatniej części trylogii Pan Tom opisuje współczesne śledztwo w sprawie zabójstwa antropolożki, która badała stare groby na cmentarzu w Drawsku. Nie, nie w naszym Drawsku, tylko tym w Wielkopolsce, nad Notecią. Ona i obłądnie przystojny archeolog o urodzie Matthew McConaugheya podejrzewali, że pogrzebano tam kilkanaście osób posądzonych o wampiryzm. Wskazywał na to sposób pochówku. Równolegle prowadzony jest wątek Jakuba, organisty z osiemnastego wieku, który został uznany przez miejscowych za wampira, wyklęty przez mieszkańców wioski, a następnie bestialsko zamordowany przez motłoch. Po śmierci potraktowano go osikowym kołkiem, sierpem, wersetami z Biblii i tak dalej.

– Jak to się kończy?

– Nie chcę niczego spoilerować.

Piotr machnął lekceważąco czarną dymiącą tutką.

– Rozumiem, że antropolożkę zabił ten osiemnastowieczny Jakub, który wstał z martwych, bo okazało się, że ludzie z jego wioski mieli rację i w dzień przygrywał im na organach...

– A w nocy dorabiał jako wampir? Owszem, zabił ją Jakub, ale ten całkiem współczesny. Grabarz z miejscowego cmentarza o niezbyt wysokim ilorazie inteligencji, który w dodatku lubił wypić dla kurażu, by odpędzić złe duchy i poprawić sobie krążenie. Denerwowały go prace prowadzone na „jego cmentarzu” i związane z tym zamieszanie. Wkurzało go rozkopywanie grobów, rozkładanie sprzętu archeologicznego, robienie zdjęć i przewożenie szczątków do laboratoriów. Widzisz, on wszystkich pochowanych tam zmarłych traktował jak swoich dobrych znajomych. Nawet ze złymi miał własny układ. „I see dead people” – wyszeptała złowieszczo, cytując chłopca z filmu *Szósty zmysł*. – Pamiętasz to?

– Widzę martwych ludzi? Jasne, to ikoniczny tekst. Wiedziałaabyś, gdybyś nie gardziła takimi produkcjami jak *Straszny film*. Zdaje się, że Marta Grzelak naprawdę to kupiła.

– Ona i setki innych osób, wystarczy zajrzeć do internetu. Ludziom fikcja miesza się z prawdą.

– Swoją drogą, musiał to napisać bardzo sugestywnie.

– Napisał. Słyszałeś kiedyś o książce Herberta George’a Wellsa *Wojna światów*?

Dereń pokręcił głową.

– To opowieść o inwazji Marsjan na Ziemię, której Amerykanie wysłuchali w formie słuchowiska w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym. Słuchowisko spowodowało masową panikę, bo ludzie uwierzyli, że słuchają reportażu i kosmici naprawdę zaatakowali. Zbiorowe psychozy czasem się zdarzają.

– Ale prawie sto lat później?

– Po tym wszystkim, co ludzie wypisują w sieci, aż dziwne, że wcześniej do tego nie doszło. Przecież już ochrzcili mordercę mianem

„pogromcy wampirów”, a jego wiek określili na tysiąc lat. Chodzi o wątki z *Krwi*, które sięgają czasów koronacji Chrobrego.

Wanda podała Dereniowi kubek z kawą i patrzyła, jak wyciąga z kosza paczkę ciastek.

– Kokosanki, moje ulubione – mruknął. – Co robią w koszu?

– Są przeterminowane.

Odszukał datę na opakowaniu.

– Dwa dni, chyba sobie żartujesz? Zjem na własne ryzyko. Nie mów, że nigdy nie zjadłaś niczego przeterminowanego. – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – A te proteinowe też można? – Wskazał batoniki w otwartej szafce. – Chyba przegapiłem dziś obiad, będą na zakąskę.

Wanda skinęła głową.

– Tomczyński już na początku podpadł Marcie Grzelak. Nie podobało jej się, że wyleguje się przez cały dzień, podczas gdy jego żona haruje w szkole. No i to, że nie mogła wchodzić do jego pokoju.

Piotr wcisnął sobie do ust dwa ciastka i zapił gorącą kawą.

– Gdy go zamordowano i dowiedziała się, co o nim mówią i wypisują, wszystko wskoczyło na swoje miejsce: była pewna, że odsypiał nocne eskapady w trumnie. Czyli artykuł dwieście sześćdziesiąt dwa i skończy się na karze grzywny, a Grzelakowie przez chwilę będą sławni. Mam nadzieję, że nie pojawią się naśladowcy, ale załatwiliśmy na cmentarzu całodobowy monitoring. Oto kolejna cegiełka do legendy Pana Toma.

– Jego książki już wcześniej świetnie się sprzedawały – Wanda skinęła głową w zamyśleniu – ale po jego śmierci to podobno jakiś obłąd, a gdy ludzie poczytają o włożonym w jego trumnę sierpnie i fragmencie Biblii wepchniętym mu w usta, dorobi się nowej rzeszy fanów, psychofanów i hejterów.

– Wydawnictwo i Iza Tomczyńska z pewnością nie będą z tego powodu płakać.

– Wiesz... – Wanda zawahała się, patrząc, jak Piotr zanurza w kawie kolejne ciastko. Nie miała przecież nic poza podejrzeniem, małym i jątrzącym jak ranka na palcu po przecięciu papierem. – Przeczytałam też jedyną powieść jego żony wydaną dziesięć lat temu przez Nową Prozę.

– Słyszałem o niej. *Strachy na lachy*? Teraz gdy świat się dowiedział, że Iza Tomczyńska była żoną Pana Toma, pewnie i ten tytuł doczeka się wznowienia.

Wanda próbowała zebrać myśli.

– *Strachy na lachy* to kiepska historia, w zasadzie nie ma tam żadnej historii, ale jest świetnie napisana.

– To nie jest twoim zdaniem normalne? Chyba każdy po studiach polonistycznych potrafi poprawnie pisać?

– Niby tak, ale coś mi tu nie pasuje. Ta cała zabawa z pseudonimem, manuskrypty trzymane w sejfie, jego puste biurko i wyczyszczony laptop.

– Co sugerujesz? Że to nie Jakub Tomczyński trzasnął te wszystkie bestsellery, tylko ona?

– Sama nie wiem. – Wanda sięgnęła do szafki i wyjęła paczkę serwetek. Podkomisarz zanurzył ciastko w resztkę kawy i oblizał palce ze smakiem.

– Powinnaś czasem spróbować.

– Przeterminowanych ciastek?

– Oblizywania palców.

– Dziękuję, wolę zostać przy starym, nudnym zestawie woda plus mydło.

Spojrzał na nią z rozbawieniem, ale mimo wszystko poszedł do łazienki i umył ręce.

– Sądziś, że powinienem też wziąć prysznic? – Mrugnął kpiąco do jej odbicia w lustrze nad umywalką, gdy weszła ze świeżym ręcznikiem.

Wanda, chcąc nie chcąc, wyobraziła sobie, jak Piotr zdejmuje koszulę, i łazienka wydała jej się nagle bardzo mała i bardzo ciasna. Poczowała zapach, który przywołał wspomnienie. Jego pot mieszał się z czymś, co przypominało egzotyczną kuchenną przyprawę. Gałka muszkatołowa? Szafran? Zarumieniła się głupio i podała Dereńowi ręcznik. Chciała jak najszybciej stąd wyjść.

– Nie masz ochoty czasem zrobić tak? – Dereń poszukał w lustrze jej oczu i zmierzwił włosy mokrymi palcami.

– Co dokładnie masz na myśli?

– No wiesz, nie korci cię czasem, by je uwolnić i zrobić tak? – Zarzucił głową w przód i w tył jak na koncercie.

– Nie. – Uśmiechnęła się do niego i wróciła do pokoju. Zebrała ze stołu puste kubki i włożyła je pod kran.

Piotr stanął z zaciekawioną miną przed portretem młodej kobiety, który wisiał we wnęce.

– To twoja krewna?

– Babka, matka mojego ojca, wywiozła ten obraz z Kresów w czterdziestym szóstym i powiesiła w naszym mieszkaniu jak relikwię. Nie chciała nam nigdy powiedzieć, kto na nim jest.

– Podobna jesteś do niej.

Wanda wzruszyła ramionami.

– To nie jest portret mojej babki.

– Ja nie o tym. Podobnie jak ona lubisz swoje tajemnice. A ten kredens? Chyba też ze starego mieszkania. Wydaje mi się, że go u was widziałem.

– Natalia chciała, żebym sobie wybrała pamiątki po rodzicach, zanim zacznie remont. Wzięłam ten obraz i kredens, i trochę książek mamy. Kiedyś go odnowię. – Przeciągnęła ręką po chropawej powierzchni mebla.

– Znasz się na renowacji staroci?

– Na pewno znajdę jakiś samouczek w internecie.

Zignorowała uśmiech na jego twarzy. Wiedziała, że ma wielką ochotę nazwać ją Dorotką, ale milczał. Ona za to czuła się dziś dziwnie nerwowa w jego obecności.

– Natalia planuje wszystko umeblować Ikeą. Uważa, że to dobry pomysł ze względu na Ignacego.

– Nowy początek? Mały na pewno bardzo przeżywa śmierć dziadka.

– Śmierć dziadka, wydarzenia na Wydrzej Wyspie. Sporo się ostatnio działo w jego ośmioletnim życiu. A jeśli chodzi o dziecięce życie, chciałam ci pokazać coś jeszcze. – Wanda sięgnęła po torbę i wyjęła z niej dwie fotografie małej i trochę starszej Izy Tomczyńskiej na tle Domu Oficera.

– Skąd je masz?

– Od matki Tomczyńskiego. Były w jego albumie ze zdjęciami. Może coś znaczą? Oba zrobiono w Bornem Sulinowie. To pierwsze w czasie, gdy Jagoda Filipek mieszkała z małą Izą w Łubowie. Nazywała się wtedy jeszcze Podolska. Zdjęcie zrobiono przed jej rozwodem. Matka pisarza nie poznała nigdy ojca Izy, więc nie była pewna, czy to nie Podolski. Być może?

Piotr nie potrzebował dużo czasu, by rozpoznać mężczyznę na zdjęciu.

– To przecież ojciec Kamila Żuka, Igor Żuk. Dużo młodszy, ale to na pewno on.

* Czesław Miłosz, *Dolina Issy*, Kraków 2000, s. 63.

Wanda zamknęła okno, by uciszyć warkot kosiarki, i ponownie spojrzała na kobietę siedzącą po przeciwnej stronie biurka. Jagoda Filipek była niska, o wiele niższa od córki, ale miała tak samo delikatną twarz madonny ze starych obrazów. Gęste czarne włosy nosiła rozpuszczone, nie starając się ukryć siwych. To właśnie grube białe pasma sprawiały, że wydawała się starsza niż metrykalne pięćdziesiąt pięć lat.

Urodziła Izę, gdy skończyła dwadzieścia, co w latach osiemdziesiątych nikogo nie dziwiło. Sześć lat później rozpoczęła nauczycielskie studia zaoczne w Koszalinie, a wkrótce po ich zakończeniu rozwiodła się z mężem, i to już było nietypowe. W latach dziewięćdziesiątych kobieta z dzieckiem na wsi trzymała się męża, nawet gdy bił czy zdradzał. Tyle że Jagoda Filipek nie została w Łubowie.

Zaraz po rozwodzie przeprowadziła się do Szczecina, tam uczyła w szkole i samotnie wychowywała córkę. To w Szczecinie poznali się Iza i Jakub. Wprawdzie on studiował ekonomię, ona polonistykę, ale mieli kilkoro wspólnych znajomych.

– Jak pani myśli, kto zamordował pani zięcia? – Wanda postanowiła od razu przejść do rzeczy.

Podolska spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– To chyba wasze zadanie, by znaleźć mordercę Kubę i wsadzić go pod klucz do końca życia.

– Ale na pewno się pani nad tym zastanawia.

– Nie mam pojęcia. Czytałam gdzieś, że podejrzewacie włamanie rabunkowe, i ta wersja wydaje się chyba najbardziej prawdopodobna. Do tego ta szalona gosposia, która dobrała się do jego trumny. – Wzdrygnęła się. – Mam nadzieję, że wysłaliście ją na badanie psychiatryczne? Widziałam zdjęcia w internecie jej i tego jej męża. Wielki chłop, ale i tak się zastanawiam, jak tego dokonał.

Pokręciła głową i zamilkła na chwilę, jakby również zaczęła się zastanawiać, jak Grzelakowie otworzyli trumnę.

– Zawsze uważałam, że mieszkać na tym odludziu nie jest bezpiecznie ani zdrowo, człowiek jest zwierzęciem stadnym. Ale kto by mnie słuchał. Na pewno nie moja córka.

– Nie ma z nią pani dobrej relacji?

Podolska uniosła cienkie brwi.

– Ma pani dzieci? – spytała.

– Nie mam.

– Po latach dochodzę do wniosku, że tak jak zdarzają się matki, które mają niechciane dzieci, tak samo bywają dzieci, które mają niechciane matki. Iza od małego była bardzo samodzielna.

– A pani były mąż? Andrzej Podolski?

– O co konkretnie pani pyta?

– Czy Iza ma z nim dobre relacje?

– Rozwiedliśmy się, gdy była dzieckiem.

– Płacił alimenty?

– Andrzej? Alimenty to on producentom wódki wysyłał przez całe życie. Opuściłam.

Wanda zastanawiała się nad kolejnym pytaniem. Chciała, żeby Jagoda Filipek wreszcie opuściła gardę.

– Czytała pani książki zięcia?

– Oczywiście. Byłoby chyba dziwne, gdybym tego nie robiła. Uczę polskiego, to chyba u nas w genach – dodała z półuśmiechem.

– Podobały się pani?

– Kuba pisał całkiem przyzwoicie.

– Tylko tyle? To wielokrotnie nagradzany pisarz. Kochają go krytycy i czytelnicy, rzadkie połączenie.

– Mój zięć by pani powiedział, że w moich ustach to wielki komplement. Nigdy nie byłam zbyt wylewna w pochwałach. Na pewno pani pamięta ten typ nauczycielki.

– Na piątkę zasługuje Pan Bóg, nauczyciel na czwórkę, a uczeń najwyżej na trójkę?

Filipek się uśmiechnęła.

– Ja stawiałam czwórki i piątki, choć te ostatnie, przyznaję, bardzo rzadko. Nie dlatego jednak, że nie chciałam. Gdy Iza napisała *Strachy na lachy*, myślałam, że później pojawią się kolejne książki, ale powiedziała, że woli uczyć, tak jak ja. Cóż, szewc bez butów chodzi, poloniści rzadko zostają pisarzami. Dziś zajmują się tym głównie ekonomiści tacy jak Kuba, prawnicy, czasem jakiś dziennikarz. Ale Iza zawsze miała do tego talent. Skrobała już jako dziecko, wierszyki, rymowanki, opowiadania. Naśladowała swoich ulubieńców. Był czas, że leciała Poświatowską, Pilchem, potem swoim ukochanym Miłozsem. W ogólniaku napisała opowiadanie w stylu Kinga, naprawdę niezłe, mroczne. – Filipek się

zamyśliła. – Zresztą *Strachy na lachy* to też nie była zła książka. Iza ma słuch.

– To ona gra na fortepianie? – Wanda przypomniała sobie instrument na środku holu.

– Mam na myśli inny słuch. Słuch do słów. Sama nie wiem, dlaczego się zniechęciła po tej pierwszej próbie, ale czasem myślałam, że...

Wanda poruszyła się niespokojnie na krześle.

– Że?

– To dziwnie zabrzmiało, ja wiem. Myślałam, że pomagała Kubie pisać te książki i stąd pseudonim.

– Co ma pani na myśli?

– Dzięki pseudonimowi Kuba pozostawał w ukryciu. Nie musiał się spotykać z czytelnikami i odpowiadać na pytania dotyczące powieści, których przecież nie znał. Pseudonim to wygodna czapka niewidka.

Wanda spojrzała na kobietę z uwagą.

– Córka powiedziała pani coś na ten temat?

– Absolutnie nie. Ech, niech mnie pani nie słucha. Co ja wygaduję, może jednak jestem zazdrosna, że to nie moja córka.

– Wiedziała pani o jej romansie?

– To jakaś bzdura.

– Bzdura, którą pani córka przez cały czas podtrzymuje. Zeznania Kamila Żuka i recepcjonistek z hotelu składają się zresztą na jej alibi.

– Żuk. – Filipek powtórzyła nazwisko chłopaka i spojrzała twardo. – To przecież niemożliwe. Moja córka nie jest morderczynią, ale nie jest też kochanką tego nieszczęsnego chłopca.

Wanda odsunęła się od stołu i zapytała z pozoru obojętnie:

– W jakiej sprawie Jakub Tomczyński dzwonił do pani piętnastego kwietnia?

– Chodziło mu o informacje i zdjęcia dotyczące Bornego Sulinowa. Z pewnością już pani wie, że wychowałam się niedaleko, w Łubowie, i tam urodziła się Iza. Obiecałam mu, że poszukam. To w Bornem Sulinowie umieścił akcję nowej powieści? Tej, za którą dostał milionową zaliczkę?

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze Wanda. Hałas za oknem ucichł, a gdy je otworzyła, do środka wdarła się woń świeżo skoszonej trawy. – Co pani robiła w nocy z piętnastego na szesnasty kwietnia?

– Jak zwykle spędziłam wieczór w domu.

– Sama?

– W towarzystwie Kinga – odpowiedziała Filipek. – Ale cóż, jego *Zielonej mili* nie można przecież wezwać na świadka. Gdy na drugi dzień zadzwoniła do mnie córka i powiedziała, że Kuba nie żyje, pomyślałam o tamtych skazańcach czekających latami na wykonanie wyroku. Idzie truposz, idzie truposz. – Poruszyła się na krześle i jej prosta czarna sukienka wybrzuszyła się przy biodrach. – Wyobrażam sobie, że tak właśnie wygląda starość. Jak czekanie na śmierć, którego mojemu zięciowi oszczędzono. Martwię się o Izę – dodała na jednym wdechu, a jej głos wreszcie złagodniał.

– To znaczy?

– Moja córka wydaje się silna, ale to bardzo wrażliwa dziewczyna. Nikogo nie skrzywdziła, a ta sprawa, rozdmuchiwana w mediach, w końcu ją zniszczy. Chciałam, żeby się do mnie przeniosła, choćby na jakiś czas, dopóki ludzie nie przestaną gadać. W małych społecznościach wyroki zapadają cholernie szybko. Żarna sprawiedliwości mielą powoli, ale ludzkie języki bardzo szybko. Sama pani wie.

Wanda skinęła głową. W tym jednym Jagoda Filipek miała z pewnością rację. Przesunęła w jej kierunku zdjęcie małej, może dziesięcioletniej Izy w towarzystwie starszego mężczyzny.

– Skąd pani to ma? – zapytała Filipek, wyraźnie wytrącona z równowagi.

Zanim się opanowała, Wanda dostrzegła w jej oczach błysk rozpoznania, ale i czegoś jeszcze. O wiele głębiej skrywanej emocji. Wzięła zdjęcie do ręki i spojrzała na rewers, jakby szukała tam informacji.

– To pani córka, prawda?

Filipek skinęła głową.

– A ten mężczyzna?

– Nikt szczególny. Dawny znajomy. Skąd to pani ma? – zapytała ponownie.

– Ten dawny znajomy to ojciec Kamila Żuka. Dziwny zbieg okoliczności, prawda?

BORNE SULINOWO, 15 CZERWCA 1986 ROKU

Jagoda wodzi niechętnym wzrokiem od niespełna dwumiesięcznego zawiniątka w różowym beciku do zdjęcia na ścianie. Fotograf dokonał cudu, bo ona wygląda na nim na szczupłą, a jej mąż na trzeźwego. Ma na sobie za duży w ramionach ciemny garnitur, a ona odziedziczoną po matce białą suknię ze stójką. Sąsiadka, która chodzi w piątej ciąży, nie tracąc nadziei na dziewczynkę, wypuściła tylko zaszewki w talii, żeby zrobić miejsce na jej pięciomiesięczny brzuszek.

Wtedy, dwudziestego pierwszego października, widziała Igora po raz ostatni. Nie przyszedł na kolejne umówione spotkanie, a Żenia w sklepie za wartownią powiedział jej tylko tyle, że Igor zniknął. Nikt dokładnie nie wiedział, gdzie go szukać. Nazad ujechał i tyle. Całe jej ciało zrobiło się wiotkie, jakby miała zemdleć, i oparła się o ladę. Instynktownie położyła ręce na brzuchu.

– Dlaczego pojechał? Dlaczego tak nagle?

Żenia pokręcił głową i dał jej gruzińskiego szampana, jakby na pociechę, ale wiedziała, że żadna butelka nie udobrucha ojca. Miała dziewiętnaście lat, maturę, obrzmiałe piersi i rosnący brzuch, ale jemu to nie przeszkodziło, by jak gówniarzowi wlać jej pasem. Na drugi dzień przyprowadził bladego ze zdenerwowania chłopaka ze swojego zakładu i oznajmił jej, że ślub odbędzie się w Boże Narodzenie.

Dziś jej mąż i ojciec są w pracy. To dobrze, bo nie zniosłaby ich obecności w mieszkaniu. Ojciec ćwierka nad niemowlęciem jak stary siwy dureń, a Podolski, bo od dnia ślubu nie myśli o mężu inaczej, ma w sobie tę denerwującą usłużność, gotowość do dogadzania jej i małej dziewczynce, która wydostała się z wielkim krzykiem na świat. Co z niego za facet, skoro wziął sobie za żonę przechodzoną babę. Ojciec cały czas jej powtarza, że powinna go po tyłku całować, ale ona nie ma ochoty go w ogóle dotykać. Leży obok niego na tapczanie nieruchomo jak owad, który udaje martwego. Noc w noc wymawia się połogiem, dzieckiem, zmęczeniem, bólem głowy. Nienawidzi go coraz bardziej za tę nieznośną cierpliwość, za to, że patrzy jej w oczy.

Śpi niewiele, a gdy zasypia nad ranem, zmęczona, jakby ktoś nagle gasił jej światło w głowie, nadal widzi jasne korytarze Ermitażu, które stają się coraz dłuższe i ciemniejsze. Kończą bieg w czarnych wąskich tunelach, nitkach, w których nie ma powietrza. Igor zwyczajnie się zabawił przed powrotem do Leningradu, a wszystkie jego obietnice okazały się bez pokrycia. Czy nie przed takimi mężczyznami przestrzegał ją ojciec? Jagoda nastawia płytę i adapter odzywa się cichym głosem Kory: „Jeszcze mnie życie życiem nie rozgrzało, a już ciało chłodniejsze w cień się usuwa. Coraz rzadziej się śmieję, tęsknię za czymś ogromnie. Coś w oddali jaśnieje, kusi, wabi jak sen”. Ech, Kora kochana, ona jedyna rozumie. Ona wie, jak to jest.

Dziewczynka zaczyna płakać, więc Jagoda wkłada ją do wózka i otula lekką pikowaną kołderką. Dzień jest ciepły, a ona tak zmęczona, że gdy wychodzi na słońce, robi jej się fizycznie niedobrze. Najpierw chce zabrać dziecko na krótki spacer nad jezioro, ale ostatnio sobie nie ufa. Zbyt często myśli o skończeniu wszystkiego, a woda w słońcu migocze, kusi, chłodna i gładka. Na torach znaleźliby ją od razu, a zanim ją wyłowią, upłynie sporo

czasu i będzie tak, jakby naprawdę wyjechała. Na dnie jeziora znajdzie Leningrad dla siebie i swojej córeczki.

Otrząsa się z głupich myśli i pakuje małą do malucha ojca, a potem pcha wózek po piachu, wśród pokrzyw, które smagają jej łydki. Wszystko jest tak jak dawniej, a jednocześnie inaczej. Słońce wciska się między gałęzie i parzy w czubek głowy. Jej włosy dawno już odrosły i nikt by się teraz nie dopatrzył podobieństwa między nią a Korą z plakatu. Przerzuca czarne pukle na piersi, by przykryć dwie mleczne plamy na bluzce.

Dziecko zaczyna płakać i Jagoda się waha, czy nie odstawić wózka na skraj lasu. Zostawiłaby ją tam w cieniu tylko na chwilę, co się może stać? Na samą jednak myśl zaciska kurczowo dłoń na metalowym uchwycie. Nie może się rozstać z córką nawet na jedną chwilę. Wozi ją tam i z powrotem, i mała w końcu usypia z rączkami rozrzuconymi na poduszce. Z budki zwisa medalik świętego Krzysztofa, który powiesił tam ojciec, jakby mała była kierowcą albo żeglarzem. Jagoda podjeżdża do wartowni, ale żołnierz nie chce z nią rozmawiać, a paczka wymiętych caro nie robi na nim wrażenia.

Wyjmuje z siatki na zakupy podniszczony egzemplarz *Mistrza i Małgorzaty*, ale mężczyzna najwyraźniej nie czyta książek, a tym bardziej po polsku. Powtarza za to: „Igor” i z uśmiechem stuka w okładkę.

– On wielbiciel Polszy i Polaków – dodaje.

– A gdzie on teraz? – podchwytuje szybko Jagoda, ale wartownik od razu przestaje się uśmiechać, a jego twarz staje się płaska i obojętna jak u Lońki w wiejskim geesie. – Ty wiesz gdzie on, prawda? On mieszka w Leningradzie, ja potrzebuję jego adres. Ja do niego list napiszę. – Kreśli w powietrzu kilka niewidzialnych liter.

– Po co jemu twój list, głupia? On nazad ujechał.

Jagoda nie daje się tym razem łatwo zbyć, posyła mu najbardziej zalotny ze swoich uśmiechów i zrywa z budki złoty medalik. Wymyśli coś. Ojcu powie, że zgubiła na spacerze, na leśnych wertepach. To dlatego nie zdążyła jeszcze ugotować obiadu, że chodziła i płakała, przeszukując chaszczę. Chowa adres Igora pod materacyk i głaszcze śpiącą dziewczynkę po spoconej główce. Droga powrotna przez las jest prosta i równa, a wózek lekki, jakby w środku leżała lalka.

Od czasu ostatniej wizyty Wandy w domu Tomczyńskich wszystko wokół zarosło, jakby stoczył z naturą nierówną walkę. Trawa sięgała łydek, a płot wzięło w posiadanie zielsko zbite w kosmate wiechcie. Krzew róży nad furtką wypuścił kłęby kolczastych pędów, które rozorałyby Wandzie twarz, gdyby w ostatniej chwili nie odsunęła ich ramieniem. W nocy po okolicy przetoczyła się kolejna burza, ale tu, u góry, padało niewiele, więc bez problemu dotarła przez las swoim Citroënem. Za furtką stały jeszcze długie rzędy wypalonych zniczy i maskotek. Trochę trwało, zanim policja z Czaplinka poradziła sobie z koczującymi tu fanami prozy Pana Toma, ale dziś był już spokój. Zmoknięte poletko dowodów pamięci, które przypominało to wokół uporządkowanego już grobu, robiło smętne wrażenie.

Wanda przełożyła telefon do drugiej ręki. Iza Tomczyńska nadal nie odbierała, zdaje się, że jej komórka była wyłączona. Szkoda, bo miała co najmniej kilka pytań i nie dotyczyły wcale książki *Strachy na lachy*. Jeszcze raz nacisnęła dzwonek, a potem obeszła dom dookoła, ale wydawał się zamknięty na głucho. Rolety były spuszczone, jakby Tomczyńska wyjechała znacznie dalej niż po zakupy. Choć Jagoda Filipek wspomniała niedawno, że chciała zabrać stąd córkę do siebie do Szczecina, Wanda nie sądziła, by Tomczyńska skorzystała z zaproszenia. Nie miały dobrej relacji, co obie podkreślały przy kilku okazjach. Wdowa po pisarzu była bogatą

kobietą. Mogła wynająć luksusowy apartament czy willę w dowolnym miejscu i zagwarantować sobie anonimowość. Tu też jeszcze niedawno kręcili się przedstawiciele mediów.

Jak na znak usłyszała za płotem szelest, ale gdy podeszła do ogrodzenia, nikogo tam nie było. Może gdzieś w krzakach wciąż krył się reporter z teleobiektywem. Miała wielką nadzieję, że dziś wieczorem nie zobaczy swojej podobizny na portalach internetowych. Raz po raz dochodziło do przetasowania newsów i sprawa morderstwa Pana Toma wskakiwała z powrotem na początek stawki. Wanda wróciła do drzwi i zadzwoniła ponownie.

– Pani może otworzy. Ze mną nie chce gadać.

Kamil Żuk pojawił się nie wiadomo skąd i stanął na wybrukowanej ścieżce. W ślad za nim przybiegł biszkoptowy labrador, który zaczął machać ogonem na jej widok. Chłopak miał ponurą minę i Wanda pomyślała, że wygląda jak dzieciak. Obciął włosy, które wcześniej nosił związane w kok na czubku głowy, i stał zgarbiony ze zwieszoną głową.

– Na jej miejscu bym wyjechał, kręcą się tu różni – mruknął.

– Prasa?

Kamil wzruszył ramionami.

– Dziennikarze, miejscowi. Różni. Kurwa, no... – Schował twarz w dłoniach. – Chciałbym z nią tylko porozmawiać. – Zamilkł i wcisnął ręce w kieszenie.

– Często tu przychodzisz?

– Czasem. Ale ona nigdy nie odbiera ani nie otwiera.

Spojrzał jeszcze raz w okna, gwizdnął na psa i zniknął za furtką. Wanda odczekała pięć minut i też chciała wsiąść do samochodu i odjechać, gdy otworzyły się drzwi i mignęła w nich Iza Tomczyńska. Pokazała się tylko na chwilę, ale wystarczająco długą, by Wanda zdążyła zauważyć, że

wygląda okropnie. Miała na sobie wymięty dres czy pidżamę i narzucony na wierzch jedwabny szlafrok. Wąski pasek wił się za nią po podłodze i znikał w ciemnościach.

Wanda wymacała włącznik światła w korytarzu i zamknęła drzwi. W środku panował stęchły zapach starego jedzenia i dawno niewyrzucanych śmieci, a także woń kota, który na widok pani prokurator zmrużył oczy i uciekł. Na fortepianie nadal stał kandelabr, ale świece w nim były już całkiem wypalone, a na lśniącym wieku leżała pusta butelka po whisky. Salon też ginął w ciemnościach i gdy Wanda zapaliła światło, usłyszała zduszony jęk od strony kanapy przykrytej niechlujnie pościelą. Tomczyńska prawdopodobnie rzadko opuszczała legowisko. Na podłodze leżały laptop i talerz z resztkami jedzenia. Wyjęła spod poduszki coś, co wyglądało na pilot, i w pokoju na chwilę znów zrobiło się całkiem ciemno, dopóki zewnętrzna roleta nie powędrowała w górę. Gdy dojechała do połowy owalnego okna, zatrzymała się ze stęknieniem, a Tomczyńska wydała z siebie podobny dźwięk. Skrzyżowała nogi na kołdrze i odgarnęła włosy zaplecione w skołtuniony warkocz. Z pościeli dolatywał zapach potu i alkoholu.

– Poszedł już sobie? Kamil? – zapytała.

– Tak.

– To dobrze. Powinien przestać się tu kręcić. Wie pani już, kto zabił mojego męża?

Wanda pokręciła głową.

– To niech pani wypierdala. – W głosie Tomczyńskiej nie było w zasadzie złości.

– Nie sądzę, by... – zaczęła Wanda, ale kobieta przerwała jej w pół słowa:

– Nie sądzi pani, by co? Nie sądzi pani, by to był dobry czas na inwektywy? Na język ulicy? Na agresję werbalną? Czy ja wiem? – Tomczyńska podrapała się po głowie, jakby naprawdę miała zamiar przemyśleć sprawę. – Wydaje mi się, że to doskonały czas.

– Napije się pani może wody?

– Z panią się napiję, dlaczego nie – sapnęła. – Może być i woda. Proszę tylko nie zwracać uwagi na bałagan w kuchni. Osobiście mam go w dupie, *pardon my French*. Gdzie też ja go mam, zwykle lubię szukać synonimów, ale teraz... – Prawą nogę przełożyła nad lewą i skrzyżowała je ponownie.

Wanda weszła do kuchni, która prezentowałaby się lepiej, gdyby nie buszował po niej kot. Najwyraźniej już zaakceptował obecność intruza, bo nie czmychnął, gdy zapaliła światło, nawet na nią nie spojrzął znad uwalanej tłuszczem kuchenki. Wyglądał jak wielki szczur żerujący na resztkach. Na płytkach leżał zbity słoik, z którego wyciekał czerwony sos z kawałkami papryki i szkła. Wanda wyminęła brudne płytki i wyjęła z szafki dwie szklanki. Rozejrzała się za butelkowaną wodą, ale nic takiego nie znalazła, napełniła je więc pod kranem. Tomczyńska wypiła wodę duszkiem i otarła usta rękawem szlafroka. W wąłym świetle dnia wyglądała na chorą. Jej oczy o sinych obwódkach jakby zapadły się w głąb głowy. Wcześniej była szczupłą, teraz chorobliwie wręcz chuda.

– No, w każdym razie – powiedziała, odstawiając szklankę, jakby nie było żadnej przerwy w rozmowie – wszędzie w domu jest bałagan. Okazało się, że kochana pani Marta woli sobie trumnę wykopać, niż przyjść posprzątać. Och, tak trudno teraz o dobrą pomoc domową – dodała teatralnie i założyła ciaśniej poły szlafroka.

– Próbuję się do pani dodzwonić od rana, bo pojawiły się nowe fakty w sprawie i chciałabym je zweryfikować – powiedziała spokojnie Wanda. – Zmieniła pani numer?

Tomczyńska grzebała przez chwilę w pościeli, aż w końcu znalazła komórkę. Włączyła ją i wpisała PIN.

– Powinam. Gdybym wiedziała, że pani zadzwoni, to co innego. – Uśmiechnęła się szeroko, a Wanda pomyślała, że ta kobieta potrafi grać. – Ale pani nie dzwoniła. Tylko Kamil, który oczekuje ode mnie tego, co niemożliwe, albo matka, która spodziewa się po mnie tego, co chujowe, a gdy jej to wreszcie daję, ona nagle zmienia front. Ta kobieta jest pełna niespodzianek. Przybiera ton *à la* czekolada, którego w życiu u niej nie słyszałam. „Przyjedź do mnie, córeczko, nie ma może luksusów, ale odpoczniesz od prasy”. Proszę mi wierzyć, u mojej matki nigdy się nie odpoczywa. Tego słowa nie ma w jej słowniku. Jest surowa jak kawał nieobrobionego drewna. Zawsze myślałam, że jest Niemką, w dodatku protestantką. Myśli pani, że to możliwe?

Wanda spojrzała na Tomczyńską w milczeniu.

– Dlatego mam kota. Uczę się czułości. Szukam kobiecej strony swojej natury i staram się ją w sobie pielęgnować. A wracając do mojego telefonu, nie zapominajmy o dziennikarzach, fanach Pana Toma i tak zwanych zwykłych ludziach, którzy dzwonią albo wysyłają esemesy. Jeszcze chętniej, odkąd się dowiedzieli, że dyrektor liceum wysłał mnie na urlop zdrowotny i zatrudnił nową polonistkę. Mogą mieć teraz pewność, że nie będę się mścić na ich dzieciach. Coraz mniej lubię zwykłych ludzi. Coraz mniej lubię małe miasteczka. „Mam w dupie małe miasteczka”, zna to pani?

Wanda potrząsnęła głową.

– Był taki poeta, jeden z przeklętych, choć moim skromnym zdaniem przeklęci są wszyscy poeci, dopóki nie trafią do agencji reklamowej. – Zaśmiała się brzydko. – Nazywał się Andrzej Bursa. Mogła pani też usłyszeć ten tekst w serialu *Rojst*.

Wanda znów zaprzeczyła ruchem głowy. Nie dodała, że nie ma czasu na oglądanie seriali. Byłoby to tak samo głupie jak tekst, że ktoś nie ma czasu na czytanie książek.

– Polski, ale niezły. Okropne, że wciąż musimy dodawać taki komentarz drobnym drukiem.

Podala jej swój telefon i Wanda przeskrolowała ostatnie wiadomości. Kilka było od Kamila, wypatrzyła też trzy prośby o wywiad, ale reszta wyglądała na typowe anonimowe pomyje, które różniły się od siebie w zasadzie tylko pisownią. W niektórych były błędy ortograficzne, inne napisano o dziwo poprawną polszczyzną: „Powierzyliśmy ci swoje dzieci, jak ci nie wstyd, bura suko!”, „Czy Pan Tom naprawdę spał w trumnie?”, „Czy wampiry mają dużego?”, „Dobrze, że twój mąż zdechł, teraz twoja kolej!”.

– Powinna to pani zgłosić. To są już jawne groźby. – Wanda wskazała palcem ostatnią wiadomość.

Tomczyńska machnęła ręką i wyjęła spod zwiniętej w wałek poduszki opróżnioną w połowie butelkę osiemnastoletniej aberlour.

– No właśnie czułam, że mnie coś uwiera – mruknęła i obwiodła palcem nakrętkę butelki.

To był zacny trunek i Wanda kiepsko zamaskowała nieprofesjonalną tęsknotę.

– Napije się pani? – zapytała Tomczyńska.

Wanda podziękowała.

– No tak. Jest pani, jak to mówią, na służbie. Ale nikomu przecież nie powiem. Jednak nie? Jak pani chce. Matka odwiedziła mnie wczoraj i było zupełnie jak w jakichś *Trudnych sprawach*. Chciała, żebym jej powiedziała wszystko to, czego nie powiedziałam wam do tej pory.

Wanda spojrzała na nią z ciekawością.

– Jak byłam mała, ojciec przyprowadził do domu psa. Takiego zabiedzonego kundla, którego znalazł w lesie. Ktoś go przywiązał do drzewa. Musiałam go zostawić w Łubowie, kiedy matka zabrała mnie do Szczecina. Jak ja płakałam za tym psem. Całe moje życie to był ten pies i do dziś pamiętam zapach jego sierści. Chciałam z nią wczoraj o tym porozmawiać, ale doszłam do wniosku, że nie ma sensu. Ona jest nadal przekonana, że była fantastyczną i nieomylną matką. Za to ja przyniosłam jej wstyd.

– Jakie ma pani relacje z ojcem?

– Żadne. Opowiadam o zamierzczłym dzieciństwie.

Wandzie przypomniała się wizyta u rodziców Jakuba.

– Ale był na waszym ślubie?

– Owszem. Nie mam pojęcia, kto mu podał miejsce i datę.

– A później nie widywała się pani z nim? Nie szukał kontaktu?

Tomczyńska potrząsnęła głową.

– I nie wie pani, gdzie teraz mieszka?

– Nie mam pojęcia. Jak go znajdziecie, dajcie znać, ale przypuszczam, że sam się zgłosi. Teraz, gdy wszyscy wiedzą, że jestem wdową po Panu Tomie, modlą się do moich pieniędzy. Odezwała się nawet kuzynka, z którą ostatni raz rozmawiałam dwadzieścia lat temu. Do tego zgłaszają się wydawcy.

– Wydawcy?

– Wszyscy chcą wydać wznowienie tej mojej szmiry, *Strachy na lachy*. Tak to właśnie działa. To rynek najbardziej zakłamanym na świecie i nikt nie zakrzyknie, że król jest nagi. Nie dlatego, że się boją, ale dlatego, że teraz co drugi król świata gołą dupą. Wie pani, jakie dostaję oferty? Od najlepszych. Nawet tych, którzy do tej pory wydawali noblistów. Pieniądze

mówią – potarła o siebie kciukiem i palcem wskazującym – cała reszta to interpretacja.

– Czytałam tę książkę. Nie jest zła. We *Krwi* znalazło się to samo motto.

– Naprawdę to pani przeczytała? *Strachy na lachy*? – Nagle przestała być cyniczna i spojrzała na Wandę okrągłymi oczami małej dziewczynki. Trudno było wyczuć, czy fakt, że Wanda przeczytała jej książkę, cieszy ją czy smuci. Jednak była próżna jak każdy autor?

– Tak, i jestem przekonana, że wbrew temu, co tu ostatnio usłyszeliśmy, miała pani wpływ na twórczość męża.

Tomczyńska spojrzała na nią z uśmiechem.

– Wpływ, mówi pani? W zasadzie pisałam te książki za niego, lecz kto mi w to teraz uwierzy. – Podniosła butelkę do ust, ale spojrzała na Wandę i zmieniła zdanie.

– Jak można napisać książkę wspólnie? – spytała Wanda. – Może mi to pani wyjaśnić?

– Najpierw byłam jego pierwszym redaktorem, ale okazało się, że właściwie przepisałam tę książkę. Później samo jakoś tak wyszło, że Jakub wymyślał fabułę, robił research, przygotowywał zarys scen, ale to był tylko szkielet, któremu ja dawałam później ciało. Nie mówiliśmy o tym wprost. Choć moja rola z książki na książkę była coraz większa.

– Dlatego pseudonim?

– Między innymi. On naprawdę nie znosił wystąpień publicznych. Miał fobię społeczną i pasowała mu ta izolacja. – Wskazała ręką jezioro za oknem. – Druga sprawa, że nie potrafiłby odpowiedzieć na szczegółowe pytania czytelników. Nie znał swoich postaci. Ale teraz on nie żyje, a tylko on miał prawa do pseudonimu. – Ze smutkiem pokiwała głową.

– Ludzie z wydawnictwa wiedzieli?

– Nie sędzę, by się komuś zwierzał. On zresztą przez cały czas uważał, że to tylko drobna pomoc z mojej strony.

– A nowa książka? Rozumiem, że pracowała pani także nad tym manuskryptem?

– Jakub przez cały czas powtarzał, że jeszcze nic nie ma.

– Jeździł do Bornego Sulinowa, wypytywał.

– Domyślam się więc, że to o tym miała być ta najnowsza powieść, ale nie widziałam na oczy ani linijki.

Wanda wyjęła z torby zdjęcie małej Izy z Igorem Żukiem.

– Pamięta pani, w jakich okolicznościach je zrobiono?

W oczach kobiety zalśniły łzy, gdy dotknęła palcem fotografii.

– To Dom Oficera w Bornem, a to dziecko to przecież ja. Cholera jasna. To ja! Nigdy wcześniej nie widziałam tego zdjęcia. Skąd je pani ma?

Wanda zignorowała jej pytanie.

– A ten mężczyzna? Zna go pani?

Tomczyńska potrząsnęła głową.

– Nie mam pojęcia, nie pamiętam, ale zaraz... Czy to nie ojciec Kamila? To przecież Igor Żuk.

Piotr po raz drugi tego wieczoru położył dwa talerze w niebieski rzucik na białym obrusie i po raz drugi odniósł je do szafki. Były częścią serwisu, który nazywał apostolskim, bo liczył dwanaście sztuk. Dostali go w prezencie ślubnym od jego chrzestnej i Anka uznała, że to on powinien go zatrzymać. Tak naprawdę nigdy jej się nie podobał. Zdjął też biały obrus i zastąpił go bambusowymi matami o wystrzępionych brzegach, a talerze położył codzienne, beżowe z Ikei. Przy każdym ustawił kieliszek, a między nimi kiczowaty świecznik w złotym kolorze, który stara Bolkowska, sąsiadka z klatki obok, przyniosła mu z pięć lat temu w podziękowaniu za odnalezienie wnuka.

Chłopiec odnalazł się we własnym pokoju pod opieką rodziców, bo po pierwsze, nie był to jej wnuk, tylko dziecko, którym się opiekowała, dorabiając do emerytury, a po drugie, tego dnia nie miała go pod opieką, bo była niedziela. Będzie przynajmniej historia do opowiedzenia, jeśli rozmowa się nie sklei. Nie widzieli się od czasu, gdy obudził się skacowany w jej łóżku, i wymieniali tylko esemesy z emotikonami, które przypominały automatyczny serwis operatora. Buziak na dzień dobry i buziak na dobranoc.

Piotr wytarł ręce w fartuch zawiązany w pasie i rozejrzał się po niewielkim salonie, próbując spojrzeć na niego okiem Joanny. Największą jego wadą było to, że urządziła go Anka, i choć od jej odejścia minęły dwa

lata, niewiele się tu zmieniło. Ściany nadal były pomalowane na kontrastowy szary i brudny róż, a na bordowej kanapie leżały poduchy w kwiaty z długimi złotymi frędzlami. Zupełnie jakby Anka wpędziła go z powrotem w stan kawalerski, ale złośliwie wysłała w podróż w nieodpowiednim pojeździe. Wyniósł poduszki do pokoju Pawła i schował do szafy.

Mieszkanie było wysprzątane, to najważniejsze. Choć Wanda podśmiechiwała się czasem, że Piotr ma wbudowaną aplikację, która namierza najbliższy brud w okolicy, lubił mieć wokół siebie porządek i o jego utrzymanie długo walczył z synem. Po rozwodzie starał się choć w ten sposób zachować swoje kruche status quo. Nie był ślepy na tę ironię losu. Po tych wszystkich latach, kiedy Anka wypominała mu, że traktuje dom jak hotel, został tu sam, z odkurzaczem, ścierą i dwoma różnymi płynami do mycia podłóg.

Od nocnego pijaństwa z Joanną minęły dwa tygodnie i tym razem zaprosił ją do siebie. Do dziewiętnastej została jeszcze godzina, a on czuł się zdenerwowany jak smarkacz. Zajrzał do lodówki, w której chłodziła się butelka białego wina, i zamieszał w garnku. Długo zastanawiał się nad menu i postawił na proste potrawy, które wychodziły mu najlepiej. Założenie na dziś było tylko jedno: żadnych strączków, cebuli czy kapusty. Na pierwsze danie ugotował czerwony barszcz, w którym podszkolił się w grudniu. Przez długi czas po odejściu Anki żywił się gołąbkami czy klopsami z marketu i drożdżówkami, ale ostatnio zaczął gotować. Uczył się metodą prób i błędów. Na ogół błędów. Na drugie zaplanował ziemniaki zapiekane w piekarniku, schabowe i surówkę z buraków. Technię smażenia schabowych opanował już do perfekcji i choć były mało sexy i nie pasowały ani do białego wina, ani tym bardziej do złotego świecznika, stwierdził, że tym lepiej. Nie będzie niczego udawał. Obejrzał kilka

programów kulinarnych i najbardziej spodobał mu się Jamie Oliver, którego przepisy ograniczały się do paru składników dostępnych w lokalnym sklepie.

Kolejne kroki w kuchni dokładnie sobie zaplanował. Wyłączył palnik pod zupą i sprawdził ziemniaki. Były na wpół miękkie, więc je przecedził i wyłożył na blachę. Przed dziewiętnastą skropił je oliwą, przyprawił i włożył do rozgrzanego piekarnika. Przez cały dzień nie pamiętał o jedzeniu i teraz zapach barszczu sprawił, że poczuł ssanie w żołądku. Dexter też zaczął się kręcić przy pustej misce i Piotr nałożył mu karmy.

– Masz być dziś grzeczny.

Jamnik spojrzał na niego łzawo, jakby chciał powiedzieć: „Daj spokój, chłopie, ty i tak to spieprzysz”. Piotr zdążył się rozebrać i wejść pod prysznic, gdy usłyszał dzwonek do drzwi. Zaklął w myślach i w pośpiechu spłukał mydliny. Zdaje się, że pomylił godzinę. Przed przyjazdem Joanny miał jeszcze zamiar się ogolić i wyprasować koszulę, ale teraz nie było na to czasu. Wbił się w świeżo wyprane dżinsy, tak sztywne, że z trudem dopiął zamek, i wsunął do piekarnika blachę z ziemniakami, a potem pognął do drzwi. Na wycieraczce stała Wanda.

Dexter przyczłapał do przedpokoju, by odprawić taniec radości na jej widok, a Piotr sięgnął po komórkę.

– Dzwoniłaś?

Tak naprawdę chciał sprawdzić godzinę. Miał nadzieję, że Wanda nie wejdzie dalej i nie zobaczy nakrytego stołu, bo jak nic wysłuchiwałyby o złotym świeczniku do końca swoich dni. Ona tymczasem potrząsnęła głową i nie czekając na zaproszenie, odwiesiła kurtkę.

– Pomyślałam, że o tej porze będziesz już w domu. Wracam właśnie z Kuszewa. Odwiedziłam Iżę Tomczyńską w jej samotni.

Zaprosił ją gestem do kuchni.

– Zjesz coś? Mam barszcz, a na osobnym talerzu możesz do niego dostać kilka ziemniaków. Włożyłem je właśnie do piekarnika.

– Ty gotujesz? – Obrzuciła zdziwionym spojrzeniem brudne garnki w zlewie i zielony fartuch przewieszony przez oparcie krzesła. Kucnęła i zajrzała przez drzwiczki do piekarnika, jakby nadal nie wierzyła.

– Brakuje już miejsca na słoiki po gotowcach. Z zawiązanymi oczami rozpoznałbym, które pierogi są z POLOmarketu, które z Intermarché, a które ze Stokrotki.

Zostało czterdzieści pięć minut. Dużo i mało. Naprawdę nie chciał, by te dwie kobiety się ze sobą spotkały. Nie był pewien, czy Joanna zrozumie relację łączącą go z Wandą i obejmującą wydzwanianie do siebie o dowolnej porze dnia i nocy i wpadanie bez zapowiedzi. A co do Wandy, cóż, domyślał się, że Joanna nie przypadnie jej do gustu.

– Nigdy nie nauczyłam się gotować tylko dla siebie. – Przez chwilę kontemplowała parujący talerz zupy, który przed nią postawił. – Wiesz, zawsze uważałam, że żona to fajny wynalazek. Sama bym się ożeniła, gdyby któraś dobrze gotowała i mnie chciała.

Piotr, który wyjmował właśnie blachę z piekarnika, odwrócił się do Wandy niezgrabnie, a ona, korzystając z okazji, zgarnęła na talerz kilka pieczonych ziemniaków.

– Czyżbyś był homofobem? Może jeszcze nie lubisz kotów? Spokojnie, drocę się. Chciałam zapytać Tomczyńską o to zdjęcie ze starym Żukiem i przed jej domem spotkałam Kamila. – Spoważniała. – Zdaje się, że często tam bywa, ale ona nie chce mieć z nim nic wspólnego. Interwencja Czaplinka dała tyle, że z za ogrodzenia wynieśli się psychofani Pana Toma, ale media i miejscowi podobno nadal się tam kręcą. Otworzyła mi drzwi, dopiero gdy Kamil zniknął z pola widzenia. Była... nazwijmy to, na lekkim rauszu.

– Pękła?

– W temacie zdjęcia niekoniecznie. Ona naprawdę nic nie wie na ten temat. Była mała i nie pamięta. To oznacza, że Igor Żuk z pewnością nie pojawiał się regularnie w ich życiu. Tomczyńska nie wie, ani kiedy zdjęcie zostało zrobione, ani przez kogo, ale zakłada, że przez matkę, bo ta nie puszczała jej nigdzie samej. Uważa, że powinniśmy ją przycisnąć, bo jej niczego nie powie.

Piotr skinął głową.

– Będę pojutrze w Szczecinie. Chcę porozmawiać z Marzeną Wąs na temat Tobiasza. Wolałbym, żeby przestali go podrywać.

– A jak w tym wszystkim odnajduje się twój nowy przełożony?

– Świder? Miałem wreszcie rzadką okazję spotkać się z nim osobiście. Dla mnie ten facet to typowy garnitur, nie mundur. Nie ufam elegantom z przyklejonym uśmiechem. Zabarykadował się w biurze i każdą sprawę załatwia na piśmie, w dodatku wszystkie dokumenty są nienagannie sformatowane. Mam wrażenie, że postawił sobie za punkt honoru, by udowodnić, że mój zespół jest nieskuteczny.

– Jak by ci to powiedzieć... chwilowo jest. Media grzeją sprawę jak żabę w garnku, a my nadal nie mamy konkretów.

– Kurwa... Wanda.

Przełknęła ostatniego ziemniaka i odsunęła talerz.

– Za to dowiedziałam się od Tomczyńskiej czegoś ciekawego. Miałam rację, że coś było nie tak z tym pisanem jej męża.

– Co masz na myśli?

– Ona utrzymuje, że pomogła mu napisać wszystkie bestsellery, a tak naprawdę pisała je za niego.

– O cholera. To przecież ważne. Dlaczego nie przyznała się wcześniej?

– Uważa, że teraz, gdy jej mąż nie żyje, i tak nikt jej nie uwierzy. Poza tym on zawsze minimalizował jej wkład.

– Jak to w ogóle działało? Pisali na cztery ręce?

– Tomczyński rzucał temat, przygotowywał coś w rodzaju wstępnej wersji, którą ona potem rozbudowywała, pisała, redagowała. Z tak dużym zaangażowaniem, że teraz przypisuje sobie autorstwo wszystkich książek Pana Toma.

– Wydawnictwo o tym wiedziało?

– Niby nie, ale... nie możemy być pewni. No dobra – odsunęła krzesło – dzięki za poczęstunek, muszę lecieć. Skorzystam jeszcze z toalety, jeśli pozwolisz.

Piotr pokiwał głową i w zamyśleniu włożył talerz Wandy do zlewu. Dopiero wtedy przyszło mu do głowy, by zamknąć drzwi od pokoju, ale ona była już na szczęście w łazience.

– Bardzo ładny świecznik – rzuciła na pożegnanie z pokerową twarzą i zatrzęsnęła za sobą drzwi.

Widział przez okno, jak pod blokiem parkuje Joanna. Wysiadła z samochodu w butach na obcasie i rozkloszowanej czerwonej sukience. Wyglądała zbyt sztywnie jak na to osiedle, gdzie najwytworniejszym strojem były polarowa bluza i czyste dżinsy. Wanda jeszcze nie odjechała. Trzymała przy uchu komórkę i przesuwiała palcami po kierownicy. Miała smutną twarz, która z tej odległości wyglądała na jeszcze drobniejszą. Spojrzała w jego okna, a on szybko się schował w głębi mieszkania.

Kurwa. Kamil nic z tego nie rozumiał. To, że nie żył Pan Tom, to jedno. To, że jego spokojny zawsze ojciec wściekł się tak, że zaczął kląć, to drugie. Ale dlaczego Iza nagle nie chciała mieć z nim do czynienia? Stary wrzeszczał, że żarty się skończyły i powinien się, kurwa, bać.

– Czego mam się niby bać? Przecież go nie zabiłem!

– A ty myślisz, synu, że w więzieniach siedzą tylko winni?

Mówiąc to, miał w oczach taki smutek, że Kamil odwrócił wzrok. Dwa lata wcześniej, zanim zaczął palić zioło i poznał Pana Toma i Izę, jednym słowem, gdy był jeszcze gówniarzem i budował dupersztyfty w *Minecraftie*, chciał zrobić ojcu prezent na urodziny. Pod uwagę brał tylko formę bezgotówkową, bo z kasą zawsze było u niego krucho. Ojciec modlił się do swojej dziesięcioletniej skody, więc w sobotę nad ranem Kamil zdjął kluczyki z haczyka w przedpokoju, wziął pod pachę odkurzacza i poszedł do garażu za blokami.

Wymył samochód, a potem odkurzył go w środku. Uwijał się przez dwie godziny jak perfekcyjna pani domu, zrobił nawet test białej rękawiczki spodem swojego T-shirtu, ale nie był do końca usatysfakcjonowany. Chciał wypolerować karoserię i walnąć jakieś pronto na tapicerkę. Słońce wzeszło, co oznaczało, że starzy mogli się już obudzić. Sobota nie sobota, wstawali zwykle około szóstej. Nie miał zamiaru

odpowiadać na pierdyliard głupich pytań, więc rozejrzał się z nadzieją po półkach, na których ojciec trzymał przeróżne spraye i puszki, ale opakowania okazały się stare albo puste. Bezsensowna wystawka.

Jego uwagę przyciągnął stół z imadłem, pod którym piętrzyło się kilka drewnianych skrzynek po owocach. W tej ułożonej na szczycie ojciec trzymał nową piankę do tapicerki i воск do nabłyszczania karoserii, a w dolnej, pod narzędziami, Kamil dojrzał polerki z mikrofibry. Powyjmował narzędzia ojca, żeby się do nich dorwać, a pod ścierkami odkrył czarny worek ze starymi zdjęciami. Niektóre opisane były po rosyjsku, ale nie potrafił przeczytać, bo w szkole miał angielski, a ojciec nigdy go nie nauczył cyrylicy. To były zdjęcia z czasów, o których mu nie opowiadał. Sami mężczyźni w mundurach, jakaś wojskowa defilada, ojciec pochylony nad dokumentami z papierosem w ustach i długopisem w ręce, z zawadiackim uśmiechem, którego nigdy u niego nie widział. Na jednej fotografii Kamil rozpoznał Dom Oficera w Bornem Sulnowie, gdzie był raz z ojcem na nudnym wyjeździe zakończonym obiadem w lokalnej knajpie. Pod nieobecność matki senior miał czasem gest, ale nie dlatego Kamil zapamiętał restaurację. Ojciec rozmawiał chwilę po rosyjsku z jej właścicielem i obaj wyglądali tak, jakby mieli się rzucić sobie do gardeł albo paść sobie w ramiona.

Zrozumiał za to, dlaczego ojciec ukrył te zdjęcia tutaj. Wszędobylska matka nigdy nie zaglądała do garażu. Kamil odłożył je na miejsce w ostatniej chwili, zanim w drzwiach garażu stanęli przerażeni starzy, którzy kwadrans wcześniej odkryli brak kluczyków i puste łóżko. Z właściwym sobie brakiem zaufania uznali, że ich nieletni syn urządził sobie joyride starą skodą. Mieli fantazję. Próbował im wyjaśnić, że byłby to raczej sadride, ale nie znali angielskiego na tyle, by pojąć grę słów. Gdy go zastali z polerką w ręce przy wypucowanym aucie, matka po raz pierwszy

w życiu nie wiedziała, co powiedzieć, a ojciec klepał syna po plecach, ale Kamil widział, jak zapuszcza żurawia, by mimo wszystko sprawdzić stan licznika.

W grudniu, pięć miesięcy przed śmiercią pisarza, Kamil wrócił do garażu i zabrał zdjęcia, w tym to, które przedstawiało budynek Domu Oficera i jego młodego ojca wraz z małą dziewczynką. Podobno Pan Tom pisał nową książkę o Bornem Sulinowie i interesowały go wszystkie informacje związane z tym regionem. Pisarz huśtał się na zawieszonym pod sufitem hamaku, świeciły się tylko lampki na łańcuchu owiniętym wokół dębu i gwiazdy na zimowym niebie. Jego twarz raz po raz wyłaniała się z mroku. Kamil czuł się nieswojo, przekazując te zdjęcia w obce ręce, jakby zdradzał ojca, ale pisarz dobrze mu zapłacił – stówę od każdej fotografii. Chłopak aż żałował, że ojciec nie ukrył ich więcej. Pan Tom powiedział, że wielu autorów płaci za wyszukiwanie ciekawych historii, ale tylko naprawdę wielcy mają odwagę się do tego przyznać. Jaka tam niby była historia? Że ojciec w Bornem przez jakiś czas siedział z wojskiem? Nigdy nie chciał mu niczego opowiedzieć, więc Kamil przestał w końcu pytać. Na dwa tygodnie przed śmiercią Pan Tom wcisnął mu na przechowanie paczkę. Powiedział, że nie będzie miał przez to problemów, ale lepiej, by poleżała u niego, bo w jego domu dzieją się ostatnio dziwne rzeczy. Kamil nikomu miał jej nie wydać, pod żadnym pozorem, i dotrzymał słowa. Czy się czegoś domyślał? Czy wtedy już wiedział?

Tamtej nocy, w hotelu, Iza powiedziała, że nie może z nim wyjechać, bo przed nim całe życie, a jej miejsce jest przy mężu. Tylko gdzie niby teraz było to miejsce? Na cmentarzu w Czaplinku? Pan Tom nie żył, więc w czym jeszcze widziała problem? Zwodziła go od października, a teraz olała jak gówniarza. Był dla niej nikim, ruskisynem. Ludzie w miasteczku gadali, że uwiodła nieletniego, nie wiedziała, że nie ma tu już dla niej

życia? Nigdzie się nie ukryje, nawet w tej chacie na skarpie. Jego też wytykali palcami, ale szepty dzieciaków ze szkoły milkły z szacunkiem, gdy się zbliżał.

Dziewczyny, na które nie zwracał uwagi i które dawniej rozpowiadały, że jest gejem, patrzyły teraz na niego szklistym wzrokiem, jakby i jego opromieniała sława Pana Toma. Szkolni siatkarze, z którymi przez cały ogólniak zamienił może trzy zdania, próbowali go wyciągnąć na piwo. Nie miał złudzeń. Wiedział, że będą pytać, jaka Tomczyńska jest w łóżku. Do tego ci upierdliwi reporterzy. Na początku dzień w dzień wystawiali przed klatką i podstawiali mu mikrofon do ust. Chcieli wiedzieć, jaki był charakter jego przyjaźni z Panem Tomem. Niedobrze mu się robiło od ich insynuacji. Próbowali z niego zrobić pieprzonego biseksa, który zabawiał się na zmianę z mężem i żoną. Tym razem posłuchał starych i z nikim nie gadał ani na ten temat, ani w ogóle na żaden. Otwierał usta tylko wtedy, gdy naprawdę musiał. Chciał stąd po prostu jak najszybciej prysnąć.

Niczego nie powtarzał i maturę zawałił. Polski poszedł mu jeszcze jako tako, bo zinterpretował wiersz Świrszczyńskiej, pisząc o *Dolinie Issy*, ale wyniki matmy sprawdził w internecie i wiedział, że nie ma na co liczyć. Wymarzona przez matkę ekonomia odpłynęła w niebyt, tak samo jak nie ziściła się jego kariera harcerza czy bejsbolisty. On sam specjalnie nad tym nie rozpaczał. Jeszcze im nie powiedział, ale nie wybierał się na żadne studia. Teraz liczył się hajs, a dyplomy były dla nieudaczników. Jego starzy tkwili w starym świecie i niczego nie rozumieli. Co im dały te ich wielkie uniwersytety? Stali się tanią siłą roboczą dla cwaniaczków, którzy szybciej się połapali i ogarnęli kapitał. Niedobrze mu było, jak patrzył na beznadzieję egzystencji rodziców. Była widoczna szczególnie wtedy, gdy dwa razy w miesiącu podjeżdżali skodą pod biedrę i napełniali bagażnik zakupami. Samochód był ten sam, który Kamil kiedyś polerował, przybyło

mu tylko lat. Musisz mieć dyplom, bo bez niego cię nie zatrudnią, kwękała matka. Niby gdzie? U niej w urzędzie? I tak by nie chciał. Ojciec się starzał jak jego skoda, a papier ze starego Leningradu niewiele był tu wart.

Nadal zdarzali się tacy, którzy mówili o nim pogardliwie, rusek, choć senior mówił po polsku całkiem już bez akcentu. Kamil pamiętał, jak jego w podstawówce przezywali „ruskisyn”, i zapytał matkę, co to znaczy. Niby nie skurwysyn, ale tak samo wybuchalo mu w twarz. Kogoś w końcu walnął i przestali, ale on nadal słyszał to przezwisko w myślach, jakby sam się zaczął tak wyzywać. „Czujesz się inny?” Kobieta w bluzce w wielkie grochy, do której wysłali go po bójce, trzymała długopis nad notesem, gotowa zapisać każde jego słowo, ale co miał jej niby powiedzieć? Odkąd pamiętał, czuł się jak kosmita, ale nie potrafił o tym z nikim rozmawiać, dopóki nie pojawili się w jego życiu Pan Tom, a później Iza. A teraz pisarz nie żył, a ona nie chciała go znać.

Kamil wyjął telefon i jeszcze raz wybrał jej numer, ale jak zwykle nie odebrała. Pojechał rowerem do Sikor i znalazł łódź przypiętą łańcuchem do pomostu wędkarskiego w trzcinach. Mimo wszystko się zdziwił. Spodziewał się chyba, że po śmierci Pana Toma zabierze ją policja. Rozejrzał się, jakby oczekiwał, że mundurowi wyskoczą z szuwarów, ale wypłoszył tylko dwa perkozy. Poza tym cisza. Chmury wisiały nisko nad lasem, ciemne i brzuchate. Jeszcze chwila, a nadzieją się na czubki drzew i pękna. W oddali już grzmiało i Kamil zapalił jointa, by odpędzić chmary komarów. Zanosilo się na kolejną burzę. Ojciec uczył go od małego, by w taką pogodę nie wypływać na jezioro, ale Kamila opętał taki nastrój, że wszystko mu było jedno. A niech wałają pioruny, im głośniejszy i celniejszy, tym lepiej. Jeśli trzaśnie w łódź i ta rozpadnie się na pół, a on sam stanie w ogniu, miał nadzieję, że Iza będzie to oglądać usadowiona przy owalnym oknie. Wszystko chuj.

Był już niezłe upalony, gdy puścił wiosła i pozwolił łódce dryfować. Postanowił, że zda się na los, jakby rzucał monetą. Utopi się, znaczy, że tak miało być. Uratuje się, będzie żył. Wiatr znosił go coraz mocniej ku zatoczce. Ich zatoczce. Siedzieli tam tak niedawno, grzejąc twarze w marcowym słońcu, a Iza opowiadała mu znowu o *Dolinie Issy*. Lubiła do niej wracać. Mówiła, jak kobiety zaraz po modlitwach w kościele biegły składać dary węzom, które odpowiadały za jurność ich mężów. Mówiła o tym, jak nowa religia mieszała się ze starą. Kamil przymknął oczy. Brudne dno łódki napełniało się zimną wodą, ale mimo to zaczął przysypiać. Przez niebo przeleciała złota krecha błyskawicy i grzmotnęło blisko, tak blisko, że się poderwał, szukając po kieszeniach woreczka z trawą. Widział stąd nikielne światło w oknach domu na skarpie, które wzywało go ku sobie jak latarnia morska.

Zaklął, bo woreczek musiał mu wypaść z kieszeni. Przeszukał mokre dno łódki, ale tu go nie było. Złapał za wiosła i nadał łajbie kierunek, ale silny wiatr spychał go w kierunku Rakowa. Tracił z oczu światło w oknach rezydencji. Rezydencja państwa Tomczyńskich! Rezydencja Jakuba i Izy Tomczyńskich! Wrzeszczał, przekrzykując kanonadę piorunów, i chichotał. We krwi krążyła mu marihuana, błyskawice cięły niebo jak blizny, a wiatr szarpał łódką na wszystkie strony. Kamil roześmiał się jeszcze głośniej i tym razem nie mógł przestać.

– Ty jesteś Issą – powiedział, gdy opalali się w zatoczce, a wyraz jej twarzy zmienił się momentalnie. Zdjęła jego rękę z kolan i dopiero teraz zrozumiał dlaczego.

On tak do niej mówił, piiiisarz, przeciągnął sylabę, becząc ze śmiechu do łez. Spadł z ławki do wody, której było w łodzi coraz więcej. Cholerna łajba przeciekała czy jak? Wiatr wiał mu w mokre plecy, a echo niosło dźwięk piorunów, które rozdzierały na pół drzewa w lesie, a może i cały

świat. Kamil próbował usiąść i chwycić za wiosła, ale łódka wierzgała jak sztuczny byk, którego jako dzieciak ujeżdżał w wesołym miasteczku. Przytrzymał się burty i usiadł, lecz właśnie wtedy dziób uniósł się ostro w górę i oba wiosła wpadły do wody. Chłopak najpierw się wystraszył, ale już za chwilę wydało mu się to bardzo zabawne. „A droga wiedzie w przód i w przód”^{*}, pomyślał i zarżał ze śmiechu. Jakiś cytat. Z czego to było? Tolkien?

– A droga wiedzie w przód i w przód! – wrzasnął, przekrzykując wicher, i wyskoczył z łodzi. Przecież i tak był już mokry do kości, obły jak robal, zimny jak ryba.

^{*} J.R.R. Tolkien, *Władca Pierścieni*, tłum. Maria Skibiniewska, Warszawa 2016, s. 24.

Kobieta po drugiej stronie stolika niewiele się zmieniła przez ostatnich dziesięć lat. Sama miała chyba inne zdanie na temat Wandy, bo gdy weszła do restauracji Słoneczko, przytrzymała na niej wzrok przez dłuższą chwilę.

– Dziękuję, że znalazłaś czas, by się ze mną spotkać – przywitała się Wanda z uśmiechem.

– Żaden problem. Zaplanowałam wypad nad morze. To po drodze.

Renata studiowała z Wandą w Poznaniu na jednym roku, a potem widywały się w sądzie, gdy ta druga zaczęła pracę w prokuraturze, a Renata w kancelarii prawnej, w której po kilku latach została współpracowniczką. Może stałyby się w końcu przyjaciółkami, ale ich kontakt się rozluźnił, gdy obie wyszły za mąż, a pierwsze i jedyne spotkanie we czwórkę okazało się kompletnym fiaskiem.

– Powiedzmy – rzuciła lekko Wanda. – Jak zwykle Sopot?

– Skąd. – Renata wzięła menu z rąk kelnerki. – To zawsze był pomysł Olka. Wraz z jego odejściem uzmysłowiłam sobie kilka istotnych spraw. Między innymi to, że nie znoszę Sopotu w sezonie. Jesienią owszem, wczesną wiosną także, nawet zimą uwielbiam to miasto, z wyłączeniem sylwestra, ale majówka? Lato? – Pokręciła energicznie głową.

– Olek oszczędł?

– Ach, no tak, ty nic nie wiesz, smakowite ploteczki z Poznania tu nie docierają. Owszem, i pomogłam mu się pakować. A co u ciebie? Słyszałam o Adamie i wiesz, co pomyślałam? *Good for her!* Dziwiłam się tylko, że nie chciałaś adwokata, i nie, wcale nie miałam na myśli naszej kancelarii.

Renata podniosła rękę, by poprawić fryzurę, i kusa sportowa bluzeczka podjechała do góry, odsłaniając pulchny brzuch. To też się nie zmieniło. Nadal nie miała kompleksów i lubiła się nosić na sportowo, choć jedynym sportem, który uprawiała, była szermierka słowna.

– Nie chciałam od niego niczego poza wolnością. – Wanda pomachała palcami, na których nie było obrączki.

– Zdarzają nam się takie klientki. Nie rozumiem, ale szanuję. W każdym razie krzyżyk na drogę, nie pogniewasz się, mam nadzieję, jak powiem, że z niego też był okropny dupek.

Renata odłożyła menu i spojrzała Wandzie w oczy.

– Świetnie wyglądasz. Szczerze. I teraz myślę, że to wcale nie zasługa świeżego powietrza, tylko podupkowej regeneracji. Ile lat minęło od Adamexitu?

– Trzy.

– Czyli jest dla mnie nadzieja. – Renata przejechała dłońmi po krótkich blond kosmykach i zamówiła stek, który poleciła kelnerka.

Wanda wybrała to samo.

– Ale nie spotkałyśmy się po to, by rozmawiać o exitach tych gnojków – powiedziała Renata, gdy dziewczyna z obsługi się oddaliła. – Kto by pomyślał, że w dzisiejszych czasach media rzucą się jak sępy na morderstwo pisarza. Gdyby chociaż był celebrytą, bo tych często reprezentujemy, ale on się przecież chował za pseudonimem. Domyślam się, że utrudniają wam pracę? Czytam nagłówki. „Komu ssał Pan Tom i kto Panu Tomowi ssał... krew”.

Wanda przytaknęła, ale nie zamierzała ciągnąć tematu. Umówiła się na spotkanie z Renatą, bo jej kancelaria specjalizowała się nie tylko w rozwodach, ale też w sprawach związanych z prawem autorskim i prawami pokrewnymi.

– Przejrzałam umowę Tomczyńskiego z wydawnictwem, którą mi przesałaś. To standardowa umowa licencyjna, choć wynegocjował niezłe warunki, jeśli chodzi o procent ze sprzedaży, który trafiał do jego kieszeni. Standardowo to od dziesięciu do piętnastu procent zysku wydawcy czy ceny zbytu, u niego było to dwadzieścia pięć procent, a powyżej pewnego pułapu sprzedaży nawet czterdzieści. Cóż, miał świetną pozycję na rynku i nie chcieli go stracić na rzecz innego wydawnictwa, ale przypuszczam, że nie to cię interesuje.

Wanda skinęła głową i upiła łyk wody z lodem, którą kelnerka postawiła na ich stoliku. Po kolejnej majowej burzy wcale nie zrobiło się chłodniej. Dzień był bardzo ciepły, a w powietrzu wisiała wilgoć. Wanda spięta ciałniej napuszone długie włosy, które żyły dziś własnym życiem.

– O ile to, co mówisz, jest prawdą – podjęła Renata – i Pan Tom z żoną nie mieli rozdzielnosci majątkowej, w przypadku rozwodu ona zachowałaby prawo do pięćdziesięciu procent dochodu już wytworzonego przez małżonka. Czyli połowa wszystkiego, co zarobił na swoich książkach do tej pory, trafiłaby do jej kieszeni. Jeśli do tej pory zarobił, dajmy na to, dziesięć milionów, pięć zgarnęłaby Izka.

– Ale nie dostałaby ani złotówki z napisanych przez niego książek już po rozwodzie.

– Owszem, choć nie dostałaby też ani złotówki z nowych wpływów z dotychczas napisanych utworów.

– Czyli?

– Czyli w przypadku nowych wpływów realizowanych ze starych utworów już po rozwodzie, z tytułu tłumaczeń na kolejne języki, wznowień na naszym i obcych rynkach, sprzedaży e-booków, audiobooków, ekranizacji, eksploatacji na innych polach, Tomczyńska nie zobaczyłaby ani grosza. Wszelkie nagrody, dajmy na to Nobel, za utwór napisany w czasie trwania małżeństwa należałyby po rozwodzie wyłącznie do niego.

– A w przypadku jego śmierci?

Renata poczekała, aż kelnerka zdejmie z tacy apetycznie pachnące talerze i zostawi kobiety same.

– I tu dochodzimy do sedna. Zakładam, że Tomczyńska jest jego jedyną spadkobierczynią? Żadnych dzieci, cudownie odnalezionego testamentu wskazującego na schronisko dla zwierząt, przyjaciela z podstawówki i tak dalej?

Wanda skinęła głową.

– *The winner takes it all* – zanuciła Renata, odkrawając kawałek skwierczącej wołowiny, po czym zatopiła w nim zęby. – To do niej płynąłby strumień wszelkich wpływów z już napisanych przez Pana Toma utworów oraz ufundowanych pośmiertnie nagród.

– A pseudonim?

Renata potrząsnęła głową.

– W odróżnieniu od Stanów Zjednoczonych w Europie prawo autorskie stanowi, że pseudonim należy traktować jak prawdziwe imię i nazwisko pisarza, o ile on czy ona sami nie ujawnią swojej prawdziwej tożsamości. Czyli nie dziedziczy się go, podobnie jak nie dziedziczy się imienia i nazwiska.

Renata odkroiła kolejny soczysty kawałek steka, a do tego nabiła na widelec pieczony ziemniak polany ciemnym sosem i podniosła do ust swój

idealny kęs. Wanda przypomniała sobie, że koleżanka już na studiach była smakoszem i sama też nieźle gotowała.

– Niezła knajpa. – Renata pokiwała głową z uznaniem. – Ten stek... no, no, kto by się spodziewał. Kobieta z pewnością miała motyw. Tak, czytałam w newsach o tym uroczym chłopcu z Czaplinka i o tym, że Tomczyńska ma alibi na noc morderstwa, ale powtórzę to z całą mocą: kobieta z pewnością miała motyw, szczególnie jeśli – Renata pogryzła i przełknęła zawartość widelca, po czym podniosła szklanę do ust – wielki Pan Tom zamierzał się z nią rozwieść.

Rozstały się na parkingu, obiecując sobie kolejne spotkanie w najbliższym dziesięcioleciu – nie były naiwne, wiedziały, że nie nastąpi to wcześniej – a Renata dmuchnęła w blond kosmyk i raz jeszcze spojrzała na Wandę z uznaniem.

– Duże miasta są naprawdę przereklamowane. Jak to mówią, cokolwiek bierzesz, poproszę trochę tego samego. Nowy mężczyzna na horyzoncie? Przyznaj się.

Wanda ze śmiechem pokręciła głową. Wracała właśnie do biura, obracając w myślach słowa Renaty o tym, jak wyglądałaby sytuacja Izabeli Tomczyńskiej, gdyby Pan Tom zamierzał się z nią rozwieść, gdy zadzwonił Dereń.

– Igor i Alicja Żuk zgłosili zaginięcie syna.

Agata i Tobiasz stali obok siebie w milczeniu, patrząc, jak opuchnięte ciało Kamila Żuka znika w worku. Znalaziono go po trzech dniach poszukiwań, w które zaangażowała się lokalna społeczność, a gdy dwóch wędkarzy z jeziora Komorze wypatrzyło poobijaną łódź – także grupa nurków z czaplineckiego klubu. Odgradzili taśmami niewielką polanę, by powstrzymać napór tłumu szukającego sensacji. Zjawili się tu chyba wszyscy okoliczni mieszkańcy.

Chłopak spędził w kwitnącej majowej wodzie wystarczająco dużo czasu, by drobne rybki dobrały się do jego powiek i opuszek palców, ale poza tymi ubytkami i normalną dla kilkudniowych zwłok opuchlizną zmiany w jego wyglądzie były niewielkie. Wrzos już po wstępnych oględzinach stwierdził, że przyczyną śmierci było utonięcie, w którym raczej nie uczestniczyły osoby trzecie. Na miejscu był ojciec Kamila, Igor Żuk, i zachowywał się dziwnie spokojnie. Agata pomyślała, że to dobrze, że nie zabrał ze sobą żony.

– Kurwa – powiedział tylko Tobiasz. Zwykle był bardziej elokwentny, ale najwidoczniej i jemu zabrakło słów.

Gdy zabrano ciało, ludzie zaczęli się powoli rozchodzić, zostali tylko wędkarze, którzy zgłosili znalezienie roztrzaskanej łodzi. Agata zdążyła ich już przesłuchać.

– Odwiozę cię na komendę. – Tobiasz zerknął mimowolnie na jej pęczniejący brzuch.

Normalnie miałyby z tym problem, ale teraz postanowiła nie protestować. Poprawiła daszek na głowie, bo słońce stało już wysoko, a dzień był parny i gorący. Nawałnice, które raz za razem przewalały się nad okolicą, oczyszczały atmosferę tylko na chwilę.

– Co się stało? – Wskazała palcem jego paskudne rozcięcie na czole.

– Wstałem w nocy po szklankę wody i uderzyłem się w szafkę.

– Jasne. – Zapięła pas.

Agata potrafiła rozpoznać, że ktoś, kto uderzył Tobiasza pięścią, nosił na palcu sygnet. Byli i tacy, którzy nosili go właśnie po to. Bójki nie pasowały jej do Tobiego, jak lubiła go kiedyś nazywać, ale w końcu taką mieli pracę. Poza tym odkąd wyszła za męża, zachowywał się naprawdę dziwnie. Jakby to ona go odtrąciła, a nie odwrotnie. Miał aż tak krótką pamięć? Cieszyła się w sumie, że po kilku miesiącach wymieniania suchych służbowych komunikatów w ogóle ze sobą rozmawiają. Ciężko jej to i dopiero teraz poczuła, jak bardzo jej brakowało normalnego kontaktu.

– A ten drugi?

– W sensie szafka w kuchni?

Skinęła głową z lekkim uśmiechem.

– Szafka to dupek. Cholera jasna, widziałem różne szafki, ale ta to naprawdę... dupek.

Jechali przez chwilę w milczeniu.

– Jak myślisz, co się tam stało? – Ciszę przełamał wreszcie Tobiasz.

– Wygląda to na nieszczęśliwy wypadek, ale... musimy poczekać na ostateczny raport Wrzosia.

– A jeśli młody coś wiedział? Ten cały Igor Żuk mi się nie podoba. Widziałaś jego pokerową twarz na polanie?

– Nie wierzę, że miał coś wspólnego ze śmiercią syna. Nie zapominaj, że to facet z byłego Związku Radzieckiego. Do tego pracował jako tłumacz prokuratury radzieckiej w Bornem Sulnowie. Wie, jak trzymać nerwy na wodzy.

– Nawet w takiej sytuacji jak wyłowienie zwłok własnego dziecka?

– Nawet w takiej. – Agata pokiwała głową. – W innym przypadku w ogóle by nie przyjeżdżał. Poczekalby jak jego żona, aż wypudrują młodego w domu pogrzebowym.

– No może. – Tobiasz kiwnął głową bez przekonania. – Niemniej to dziwne. Najpierw ginie Pan Tom, teraz ten chłopak.

– Chyba nie podzielasz teorii spiskowej, że był wampirem podobnie jak Tomczyńska i jej zamordowany mąż?

– Dobrze, że na cmentarzu jest całodobowy monitoring, bo inaczej kto wie, jaki numer wywinęliby znowu Grzelakowie czy ich naśladowcy. Ale odpowiadając na twoje pytanie, nie, nie uważam, że Kamil był wampirem. Tak czy owak, miał pecha. Dobrze się czujesz?

– Ile razy mam powtarzać, że...

– Tak, wiem. Cięża to fizjologia. Dobrze się czujesz?

– Dobrze – odpowiedziała cicho Agata. – Nadal myślisz o wyjeździe do Szczecina? A rodzice? – Nie chciała mówić wprost, że oboje są głuchoniemi i pomoc Tobiasza w załatwianiu różnych spraw jest im potrzebna.

– Przecież od dawna mnie nie potrzebują. Są markety, smartfony, coraz lepsze programy TTS.

– TTS?

– Konwersja tekstu na mowę. Nie masz pojęcia, jak bardzo technologia ułatwiła życie ludziom z ich niepełnosprawnością. Żyją aktywniej niż niejeden słyszający i mówiący. Matka nawet narzeka, że odkąd wdrożyli te wszystkie nowe technologie w życie, ojciec stał się jeszcze bardziej małomówny.

Roześmiali się i atmosfera w aucie znowu zrobiła się lżejsza.

– A ty? – Tobiasz spojrział na nią przelotnie. – Słyszałem, że myślisz o przejściu do narkotyków?

– Nie podjęłam jeszcze decyzji. Nie wiem. Szef mówi, że z małym dzieckiem w domu i tak wsadzą mnie za biurko. Wszystko się tak szybko zmienia. – Położyła ręce na brzuchu.

– My się zmieniamy – spuentował Tobiasz i na szczęście dojechali na miejsce, bo chciała zaproponować, że być może on.

Jej życie się zmieniało, jej ciało się zmieniało, ale ona wcale. Na tym chyba polegało towarzyszące jej ostatnio poczucie dezorientacji.

Gdy wysiedli z samochodu, spostrzegła Igora Żuka, który wchodził z podkomisarzem Dereniem do budynku komendy.

Ford kombi na warszawskich blachach nie kwapił się, by zjechać na bok, a ich lusterka minęły się o włos, gdy kierowca opuścił szybę.

– Nie ma jej. Musiała się zwinąć zaraz po pogrzebie. Nie mam ostatnio szczęścia. – Głos mężczyzny uniósł się kilka decybeli ponad radiowy dżingiel, który wypełniał klimatyzowane wnętrze. Chwilę później Julia Wieniawa zaczęła śpiewać, że „lubię kiedy jesteś blisko, chwile między nami iskrzą”. Coś z filmu o millenialsach, którym tak bardzo zachwycała się ostatnio córka Piotra.

Mężczyzna w samochodzie miał około trzydziestki i podkomisarz dostrzegł na koszulce logo stacji telewizyjnej. Ogólnokrajowa, dlatego reporter nie rozpoznał ani podkomisarza, ani jego samochodu. Piotr podniósł rękę w podziękowaniu i go wyminął, wjeżdżając na utwardzony wał ziemi tak ostro, że jego leśnik przechylił się na lewą stronę. Dalej był uskoki w gęstwinie drzew, ale nie zamierzał zawracać. Spojrzał w lusterko, samochód na szczęście zniknął z pola widzenia. Minione dni były suche i ciepłe, więc błoto, przez które się tu przedzierał w połowie kwietnia, zastygło w grudach rozjechanych dziś kołami co najmniej kilku samochodów. Dzikie wertepy, które prowadziły do domu Tomczyńskich, stały się po śmierci Pana Toma popularnym traktem.

Na szczęście teraz było tu już pusto, a ford wywiózł do hotelu lub z powrotem do Warszawy ostatniego dziś reportera. Na ogrodzeniu widniało krzywo wysmarowane graffiti. Między innymi zadawano pytania, czy jest wampirzycą, czy to ona utopiła Kamila. Ktoś nawet się wysilił i nasmarował po angielsku: „Did you suck his blood bitch?”. Piotr wybrał numer do Szymona z komendy w Czaplunku i poprosił, by przysłali kogoś, by to zamalował. Stanął na wycieracze, otrzepując dżinsy z trawy, i mimo wszystko kilka razy przycisnął dzwonek. Dopiero wtedy pomachał w stronę kamery i otworzył drzwi kluczem, który dostał od Tomczyńskiej, dziś rano po kolejnym przesłuchaniu na komendzie.

Pozwolił jej na wyjazd do matki w Szczecinie i nie sądził, by miała tu szybko wrócić. Planowała sprzedać dom. Słusznie. Jej mąż nie żył, a śmierci osiemnastolatka tutejsi nigdy jej nie wybaczą. Bez względu na to, jak zakończy się śledztwo, małe miasteczka wszystko mają małe poza pamięcią. Kupca będzie musiała poszukać daleko stąd, wśród ludzi z dużymi pieniędzmi, którym nie będzie przeszkadzało, że w domu doszło do morderstwa. Biorąc pod uwagę popapranie dzisiejszego świata, dla jakiegoś snoba będzie to stanowiło dodatkowy atut. Szczególnie jeśli się weźmie pod uwagę, że zamordowanym był słynny Pan Tom.

Piotr miał dokładnie pół minuty na rozbrojenie alarmu i szybko wpisał kombinację cyfr. Przyciskiem pilota, który zgodnie z wytycznymi znalazł w szufladzie komody w przedpokoju, podniósłby rolety zewnętrzne, ale postanowił tego nie robić, na wypadek gdyby gdzieś w krzakach siedział dziennikarz z teleobiektywem. Przekazując Dereniowi klucze i szczegółowe instrukcje, Tomczyńska powiedziała, że nie ma nic do ukrycia i zrobi wszystko, by jak najszybciej znaleźli mordercę jej męża, szczególnie teraz, po śmierci Kamila. Wrzosiu podtrzymał wersję o nieszczęśliwym wypadku – chłopak był naćpany, a na jeziorze szalała tej

nocy burza – ale ona i tak czuła się winna. Na pogrzebie powiedziała Piotrowi, że gdyby do niczego między nimi nie doszło, chłopak nadal by żył. Trudno było nie przyznać jej racji.

W korytarzu podkomisarz odetchnął głęboko i rozejrzał się uważnie, ale wszystko wydawało się niemal takie samo jak wtedy, gdy był tu ostatnio z Wandą, a niespokojna Tomczyńska przemierzała salon w czerwonej sukience i trampkach. Niemal, bo dom szybko przekształcił się w lokum dla jednej osoby. W przedpokoju wisiała jedna bawełniana bluza z kapturem, a obok szafki na buty stała para damskich traperów uwalanych przyschniętym błotem. W kuchni na ociekaczu tkwiły jeden talerz i jeden kubek.

Początkowo Piotr planował zabrać dziś ze sobą Tobiasza, ale młody kończył właśnie jakąś robótkę dla chłopaków z narkotyków. Był rozchwytywany i Dereń chwilowo machnął na to ręką. Chciał, żeby Tobiasz czuł, że czekają tu na niego wyzwania i będzie się mógł rozwijać zawodowo. Do tego nie umknęło mu, że gdy wyłowiono młodego Żuka, przyjechał na komendę razem z Agatą i zachowywali się wobec siebie z mniejszą rezerwą. Każda burza musi się w końcu przetoczyć.

Piotr zatrzymał się u stóp schodów, w miejscu, w którym przed kilkoma tygodniami znaleźli zwłoki. Z kamiennej posadzki dawno już zniknęły plamy krwi, a świecznik na fortepianie wyglądał w pustym domu jak rekwizyt. Podkomisarz uniósł wieko instrumentu i nacisnął kilka przypadkowych klawiszy, które wydały z siebie mocny i głęboki dźwięk. Poczł się jak agent nieruchomości, któremu właściciel właśnie przekazał klucze do opuszczonej rezydencji.

Dziś rano Iza Tomczyńska pojawiła się na cmentarzu w długim grubym płaszczu, choć już o ósmej termometr wskazywał dwadzieścia stopni, a niebo było bezchmurne. Trzymała się na uboczu, ale Alicja Żuk, matka

Kamila, i tak znalazła sposób, by się jej rzucić do gardła. Na portalach informacyjnych od razu pojawiło się zdjęcie z nagłówkiem „Wdowa po Panu Tomie wdała się w bójkę!”, a pod nim komentarze, że nauczycielka jest wampirzycą i bezwstydną dziwką, która ma tupet większy od cycków i nie powinna się szarpać z matką chłopaka, który zapłacił za ich romans najwyższą cenę.

Piotr, który pomógł Igorowi Żukowi odciągnąć żonę od Tomczyńskiej, widział, że tak naprawdę z nikim się nie szarpała. Tkwiła tam wrośnięta w ziemię, niemal przezroczysta i tak chuda, że płaszcz wydawał się o kilka numerów za duży. Znacznie wyższa od Alicji Żuk, pozwoliła jej się okładać pięściami, szarpać i pchać, aż ogromne ciemne okulary spadły jej z nosa. Gdyby nie interwencja Piotra i Żuka, pozwoliłaby jej z pewnością na znacznie więcej.

Pojawiając się na pogrzebie, Iza Tomczyńska ryzykowała, że zostanie zlinczowana przez rodzinę Kamila lub wściekły tłum, ale gdyby się nie pojawiła, i tak by po nią przyszli. Zjawiliby się pod domem ze sprayami, pisakami, może i widłami, gdyby im przewodziła Marta Grzelak. Kiedyś niemal zakochana w swojej pracodawczyni, teraz była autorką najbardziej zajadłych plotek. Piotr z niechęcią pomyślał o kobiecie z pomarańczowymi pasemkami, którą tydzień wcześniej wypuścili z aresztu. Nic nie mieli na nią ani na jej męża poza zbezczeszczeniem zwłok i choć Świder bardzo chciał, by Wanda postawiła jej zarzut morderstwa Jakuba Tomczyńskiego do kompletu, tak by mogli zamknąć sprawę i pozbyć się mediów, najwyraźniej nie znał pani Just. Wyrażał się o niej jak o drobnym technicznym utrudnieniu. Nie miał pojęcia, że to drobne techniczne utrudnienie może wysadzić kolorowe kolumny jego wykresów w powietrze. Piotr uśmiechnął się pod nosem i otworzył niską komodę, która stała obok dębu w kącie salonu.

Wśród butelek królowały whisky single malt i koniaki, a choć nie było tu wyjątkowej limitowanej edycji Hennessy Beauté du Siècle w jeszcze bardziej wyjątkowej cenie sześciuset tysięcy złotych, o której opowiadała mu kiedyś Wanda, na etykietach widniały nazwy Macallan, Glenmorangie, Hennessy i Martell. Butelki były zaplombowane i Piotr przypomniał sobie, jak Koterska, dyrektorka sprzedaży i marketingu w Literach, wspomniała, że fani przesyłali Tomczyńskiemu różne, czasem bardzo drogie prezenty za pośrednictwem wydawnictwa. Być może stąd się tu wzięły te wszystkie flaszki. Osiemnastoletnia aberlour cieszyła się największym powodzeniem. Butelka była prawie pusta, a zachodzące słońce zaśniło na szkle, wydobywając miedziane refleksy.

Poza tą szafką z alkoholem, dębem, kominkiem i wielkim zestawem kina domowego w salonie było pusto. Wanda miała rację, ale jej spostrzeżenie nie dotyczyło tylko pokoju Pana Toma na piętrze: ludzie prowadzili obecnie coraz bardziej ukryte życie, a umożliwiała to technologia. Ukryte nie tylko przed śledczymi, ale i przed sobą nawzajem. Przypomniał sobie o technikach starego Iwana, które coraz częściej okazywały się bezużyteczne. Nie licząc ludzi starszych, nikt nie trzymał już notesów z kontaktami, a papierowych książek, płyt z muzyką czy kalendarzy na ścianie też ubywało. Wszystko było prywatne, schowane, zaszyfrowane. Coraz mniej można się było dowiedzieć o ludziach z ich mieszkań, coraz więcej z komórek, laptopów, portali społecznościowych. Wśród informacji dostępnych tak zwanym gołym okiem nierzadko zostawały okruchy. To, w co ludzie się ubierali, co jedli, co pili. Wszystkie te dane można było za to znaleźć w wirtualnym świecie. Wkrótce sąsiedzi nie będą wiedzieli o nas nic, za to Google, Amazon, Facebook i Instagram – wszystko. Nic dziwnego, że Tobiasz stał się ostatnio tak popularny, a jego sława zaczęła wykraczać poza Drawsko Pomorskie.

Piotr usiadł zniechęcony tą myślą w bocianim gnieździe podwieszonym pod sufitem i nacisnął przycisk pilota podnoszącego rolety. Nikt go tu nie mógł wypatrzeć od tej strony. Spojrzał na ciemniejące jezioro. Ten widok nie mógł się znudzić. Tomczyński spędzał tu pewnie każdy poranek, pijąc kawę i podziwiając Komorze, a w nocy oglądał gwiazdy przez teleskop ustawiony na piętrze. Nagle coś przyszło Piotrowi do głowy i poszedł na górę.

W sieci krążyły bzdury, że Pan Tom sypiał w trumnie, ale w jego pokoju, do którego gosposia nie miała dostępu, stało normalne łóżko, a pod ścianą biurko. Tomczyńska powiedziała już na początku, składając zeznania, że chodziło o to, by Marta Grzelak nie widziała jego dyplomów, wyróżnień i statuetek. Zależało im na anonimowości i nie chcieli, by rozeszły się plotki, że Pan Tom mieszka właśnie tutaj. Piotr pomyślał o wozach transmisyjnych i fanach, którzy jeszcze niedawno wystawiali za płotem, i niemal się uśmiechnął na tę ironię losu.

Podszedł do okna, z którego rozpościerał się ten sam co w salonie bajeczny widok. Z jedną różnicą: z tej kondygnacji jezioro było widoczne jak na dłoni. Nie zasłaniały go po żadnej stronie czubki drzew. Widział całą Wydrzę Wyspę, nawet brzeg gminnej plaży po drugiej stronie, a niżej pomost, do którego Kamil Żuk cumował łódź, gdy odwiedzał pisarza. Statyw nadal stał przy oknie w niemal niezmienionej pozycji. Teleskop skierowany był w górę, a gdy Piotr spróbował obniżyć ramię, uparcie wbijało się w niebo. Kiedy w końcu mu się udało i spojrzął przez obiektyw, nadal widział niewiele, pewnie za sprawą zbyt dużego powiększenia. Rzucił okiem jeszcze raz, a potem wybrał numer Tobiasza.

Agata dotknęła brzucha, pewna, że gdyby nie sukienka, zobaczyłaby na nim odcisnięty ślad małej pięty. Chłopiec kręcił się dziś niespokojnie, jakby bawił się w berka sam ze sobą. Pomasowała miejsce kopnięcia.

– Jeszcze miesiąc? – spytała ekspedientka, obrzucając jej brzuch profesjonalnym spojrzeniem. Ubierała właśnie kurdupłowaty manekin w krótkie spodenki i koszulkę w niebieskie króliczki.

– Jeszcze dwa. To będzie duży dzidziuś, po mamie. – Agata uśmiechnęła się i zanurkowała w boczną alejkę.

Sprzedawczyni była miła, ona jednak chciała zostać sama. Starła się nie stracić poukładanych w równe stosiki ubranek i zabawek, ale przy jeszcze większych niż zwykle gabarytach w tej części sklepu czuła się jak Guliwer w Krainie Liliputów. Odłożyła na miejsce pudełko ze szczekającym pieskiem, które niechcący strąciła biodrem, i dotarła do bezpieczniejszego działu z wózkami. Jej ojciec powiedział, że mają z Wiktorem wybrać dowolny, cena nie grała roli. Chciał kupić pierwszy środek transportu dla swojego pierwszego wnuka. Jej starszy brat Kacper szykował się właśnie do kolejnej operacji, a jeśli istniała jakaś urocza Florence Nightingale, trzymał ją w ukryciu. Młodszy Melchior uczył się jeszcze w Szczytnie. Wypadek brata bynajmniej go nie zniechęcił przed wyborem kariery – zadziałał wręcz jak katalizator. To ona miała nosić imię

Melchior, ale gdy okazała się dziewczynką, ojciec zgodził się na Agatę, po Agacie Christie, której kryminały mama czytała przez całą ciążę.

W sklepie panowała senna atmosfera. Wkrótce pojawiła się para, która na szczęście zawłaszczyła całą uwagę ekspedientki i do Agaty dochodził donośny śmiech obu kobiet, a także niski głos mężczyzny, który nie przestawał dowcipkować. Pomyślała, że gdyby Wiktor zjawił się zgodnie z obietnicą, nie żartowałyby. Snułby się za nią z palcami przyspawanymi do komórki, a zapytany o cokolwiek, przybierałby wyobcowaną minę nastolatka na zakupach z matką. Po tym koszmarnym poranku chciała jednak, by był przy niej.

Podeszła do najdroższego wózka. Nie chciała naciągać ojca, była po prostu ciekawa, co można dostać za pięć tysięcy złotych, bo za tyle mogli małemu kupić używany samochód. Przeczytała opis produktu. Podobnie jak w przypadku ukochanych komputerów i programów Tobiasza o cenie wózka decydowała jego marka i konfigurowalność. Można go było łatwo przekształcić w wózek dla bliźniąt lub rodzeństwa w różnym wieku. Przejechała ręką po gondoli. Teraz z pewnością nie myślała o kolejnych dzieciach.

Roześmiana trójka buszująca między meblami do pokoju dziecięcego spoważniała i do Agaty doleciały strzępy rozmowy. Rozpoznała zatroskany głos sprzedawczyni.

– Podobno najpierw znaleźli roztrzaskaną łódkę, a później przez pół dnia szukali ciała. Musieli zaangażować grupę zawodowych nurków. To po prostu okropne. Czytałam, że...

– Dziś rano był pogrzeb w Czaplunku, mam tam kuzynkę, podobno przyszło pół miasta – wtrąciła klientka.

Agata dopiero teraz zauważyła, że kobieta też jest w ciąży. Była malutka i zgrabna i taki był także jej ciążowy brzusek. Agata

w porównaniu z nią przypominała wieloryba.

– Podobno przyszło mnóstwo młodzieży, nic dziwnego, był tegorocznym maturzystą. Zrobili szpaler i każdy miał czerwoną różę. Tegorocznym, nie przerywaj mi. – Klientka podniosła kłótliwie głos, gdy jej partner coś wtrącił dudniącym basem.

Agata nie dosłyszała, co powiedział, bo stał tyłem do niej, schowany za kolumną.

– Gdybym mogła wziąć urlop, pojechałabym do Czaplinka na pogrzeb – tym razem mówiła ekspedientka. – To był ten chłopak, który miał romans z nauczycielką, żoną Pana Toma. Niech państwo sobie nie myślą, że gonię za sensacją, ja po prostu czytałam wszystkie jego książki. Świetne, takie wciągające.

– Jego matka chciała ją pobić.

– Po co w ogóle pojawiła się na pogrzebie, mogła się przecież tego spodziewać. Ja na jej miejscu...

Agata nie usłyszała reszty.

– Nieszczęśliwy wypadek – powiedział mężczyzna.

Wyszedł już zza kolumny i bujał się teraz na stopach, przechodząc z palców na pięty.

– Jaki tam wypadek. Przecież to było samobójstwo. Ona go najpierw uwiodła, a potem porzuciła, Aśka o wszystkim mi powiedziała, a ty znowu przekręcasz. Czy ty mnie kiedykolwiek słuchasz? A gdzie tam. Po co. Nigdy mnie nie słuchasz. – Ciężarna nakręcała się coraz bardziej. – Ludzie z Czaplinka chyba wiedzą najlepiej.

– A jej mąż taki był sławny, taki bogaty, podobno chatę mieli przepiękną, luksusową i nad samym jeziorem – ekspedientka mówiła teraz głośniej.

– Kuzynka wspominała, że nawet basen mieli. No niech mi ktoś powie, po co jej to było? Co dorosłej kobiecie po osiemnastolatku?

Mężczyzna znowu rzucił jakiś żarcik, bo obie kobiety się roześmiały.

– No w każdym razie wielka tragedia.

Ekspedientka odwróciła się i popatrzyła prosto na Agatę. Chyba dopiero zdała sobie sprawę, że wysoka klientka nie wyszła wcale ze sklepu, tylko ogląda wózek za prawie pięć tysiaków. To mogło dla niej oznaczać wysoką prowizję. Aby jak najszybciej ostudzić jej handlowy zapał, Agata podeszła do wózka za tysiąc złotych. On też wydał jej się wielofunkcyjny i znakomity, a także, być może ze względu na niższą cenę, ładniejszy od poprzedniego. Dostępny był w kolorze grafitu i zieleni.

– Na ten wózek, który pani teraz ogląda, obowiązuje dziś promocja – powiedziała ekspedientka. – Dziewięćset dziesięć złotych, jeśli się pani zdecyduje.

– To może i na to łóżeczko będzie dziś promocja? – zaśmiał się mężczyzna.

Agata już nie słuchała. Zrobiła zdjęcie wózka, by pokazać go później Wiktorowi, i skinęła całej trójce głową na do widzenia. W przeciwieństwie do plotkujących była rano na pogrzebie Kamila Żuka i poczuła się teraz bardzo zmęczona i głodna. Weszła do kawiarni i usiadła przy pierwszym wolnym stoliku. Jeszcze raz wybrała numer Wiktora, ale nie odbierał. Odkąd został kierownikiem ośrodka, przez cały czas był zajęty. Szkoda. Dziś naprawdę chciała, by jej towarzyszył.

Pogrzeb Kamila Żuka wstrząsnął Czaplinkiem znacznie bardziej niż pogrzeb słynnego Pana Toma. Nie było samochodów transmisyjnych z antenami satelitarnymi na dachu, a dziennikarzy zjechało się mniej, ale rozpacz ludzi była niemal namacalna. Chłopak wypłynął na Komorze trzy dni wcześniej późnym wieczorem. Dobrze znał jezioro i był niezłym

wioślarem, ale gdy znalazł się na środku, rozpętała się burza, ostatnia z serii majowych nawałnic. Sekcja zwłok wykazała wysokie stężenie substancji psychoaktywnych we krwi, ale tej informacji nie podano do wiadomości publicznej.

Agata próbowała zachować śledczą uważność do końca pogrzebu, ale podczas krótkiej przemowy wychowawczynie klasy Kamila pociekły jej łzy. Była tylko człowiekiem, do cholery, w dodatku ciąża ją zmiękczyła. Za bardzo ulegała emocjom, choćby teraz. Wstała, by odebrać swoje zamówienie, herbatę z cytryną i szarlotkę, i niemal się popłakała, bo zapach ciepłych jabłek z cynamonem przypomniawszy jej odległy dzień z dzieciństwa. Do tego Tobiasz. Na pogrzebie chodził za nią jak cień, jakby się bał, że zemdleje, i próbował ją asekurować.

– Coś się dzieje?

Głos Wiktora w słuchawce był poirytowany.

– Umówiliśmy się dziś w Hosso. Nie pamiętasz? Mieliśmy wybrać wózek dla małego.

– Cholera – powiedział niewyraźnie, jakby coś przeżuwał. – Mam tu dziś urwanie głowy. Przyjechała ekipa, która będzie stawiać domki kontenerowe. Dodatkowe osiedle domków. Nie mówiłem ci? No to mówię teraz.

Agata próbowała sobie przypomnieć, kiedy Wiktor ostatnio był w domu. Tydzień temu? Wcześniej ośrodek przeżywał oblężenie majówkowych gości, a recepcjonistka się rozchorowała i Wiktor nie mógł znaleźć dla niej zastępstwa. Teraz nowe domki. Może faktycznie jej o tym wspominał? Kto wie, głowę miała ostatnio zaprzątniętą morderstwem Pana Toma i jego książkami.

– Wróciłam właśnie z pogrzebu tego młodego chłopaka – rzuciła, biorąc łyk herbaty. – To Kamil Żuk, wiesz, ten, który...

– Słuchaj – przerwał jej Wiktor. – Ja naprawdę nie mogę teraz rozmawiać. Okej? Pogadamy później.

Rozłączył się, „okej” powiedziała więc sama do siebie.

Zapomniała zapytać, czy wróci dziś na noc. Powtarzał jej, że skończył już trzydzieści dwa lata i to jego ostatnia szansa, by zrobić karierę. Właściciel ośrodka miał jeszcze kilka innych nad morzem i Wiktor liczył, że jeśli się wykaże, zostanie jego prawą ręką. Przekonywał Agatę, że dziecko kosztuje, musi więc dużo zarabiać. Cóż, ceny wózków zdawały się to potwierdzać. Mały miał się urodzić za parę tygodni, a oni nie mieli dla niego jeszcze niczego, nawet imienia. Wiktor powtarzał, że nie ma co szaleć i na urządzenie pokoju dziecięcego jest mnóstwo czasu, ale Agata wcale nie podzielała jego beztroski. Czy on tego dziecka w ogóle chciał? Zaczynała w to wątpić.

Poczuła, że znowu się zapada w czarną otchłań. Dziś rano zabrakło jej tchu na widok szpaleru maturzystów, którzy jeden po drugim podchodzili, by rzucić różę na trumnę z ciałem Kamila. Ojciec zmarłego chłopaka podtrzymywał jego matkę. Co ta kobieta musiała czuć? Agata zdjęła rękę z brzucha i otarła łzę. Och, przestań się wreszcie mazać, jesteś policjantką, pomyślała ze złością i wbiła widelczyk w ciasto.

W dzisiejszej prasie pojawił się artykuł, którego autor sugerował, że w przeciwieństwie do morderstwa Pana Toma policja mogła zapobiec śmierci Kamila Żuka, i Dereń skwitował to rano dosadnym „a gównu prawda”, ale Wanda widziała, że go to gryzie. Podobnie jak ich wszystkich. Nie chodziło o artykuł czy ludzkie gadanie, do tego się przyzwyczaili, ale o śmierć osiemnastolatka.

Piotr rozpiął kołnierzyk koszuli i Wanda zerknęła na niego przelotnie, jakby szukała śladów szminki. Było to głupie i żenująco dziecinne, a jednak nie mogła się powstrzymać. Wcześniej słyszała wystarczająco dużo plotek o kobiecie, z którą podkomisarz zaczął się spotykać, ale Joanna stała się realna dopiero przed kilkoma dniami, gdy niewiele brakowało, a wpadłyby na siebie przed blokiem Derenia. Poznała ją od razu, po sposobie, w jaki wygładziła czerwoną, naprawdę bardzo czerwoną sukienkę i poprawiła pasek. Wanda odchrząknęła, starając się wyrzucić z głowy obraz Piotra, który rozpina zamek tej sukienki i całuje długą, bardzo długą szyję przedszkolanki. Dlaczego dla niektórych ludzi to jest takie proste? Była pewna, że Piotr zdąży się ożenić ponownie, zanim miną trzy lata od jego rozwodu. Anna, Joanna. Należał do mężczyzn, którzy po prostu lubili być w związku małżeńskim.

– Pamiętasz, jak Tobiasz powiedział, że nie znalazł na laptopie Tomczyńskiego nic poza zdjęciami nocnego nieba?

Skinęła powoli głową. Siedzieli w salce konferencyjnej komendy, naprzeciwko białej tablicy, którą Agata wytarła właśnie gąbką. Cięża jej służyła i trudno sobie ją było teraz wyobrazić bez ogrodniczek opiętych na dużym brzuchu.

– Znalazł coś jeszcze?

Dereń skinął głową. Szminka na kołnierzyku i inne tego typu bzdury natychmiast wyleciały Wandzie z głowy. Spojrzała na podkomisarza z uwagą.

– Nie na jego laptopie – odparł. – Wczoraj w domu Tomczyńskiej zastanowiło mnie coś, na co wcześniej nie zwróciliśmy uwagi. Widok z okna.

– Przecież podziwialiśmy go wszyscy. O ile dobrze pamiętam, nawet Falski. Co tam Falski. Nawet Wrzosiu!

– Tak, ale mam na myśli coś innego. Wczoraj pomyślałem, że być może przez teleskop dało się obserwować coś więcej niż nocne niebo. Ja bym tak robił. Gdybym mieszkał w takim miejscu, z pewnością kupiłbym lornetkę.

– Nie każdy urodził się śledczym czy ornitologiem – mruknęła Wanda. – Zresztą jeśli nawet? Co nam to daje? Cokolwiek tam zobaczył, zabrał ten i inne widoki ze sobą do grobu.

Ledwo dokończyła zdanie, do sali wszedł Tobiasz i wyjął z dużej sportowej torby teleskop, a obok położył laptop, jak magik, który przygotowuje się do występu.

– Przyjrzałem mu się w nocy – powiedział bez zbędnych wstępów i odsunął nogą krzesło. – To naprawdę drogie cacko, sprzęt z wysokiej półki. Montaż paralaktyczny, układ optyczny Schmidta–Cassegraina wyposażony w powłoki optyczne StarBright XLT minimalizujące straty światła...

– Zlituj się, Tobiasz – jęknęła Wanda. – Nie planujemy zakupu teleskopu. Chcemy znaleźć mordercę Tomczyńskiego.

– Jasne. – Młody otworzył na pulpicie kilka okien. W świetle odbijanym przez ekran jego twarz była bardzo blada, jakby nie spał przez całą noc. Nie nosił już plastra i rana nad łukiem brwiowym przypominała teraz czerwony nierówny przecinek. – Jasne – powtórzył i zamrugał kilkakrotnie.

– Prawdziwi maniacy nocnego nieba często bawią się w fotografa, a w zasadzie astrofotografa. – Tobiasz przybrał ton eksperta, który prowadzi kanał na YouTube. – Obiekty na niebie znajdują się w ciągłym ruchu i zrobienie takich zdjęć wymaga dużo zachodu, niektórzy dołączają lustrzaną na tak zwanego barana, inni przyłączają ją do wyciągu okularowego za pomocą specjalnej złączki.

– A Tomczyński? – zapytała Wanda i spojrzała na monitor, który Tobiasz ustawił na środku stołu, przodem do nich.

– Pamięta pani te zdjęcia, które znalazłem na jego laptopie? Zdjęcia mgławic, pierścieni Saturna, Słońca i Jowisza?

Przytaknęła.

– Okazuje się, że wystarczy wybrać teleskop odpowiedni do astrofotografii i można umieścić kamerę CCD bezpośrednio w ognisku pierwotnym teleskopu. Dołączyłem do grupy na Facebooku i dobrzy ludzie podzielili się swoją wiedzą... W każdym razie – dodał, widząc zniecierpliwione spojrzenie Derenia – Tomczyński tak właśnie zrobił, ale nikt z nas nie zwrócił na to uwagi, bo kamera CCD wygląda dla laika po prostu jak część sprzętu. W nocy z czternastego na piętnasty kwietnia wykonał świetne foty Wielkiej Mgławicy w Orionie. Skopiowałem je tutaj. – Otworzył kilka zdjęć, które wyglądały jak abstrakcyjne wygaszacze ekranu. – W Kuszewie są idealne warunki do obserwacji nieba

i astrofotografii: żadnych przydrożnych lamp, a nieliczne domy są rozproszone. Zrzuciłby te zdjęcia na pewno na swój laptop, ale cóż, nie zdążył. – Tobiasz pozamykał otwarte pliki.

Wanda pomyślała, że fotki mgławic może i są ciekawe, ale pewnie nie to miał na myśli Piotr, gdy rzucił temat sprawdzenia teleskopu. Agata tymczasem wstała z miejsca, by lepiej widzieć, bo Tobiasz nadal przesuwał palcami po panelu dotykowym laptopa.

– Przez dwa miesiące poprzedzające noc morderstwa Jakub Tomczyński zrobił też kilkanaście zwykłych zdjęć – rzucił młody.

– Zwykłych, czyli? – spytała Wanda.

– Nie ma tam mgławic ani Jowiszów, jest za to jezioro. Ze względu na rodzaj sprzętu obraz przedstawia lustrzane odbicie, ale to nadal dobre zdjęcia.

– Skąd pewność co do dat, kiedy zostały zrobione? – zapytała Wanda.

– Kamera rejestruje je automatycznie pod konkretną datą i godziną. Można tę funkcję wyłączyć, ale on tego nie zrobił.

Wkrótce zobaczyli ujęcie wiosłującego Kamila Żuka, a na nim datę piętnastego kwietnia. Po chwili kolejne, na którym widoczny był z profilu. Na widok żywego jeszcze osiemnastolatka Wandzie zrobiło się cholernie smutno, ale te zdjęcia nie były dla nich żadną niespodzianką.

– No i? – zapytała Agata. – Wiemy przecież wszystko o wizycie młodego Żuka u Pana Toma. Dopłynął na polanę o szesnastej dwadzieścia, przywiązał łódź do pomostu i wdrapał się na górę. Spędził u Tomczyńskiego mniej więcej godzinę, przekazał woreczek z trawą, wypalił z pisarzem jointa, a potem wrócił łódką do Sikor, rowerem do Czaplinka i ruszył na pociąg do Szczecina, gdzie w hotelu czekała na niego ukochana Iza Tomczyńska.

Piotr nadal wpatrywał się w ekran.

– A te poprzednie?

Tobiasz wyświetlił zdjęcia z trzeciego i ósmego marca, a także z początku kwietnia. Było ich pięć i na każdym kamera zarejestrowała tę samą łódkę, w której ponownie siedział Kamil Żuk, tylko tym razem w towarzystwie Izy Tomczyńskiej. Na dwóch się całowali, na trzech ona leżała na ławeczce z głową na jego kolanach.

– Czyli wiedział o tym romansie?

Wanda wymieniła spojrzenia z Dereniem.

– Na to wychodzi. Być może od dawna. Ale jest jeszcze jedno.

Na pulpicie pojawiło się ciemniejsze zdjęcie, z dziesiątego kwietnia.

– Na pięć dni przed morderstwem miał gościa, który o niczym nam nie wspomniał. Na polanie było już ciemno, ale jak mówiłem, to naprawdę dobry sprzęt, a Tomczyński potrafił się nim posługiwać.

– Da się to jakoś powiększyć? – zapytał podkomisarz.

Kobieta na polanie miała na sobie zupełnie inny strój niż ten, w którym Wanda widziała ją ostatnio, ale nie ulegało wątpliwości, że to Barbara Koterska, dyrektor sprzedaży i marketingu w wydawnictwie Litery. Blond włosy miała związane i patrzyła niemal prosto w obiektyw. Z niepokojem, jakby się zastanawiała, jak wlezie pod tę cholerną górę.

Odkąd wyjechali z Drawskiego Pomorskiego, towarzyszyła im składanka Dire Straits, Hendrixa i Bruce'a Springsteena, i gdy tylko za oknem pojawiły się mazowieckie równiny, Wanda wyjęła z torby dwupłytowy album *Great Orchestral Works*.

– Nie wierzę. – Dereń obrzucił okładkę zrezygnowanym spojrzeniem.
– W to, że zabrałam ze sobą płytę? To prawie pięćset kilometrów.
– W to, że oni też mają coś w rodzaju największych przebojów.
– Może jak posłuchasz, zmienisz zdanie. Zaczyna się świetną uwerturą *Egmont op. 84* Beethovena.

– No tak, skoro *Egmont op. 84* i Beethoven...

Wanda wsunęła płytę do odtwarzacza, a gdy wjechali do Warszawy, uznała, że stolica przy akompaniamencie klasyki prezentuje się całkiem ładnie. Mijali zielone skwery, parki, dzieci na rowerkach i elegancko ubrane starsze panie, które z tym podkładem muzycznym zdawały się załatwiać jakieś wzniosłe sprawy.

– To gdzieś na starym Żoliborzu – rzuciła, wpisując adres Koterskiej w aplikację.

Utknęli właśnie w gigantycznym korku, który w Poznaniu wydarzyłby się tylko w przypadku przymusowej ewakuacji miasta, a w Drawsku Pomorskim nie powstałby nigdy.

– To coś znaczy?

– To znaczy, że mieszka w zabytkowej willi z lat dwudziestych czy trzydziestych, wypełnionej antykami, a ozdobna poduszka na jej pistacjowej sofie kosztuje tyle, ile ja i ty zarabiamy miesięcznie.

– Pistacjowej? Naprawdę jest taki kolor? – Piotr uniósł brew. – No i skąd ten pomysł, że zarabiamy tyle samo, pani prokurator? Swoją drogą, dokąd oni wszyscy jadą? – Wskazał ręką sznur samochodów. – Jest sobota w południe, czy nie powinni zajadać się w łóżku naleśnikami z bitą śmietaną i grać w scrabble?

Wanda obrzuciła go ironicznym spojrzeniem.

– Naleśniki z bitą śmietaną? Scrabble? Czasami myślę, że właśnie wyjęli cię z kapsuły, w której spędziłeś ostatnich dwadzieścia lat. W Drawsku Pomorskim w weekendy jeździ się do galerii Hosso, a w Warszawie się bywa od świtu do świtu. Do najmodniejszych restauracji śniadaniowych jeszcze przed godziną otwarcia ustawiają się kolejki.

– Co to znaczy modna restauracja śniadaniowa?

– Serwuje jajecznicę z truflami, owsianko-jaglanekę na mleku sojowym i omlety z karmelizowanymi burakami i jarmużem.

– Hipsterka, ale jarmuż lubię. – Dereń przejechał gładko lewym pasem, wyprzedzając kilkukilometrowy sznurek samochodów, a teraz próbował się na chama wcisnąć z powrotem na prawy.

– Nie znoszę takiego cwaniactwa. Nie wpuściłabym cię.

– Wiem o tym. – Mrugnął do niej. – Ale mam rejestrację ZDR, potraktują mnie jak zagubionego wieśniaka i ktoś się wreszcie ulituje.

Niestety miał rację i po chwili zrobił mu miejsce brzydki kanciasty jeep, który kosztował pewnie z milion. Wanda podała Dereniowi butelkę wody, a sama przyssała się do kubka termicznego. Jej kawa była już całkiem zimna, ale i tak prokurator uznała, że lepiej ugasi pragnienie. Czerwonego

kubka z napisem „Smile” nie było już w samochodzie, Piotr zapewne oddał go tej całej Joannie.

– Wysiałem jarmuż w skrzynce na balkonie. – Dereń wrócił do tematu zieleniny. – Lena powiedziała, że to bardzo zdrowe warzywo. Teraz mi się wydaje, że będzie go bardzo dużo. Zostało mi trochę nasion, jakbyś chciała.

– Naprawdę wysiałeś jarmuż? – zapytała, a Piotr skinął głową.

– Wysiałem jarmuż.

Słowo przykleiło się do nich na chwilę. Wydawało się jednocześnie swojskie i egzotyczne.

– Pod Pałacem Kultury rośnie podobno ogromny okaz tego warzywa.

– Jak ogromny?

– Nie mam pojęcia. Przygotowywałam się wczoraj do przesłuchania Koterskiej, nie do warzywnego tournée po stolicy.

– Ciekawe, czy też mają problemy z kiłą.

Wanda niemal opluła się kawą.

– Chcesz powiedzieć, że jarmuż cierpi na choroby weneryczne?

– A dokładnie na kiłę kapusty – potwierdził Dereń i napił się wody. Jego leśnik znowu się wlekł na prawym pasie. – Mój jest jeszcze za młody, ale słyszałem, że kiła często atakuje ten gatunek. Pojawiają się wtedy na nim zgrubienia.

– Jak syfilis u ludzi? Grudki i opryszczka?

– Skąd tyle wiesz o syfilisie?

– Czytałam kiedyś książkę.

– Mogłem się spodziewać. O chorobach wenerycznych?

– O zarazach.

Dereń zabębnił palcami w kierownicę.

– Wiedziałaś, że na kiłę chorowali van Gogh, Klimt, Gauguin?

– Dopadała tylko malarzy?

– Nie tylko. Na kilę cierpiał też Beethoven...

– Ten kawałek – Dereń machnął ręką w kierunku odtwarzacza, z którego sączył się właśnie fragment piątej symfonii – powstał, gdy bardzo cierpiał?

– Beethoven był perfekcjonistą. – Wanda zignorowała jego komentarz. – Nie wiem, czy wiesz, ale potrafił siedzieć godzinami nad nutami i poprawiać gotowe już dzieła. Podobno był tak surowym opiekunem dla syna swojego zmarłego brata Karla, że dzieciak chciał popełnić samobójstwo.

– I to jest twój idol? No tak. To wiele tłumaczy – mruknął Dereń.

Wanda milczała.

– Obraziłaś się? – Dotknął lekko jej ręki leżącej na kolanie, co zaskoczyło ją tak bardzo, że nie zdążyła się odsunąć. – Kto jeszcze chorował na kilę?

– Oscar Wilde, Baudelaire, nawet nasz Wyspiański. Swego czasu to była modna choroba. Niektórzy uważali, że atakuje układ nerwowy i w ten sposób poszerza horyzonty.

– No nie, ja jednak podziękuję. – Podkomisarz wypuścił powietrze z płuc ze świstem.

GPS nakazał im skręcić w lewo i po kolejnej półgodzinie przepychania się przez Warszawę dotarli wreszcie na miejsce. Z zewnątrz willa wyglądała dokładnie tak, jak opisała ją Wanda – był to typowy przykład architektury starego Żoliborza zanurzonej w gęstwinie drzew – ale wewnątrz nie mogło ich bardziej zaskoczyć. Wbrew dacie tysiąc dziewięćset dwadzieścia dziewięć wytłoczonej na murze w środku dom przypominał moduł mieszkalny NASA.

Drzwi otworzyła im młoda kobieta, którą Wanda wzięła za kogoś w rodzaju ekstrawaganckiej gosposi. Jej długie nogi owiewał fartuszek, a na głowie miała turban, spod którego wystawały blond włosy pozwijane w sprężynki. Zostawiła ich samych w pokoju, który wyglądał jak hol na lotnisku w Dubaju, i powiedziała, że panie niebawem do nich dołączą. Wanda wymieniła z Piotrem zdziwione spojrzenia, bo umawiali się tylko na spotkanie z Koterską. Poczuli się jak na planie jakiejś serialowej hybrydy *Star Treka z Dynastią*.

Doszła do wniosku, że projektant wnętrz zatrudniony przez Koterską akceptował tylko dwa kolory, biały i grafitowy, a jego ulubionym motywem był statek kosmiczny. Ten kształt odwzorowywały wszystkie lampy i stoliki. Wystrój jakoś nie pasował Wandzie do pulchnej blondynki, którą przynajmniej w kwestiach kulinarnych cechował pewien brak dyscypliny.

Usiedli z Piotrem przy spodku wyrzeźbionym z bloku błyszczącego kamienia, który niczym ołtarz górował nad resztą pokoju. Z gładkiej ściany naprzeciwko wystawały metalowe ręczki przypominające uchwyty szuflad w prosektorium i podkomisarz rzucił, że to pewnie tam pogrzebano wszelkie życie, by nie przeszkadzało właścicielce w kontemplacji krematoryjnej przestrzeni.

– Przedziwna chałupka – skwitował, podchodząc do panoramicznego okna, a piach osypał się z jego butów na biało-grafitowe płytki. Hol ciągnący się po obu stronach przeszklonych schodów był sterylnie czysty, nie dało się więc nie zauważyć, że Dereń napaskudził. – Za to ogród jest bardzo ładny. Spójrz, piękne stare brzozy.

– Przepraszam. Jadłyśmy właśnie lunch. – Agnieszka Faith wyrosła przed nimi tak nagle, jakby wyłoniła się z jednej z białych ścian.

– Może dacie się państwo zaprosić? – zaproponowała Koterska, która stała tuż za nią ze spłoszoną miną.

Zanim Wanda zdążyła zaprotestować, Dereń ruszył za nimi do kuchni przytulnej jak kaplica cmentarna. To też musiało kosztować fortunę, jęknęła prokurator w duchu i wdrapała się na wysokie krzesło obok kobiety w turbanie, która wciągała przez słomkę purpurowy napój. Emanowała niewzruszonym spokojem oswojonego kota. Wdzianko, które Wanda w pierwszej chwili wzięła za fartuszek, okazało się szyfonową sukienką.

– To kiszonka z buraków – wyjaśniła Koterska i naląła im po szklance, a Faith poprosiła kobietę w turbanie, by zostawiła ich samych.

– Samira jest moją dietetyczką i trenerką – wyjaśniła szefowa Liter, gdy za kobietą zatrzasnęły się drzwi. – Jest bardzo znana w Warszawie. Tak znana, że nie musi się nigdzie reklamować. Miałam przez lata różne trenerki, ale ta jest naprawdę wybitna w swojej dziedzinie. Prawdziwa osobowość, prawda, Basiu? – zwróciła się do Koterskiej, a ta skinęła głową.

Wanda wzdrygnęła się mimowolnie, bo z jej doświadczeń wynikało, że prawdziwa osobowość nie oznacza nic dobrego. Na ogół był to ktoś zdrowo świrnięty, w rodzaju jej byłego męża.

W domowych pieleszach Koterska i Faith były jeszcze bardziej glamour niż na pogrzebie Tomczyńskiego. Białe spodnie opięte na sprężystych udach pani prezes rozszerzały się ku dołowi, a srebrzysty top z długim rękawem podkreślał jej wystające obojczyki. Koterska miała na sobie luźny kombinezon o długich nogawkach, które niemal w całości zakrywały jej stopy. Pomimo lunchowej kurtuazji, obecności Samiry i ciuchów rodem z luksusowego sklepu z akcesoriami dla joginów, którzy po sesji sączą napar z zebranych podczas pełni kwiatów czarnego bzu, Wanda czuła, że kobiety są zdenerwowane. Zupełnie jakby wdychały zen, a wydychały strach.

– Przyjechaliśmy porozmawiać z panią Koterską – powiedziała.

– Cóż, mieszkamy razem, a skoro tak, chyba mogę zostać? – Faith odsunęła od siebie talerz. – Wszystko, co dotyczy śledztwa w sprawie morderstwa Jakuba, dotyczy także naszego wydawnictwa, a co za tym idzie, mnie samej. Poza tym nie mamy z Basią przed sobą żadnych tajemnic. – Ujęła niską blondynkę za rękę, jakby chciała jej dodać animuszu. Miała uśmiech kobry.

Wanda spojrzała na Koterską, która skinęła głową, a Piotr odchrząknął i wyjął z teczek zdjęcie. Położył je przed nią na stole.

– Co pani robiła na polanie pod domem Pana Toma dziesiątego kwietnia?

Koterska patrzyła na zdjęcie z niedowierzaniem jeszcze większym niż to, które malowało się na twarzy Agnieszki Faith.

– Ja... – Spojrzała przelotnie na swoją przełożoną i partnerkę. – Ale kto zrobił to zdjęcie?

– Pozwoli pani, że to my będziemy dziś zadawać pytania. – Wanda posłużyła się wyświechtaną formułką. W tego typu sytuacjach właśnie takie sprawdzały się najlepiej.

Koterska przytaknęła jak potulna dziewczynka. Trudno było sobie wyobrazić, że jest dyrektorką dużego działu i kieruje ludźmi.

– Dziesiątego kwietnia pojechałam do Kuszewa po rękopis.

– Był więc gotowy? – zdziwił się Piotr i zanurzył słupek marchewki w czymś, co wyglądało na pastę z awokado, ale chyba nią nie było, bo lekko się skrzywił.

– Tak mi powiedział Kuba przez telefon.

– Podczas rozmowy, o którą panią pytałam po pogrzebie Jakuba Tomczyńskiego? Tej z czwartego kwietnia, kiedy rzekomo złożyła mu pani tylko życzenia wielkanocne? – Wanda spróbowała znaleźć wygodną

pozycję w siedzisku, które stanowiło dziwne połączenie krzesła i barowego hokera.

– Tak, to było wtedy.

– Dlaczego nie wspomniała nam pani o tym spotkaniu ani słowem?

Blond włosy Koterskiej wydały się jeszcze jaśniejsze, gdy jej twarz oblała się czerwienią.

– Nie chciałyśmy, by ta informacja przedostała się do prasy – wtrąciła Faith. – A sami państwo wiecie, że tak właśnie by było. Mija miesiąc od morderstwa Kuby, a wy nadal nie macie konkretnego tropu, jeśli się nie mylę. To tylko rozdmuchuje spekulacje.

– Czy macie ten rękopis?

– Powiedzmy – powiedziała Koterska, patrząc na Faith.

– Co to dokładnie znaczy? – zapytał zniecierpliwiony Piotr. Miał wyraźnie dość ich kluczenia.

– Kuba poprosił mnie o całkowitą dyskrecję. Powiedział przez telefon, że tym razem nie wie o nim nikt, nawet jego żona. Gdy przyjechałam po manuskrypt, była poza domem.

– Skąd taka konspiracja?

– Nie mam pojęcia. – Koterska wzruszyła ramionami. – Kuba przyzwyczał nas do różnych dziwactw. W każdym razie nikomu nie powiedziałam ani słowa i wsiadłam w samochód.

– Nikomu poza mną – dodała Faith, jakby ktokolwiek z obecnych mógł mieć wątpliwości.

– Zdjęcie zrobiono na polanie – zauważyła Wanda. – Dlaczego nie podjechała pani pod dom?

– Wyjaśnienie jest naprawdę proste. – Koterska przeciągnęła dłońmi po kombinezonie. – Odwilż przyszła dopiero po Wielkanocy i droga

prowadząca przez las zamieniła się w rzekę błota. Nie jeżdżę amfibią i nie chciałam ryzykować, bałam się ugrzęznąć. Zaparkowałam na samym początku drogi i zeszłam do ścieżki wokół jeziora. Spacerowałyśmy tam kiedyś z Kubą i jego żoną.

– Bardzo drogi spacer – potwierdziła Faith. – Kompletnie zniszczyłaś te swoje zamszowe rude botki.

– W każdym razie jakoś wdrapałam się na górę.

– Dlaczego w takim razie tak się martwiłyście o ten rękopis? Skąd pytania o zawartość laptopa Tomczyńskiego?

– Cóż... – Koterska wymieniła spojrzenia z Faith. – Gdy tam dotarłam, powiedział, że nic dla nas nie ma, że rękopis został wykradzony.

– Jak to? Zgłosił to na policję? – spytała Wanda, siląc się na spokój.

– Rozmawialiśmy o tym i doszliśmy do wniosku, że lepiej będzie tego nie nagłaśniać. Chyba to pani rozumie?

– Ale dlaczego dowiadujemy się o tym dopiero teraz? – spytał Dereń. On nie starał się zachować cierpliwości.

Faith podwinęła rękawy topu mieniącego się srebrną nitką.

– Wszyscy czekają na wydanie ostatniej powieści Pana Toma. Zniknęła być może bezpowrotnie, ale kto wie, niewykluczone, że uda nam się coś z tym zrobić.

– Co ma pani na myśli? – zapytała Wanda.

– Prowadzę firmę, która karmi wiele rodzin. Odpowiadam też za wyniki przed udziałowcami. Wolałabym nie mówić nic więcej na ten temat. Liczę, że ten wykradzony manuskrypt w końcu się znajdzie.

Już na początku śledztwa Agata przekazała im informacje na temat struktury własnościowej Liter. Wydawnictwo było spółką z ograniczoną odpowiedzialnością, w której Faith posiadała trzydzieści procent udziałów. Reszta należała do jej byłego męża, który wymiksował się z jej życia

prywatnego, ale nie ze wspólnego biznesu, a także do znanego polskiego tancerza celebryty.

Wanda spojrzała na Piotra.

– Czy kiedykolwiek słyszały panie o udziale Izy Tomczyńskiej w powstawaniu książek Pana Toma?

Przy stole zapadła cisza, którą przerwała Agnieszka Faith.

– Nigdy. O ile wiem, nie pokazywał nikomu swoich utworów. Jak wspominałyśmy od samego początku, zachowywał się trochę jak paranoik. Był bardzo skrytym człowiekiem.

Wanda pomyślała o zdjęciach robionych przez Tomczyńskiego żonie i jej kochankowi za pomocą kamery dołączonej do teleskopu. Zdaje się, że Faith miała rację. Gdy wychodzili, zatrzymała się przy drzwiach z szyfrowym zamkiem wyposażonym w biometryczny czytnik.

– Jeszcze jedno pytanie. Czy prowadzone były ostatnio jakieś rozmowy dotyczące książek Pana Toma?

– Co ma pani na myśli?

– Planowane nagrody dużej wysokości, może ekranizacja?

– Książki Kuby zawsze zgarniały nagrody, a co do ekranizacji... platforma HBO jest zainteresowana produkcją serialu na podstawie jego ostatniej trylogii. Nie sądzę, by się wycofali z tego projektu teraz, gdy Kuba... Cóż, sami państwo wiecie, jak to działa. – Koterska ponownie rzuciła im spłoszone spojrzenie.

Wanda zastanawiała się, jak ta kobieta się zachowuje, gdy Faith nie ma w pobliżu.

– Czy Tomczyński o tym wiedział?

– Owszem. Nie puściliśmy jeszcze oficjalnego komunikatu do mediów, ale jego poinformowaliśmy.

– A jego żona wiedziała?

– Iza? Nie mam pojęcia. Nawet jeśli pomagała mu pisać książki, to z nim mieliśmy podpisaną umowę, to do niego należał pseudonim Pan Tom i to z nim rozmawialiśmy na temat wszelkich działań dotyczących jego powieści. Ale kto wie, może się jej zwierzył?

Wkrótce się pożegnali i wyszli do zalanego słońcem ogrodu. Gdy Piotr wykręcał na podjeździe, Wanda obrzuciła dom ostatnim spojrzeniem. Na tarasie Samira ćwiczyła tai-chi z kolorowymi chustami. Pomachała jedną z nich w geście pożegnania.

Gdy tylko wyjechali z Warszawy, niebo zasnuły niskie chmury i zaczęło kropić. Z każdym kilometrem deszcz padał coraz mocniej, a Piotrowi coraz mocniej dawały się we znaki pobudka o świcie i czas spędzony za kółkiem. Gdy nie mógł pohamować ziewania, zatrzymali się w McDonalddie na obrzeżach Bydgoszczy, gdzie poprosił o najbardziej kaloryczny zestaw z oferty i dużą colę. Wanda zamówiła dla siebie to samo.

– Dziwisz się, że zgłodniałam? – spytała, widząc jego wysoko uniesione brwi.

– Dziwię się, że nie wyjęłaś z torby kilku batoników proteinowych. To przecież fast food.

– Szybka kobieta, szybkie jedzenie – rzuciła, puszczając oko.

Gdy tylko usiedli przy stoliku, wgrzyzła się w ociekającego sosem burgera i sięgnęła do zatłuszczonej torebki z frytkami.

Piotr chyba nigdy nie widział, by jadła coś z takim apetytem. Tak naprawdę w ogóle rzadko widział, by coś jadła. Gdy Tobiasz częstował pasztetem z fasoli czy swojską kiełbasą, w zależności od tego, jaką akurat przerabiał dietę, Wanda odmawiała, jakby samą czynność jedzenia uważała za coś intymnego. Teraz musiała być naprawdę głodna.

– Masz żółty sos na brodzie. – Zatrzymał palec tuż przed podbródkiem Wandy, by jej przypadkiem nie dotknąć. Nie umknęło mu, jak bardzo

zesztywniała, gdy wcześniej w samochodzie musnęła jej rękę.

Wanda sięgnęła po dwie serwetki. Jedną otarła usta i podbródek, a drugą podała jemu.

– Może i tak, ty masz za to sos na koszuli.

Patrzyła, jak zezując, próbuje się doprowadzić do porządku. Na szczęście wziął dodatkowo kawę na wynos, bo gdy wsiedli z powrotem do leśnika, poczuł się jeszcze bardziej senny.

– Zastanawiam się, czy to prawda. Ta historia o kradzieży manuskryptu – odezwała się Wanda, poprawiając fryzurę w lusterku.

– Myślisz, że Koterska go jednak dostała? Dlaczego miałyby kłamać?

– Sama nie wiem. Zachowuje się jak pensjonarka, ale jest przecież świetna w tym, co robi. Może to marketingowa sztuczka?

– Tak naprawdę jest im na rękę, że media powtarzają informację o zaginięciu ostatniego manuskryptu Pana Toma – zauważył Piotr.

– Otóż to. Wolały się upewnić, że nie znaleźliśmy żadnej niepożądananej kopii, która w zamieszaniu podczas śledztwa mogłaby wyciec do internetu.

– Być może masz rację. Posiedzą na nim, dopóki oczekiwania i spekulacje nie rozgrzeją się do czerwoności, i dopiero wtedy go wydadzą.

Wanda ziewnęła i wyciągnęła ramiona, dotykając podsufitki, a potem przykryła się żakietem i zamknęła oczy. Piotr od czasu do czasu odrywał wzrok od drogi, by na nią spojrzeć. Posapywała z głową nienaturalnie wygiętą w stronę okna, a zwykle związane włosy rozsypały się wokół jej drobnej bladej twarzy. Włączył płytę *Duchy ludzi i zwierząt* Waglewskiego, Fisza i Emade, którą dostał w prezencie od Pawła i której nie zdążył jeszcze przesłuchać. Zatopił się w muzyce, a każdy kawałek był jak odrębny pełnometrażowy film. Niewielu potrafiło komponować muzykę tak, by opowiadała historie. Jego ulubieniec Mark Knopfler, Bruce Springsteen, a w Polsce? Przestał już to wszystko śledzić, muzyka w radiu rzadko mu się

podobała. Czuł, że mógłby się dokopać do czegoś ciekawego w sieci, ale nie starczało mu już czasu na kolejne próby i błędy. Gdy przesłuchał całą płytę, włączył *Privateering* Marka Knopflera.

Było już późno, gdy dojechali na miejsce, i choć czuł się zmęczony, zrobiło mu się trochę żal, że podróż dobiegła końca. Nie musiał budzić Wandy – otworzyła oczy, gdy tylko zatrzymał się pod kamienicą. Spojrzała na niego zdezorientowana, jakby był postacią z jej niedokończonego snu.

– Chrapałaś – rzucił z uśmiechem.

– Dziwisz się? – Rozespanym gestem wskazała odtwarzacz, w którym Knopfler śpiewał, żeby nie zapominał swojego kapelusza. Włożyła zakiet do torby i otworzyła drzwi.

– To jak? Chcesz trochę nasion? – zapytał Piotr.

– Tak to się teraz załatwia? Czy pan, komisarzu, oferuje mi właśnie substancje psychoaktywne?

– Jarmuż. Mówiłem ci, że będę go miał za dużo. Masz brzydkie myśli. Wiesz, co kiedyś mówili dziewczynkom?

– Zamieniam się w słuch. Co kiedyś mówili dziewczynkom?

– Że od brzydkich myśli urosną im włosy na twarzy, głos zrobi się gruby i nie znajdą męża.

– Co zrobić, taki los – wydobyła z siebie jak najgłębszy bas. – Dzięki, ale istnieje ryzyko, że zapomniiałabym je podlewać. Mam na parapecie storczyk w doniczce, na której należałoby umieścić napis: spoczywaj w pokoju. Na pewno znajdziesz kogoś godniejszego swoich nasion. – Mrugnęła.

Jego telefon zawibrował, gdy zniknęła za drzwiami, i zerknął na wyświetlacz. Po ostatniej randce, gdy jadł z Joanną własnoręcznie ugotowany barszcz i ziemniaki ze schabowym, szybko wrócili do wymiany zdawkowych esemesów. Chyba to lubiła, bo w każdym używała bardzo

dużo emotikoniek. Jeszcze więcej niż jego córka. Czuł się trochę tak, jakby odszyfrowywał wiadomość obrazkową. Tym razem Joanna dodała jeszcze link do śmiesznego filmiku z YouTube'a i kilka GIF-ów na dobranoc z kwiatem dojrzewającym w przyspieszonym tempie. Spodziewał się jakiejś zabawnej puenty, ale nie, po eksplozji płatków kwiat zamieniał się z powrotem w pąk.

Piotr wybrał numer Tobiasza. Wiedział, że jeszcze nie śpi, na ogół nie kładł się przed drugą.

– Rozmawiałem dziś z Szymonem Rolskim z Czaplinka. Czy ta dziara na twoim czole ma coś wspólnego z tym, co się dzieje w Perle Pojezierza Drawskiego?

– Nie chciałem denerwować Agaty i pomyślałem, że sobie to wyjaśnimy bez jej udziału – odparł chłopak.

– O co konkretnie tam chodzi? Opowieść Szymona była dość mętna. Wiktor wziął się do stręczycielstwa?

Piotr ziewnął i wykręcił ostrożnie pod wierzbą. O tej porze parking pod kamienicą Wandy jak zwykle był zatłoczony.

– Organizuje weekendowe potańcówki w ośrodku.

– To źle?

– To całkiem dobrze, jeśli chodzi o główny budynek i wieczorki zapoznawcze. Ale właściciel rozbudował ośrodek i od niedawna funkcjonuje tam coś w rodzaju części VIP, choć Szymon i reszta chłopaków nazywają to mniej ładnie. Dla ułatwienia podam, że się rymuje.

– Są jakieś skargi?

– Na razie nie, ale dostali cynk, że w wieczorkach VIP uczestniczą sami faceci, a Wiktor zwozi zabawowe dziewczyny z okolicznych wiosek. Mają go na oku. Pomyślałem, że dam mu szansę, by naprawił swój błąd, ze względu na Agatę.

– W takim razie zaczynam rozumieć. – Piotr stłumił kolejne ziewnięcie. Podjeżdżał już pod swój dom.

– Nazwał mnie zawistnym psem. Powiedział, że nie robi niczego nielegalnego, a ja nie mam pojęcia o modelach biznesowych. Powiniennem pilnować własnego chuja i trzymać się z daleka. Potem się trochę poszarпалиśmy.

– Szymon nie mówił nic Agacie?

– Nie i mamy nadzieję, że nie będzie już takiej potrzeby.

Dochodziła północ, gdy odebrał jeszcze jedno połączenie. Tym razem dzwonił Igor Żuk.

Zapewne niejedna kobieta na kilka tygodni przed rozwiązaniem spędzałaby sobotni wieczór, malując Kubusia Puchatka w pokoju dziecięcym, ale nie Agata. Od najmłodszych lat czuła się pozbawiona wszelkich talentów artystycznych. To po pierwsze.

Gdy w przedszkolu namalowała konia, pani myślała, że to świnka. Później w szkole, gdy malowali martwą naturę, zamiast dzbana – jak wytknęła nauczycielka – wyszedł jej korpulentny diabeł, więc na dobre dała sobie z tym spokój. Byłoby pewnie inaczej, gdyby mama żyła dłużej, zamiast zachorować na raka i odejść nagle w wieku czterdziestu dwóch lat.

Agata pamiętała tylko jedną wizytę, którą znaczył nienaturalny śmiech ojca, jak werble przed puentą komika. Ze wszystkiego sobie żartował, z lekarzy, kroplówek, owsianej papki, którą mama dostała na obiad. Tylko puenta nie padała. Powiedział mamie, że jak już sobie wypocznie, musi wrócić do domu i wziąć się do roboty, bo nie daje sobie bez niej rady. Agata myślała, że mama się wkurzy, ale ją też wszystko bawiło i nie przestawała się śmiać. Nastoletni Kacper, któremu właśnie sypnął się wąs, omijał mamę wzrokiem, mały Melchior przykleił się do jej brzucha, a ona, Agata, skubała róże, które kupili w kwiaciarni obok szpitala. Nikt na nią nie patrzył i gdy pielęgniarka powiedziała, że kwiaty niestety nie mogą zostać, zabrali ze sobą oszpecony bukiet. Trzy kwiaty były łyse jak kobiety, które

leżały z mamą na sali, a dwa dni później Agata wyjęła z kieszeni džinsów zgniłą kulkę z płatków.

Po drugie, chciała się wreszcie wykazać w śledztwie. Przeczytała ostatnią trylogię Pana Toma, a jego tajemnicza śmierć intrygowała ją tak samo jak całą Polskę. Brakowało jej pracy w terenie, bo ostatnio zajmowała się nudną robotą papierkową, której przybyło, odkąd Świder zastąpił starego Iwanowskiego na stanowisku naczelnika. Nie podobał jej się ten facet. Był w nim jakiś nadmiar. Twarz zbyt kobieca. Oczy za duże i zbyt wydatne mięsiste usta. Chodziło zresztą nie tylko o wygląd, ale także o manię, z jaką zasypywał wszystkich nowymi szablonami raportów i okólników. Była przyzwyczajona do biurokracji, ale Świder wznosił ją na wyżyny sztuki. W jego mniemaniu. Do tego ta jego sekretarka. Za każdym razem, gdy się mijaly, dwudziestoparoletnia Ewelina wydawała się przestraszona.

Agata siedziała więc nad papierami, czując, jak chłopczyk w jej brzuchu szuka sobie wygodnej pozycji. Z dnia na dzień mały był coraz silniejszy i to ją cieszyło. Coraz lepiej rozróżniała, kiedy głęboko śpi, a kiedy tylko drzemie. Szef już na początku śledztwa zlecił jej znalezienie Andrzeja Podolskiego, ale okazało się to trudniejsze, niż przypuszczała. Ustaliła, że przez kilka lat po rozwodzie z Jagodą Filipek mieszkał z teściem w Łubowie, lecz potem ten zmarł, mieszkanie zostało sprzedane, a Podolski znalazł się bez dachu nad głową. Miejscowi mówili, że jeszcze przez jakiś czas kręcił się po okolicy i to wtedy zaczął ostro pić. Pomieszkiwał rzekomo u jakiejś Marioli, którą Agata odnalazła w noclegowni dla bezdomnych. Może i była rozmowna, ale jej głowa przypominała gąbkę nasączoną fałszywymi wspomnieniami. Zapytana o Andrzeja Podolskiego, zaczęła jej opowiadać o jego dezercji z wojska

ludowego i przybyciu do zbombardowanej Warszawy. Agata po chwili dostrzegła w tej historii rysy Andrzeja Talara, postaci z serialu *Dom*.

Sześćdziesięciolatek z Łubowa, którego spotkała pod spożywczym, pamiętał, że Andriusza pojawił się w wiosce jeszcze kilka razy po rozstaniu z Mariolką, ale nie wiedział dokładnie po co. Może jakieś pieniądze pożyczyć? Choć trudno to sobie wyobrazić, bo odkąd stracił pracę i zaczął żyć na państwowym garnuszku, jego wiarygodność kredytowa w okolicy mocno spadła i w sklepie nie dawali mu już na krechę, a ludzie przestali z nim pić, bo już nie stawiał.

Coś ją tknęło i otworzyła folder z protokołami z przesłuchań i notatkami z rozpytań prowadzonych od samego początku, od szesnastego kwietnia. Był już mocno napuchnięty, więc podzieliła go na podfoldery, z których każdy liczył kilkadziesiąt plików. Tobiasz porządnie je zabezpieczył przed nieuprawnionym dostępem. Otworzyła notatkę z dwudziestego kwietnia, by sprawdzić, czy dobrze zapamiętała rozmowę z sześćdziesięcioletkiem. Nie myliła się, on rzeczywiście powiedział o Podolskim „Andriusza”, ale przecież gdzieś już widziała to zdrobnienie. Otworzyła notatkę z rozmowy z Mariolą, ale nie. Używała tylko imienia Andrzej.

Agata nie dawała za wygraną. Na pewno się nie pomyliła. Widziała to imię w innym jeszcze dokumencie, który przewinął się przez jej pulpit, gdy porządkowała materiały. Otwierała i przeszukiwała pliki jeden po drugim, ale nigdzie nie mogła trafić na cholernego Andriusza. W końcu odeszła od biurka i otworzyła słoik kiszonych ogórków. Zjadła dwa, a wodę zlała do kubka i popijając ją małymi łykami, wybrała numer Tobiasza.

– Słuchaj, czy można w szybki sposób znaleźć dokument na kompie po słowie kluczowym?

Tobiasz podał jej prosty patent i już po chwili patrzyła na notatkę z rozmowy prokurator Just i podkomisarza Derenia z Żenią Rublowem

z Bornego Sulinowa. To Żenia wspomniał coś o Andriuszy, który podobno mieszkał kiedyś w Kłominie. Czy to możliwe, by był to ten sam człowiek? Łubowo leżało blisko Bornego i Kłomina, więc na pewno było to prawdopodobne. Zdaje się, że wreszcie coś miała. Jeszcze raz wykręciła numer Tobiasza.

– Andriusza? Jesteś tego pewna?

– Tak. Tobie też obilo się to o uszy? Myślę, że Żeni chodziło o Andrzeja Podolskiego.

Tobiasz przez chwilę milczał.

– Kilka dni temu załatwiłem jedną sprawę dla kumpla Kacpra. Powiedzmy, że pomogłem im znaleźć informacje. Rozbili nową dziupłę w regionie.

– Co to ma wspólnego z Andriuszą vel Andrzejem Podolskim?

– Znajdowała się w opuszczonym bloku w Kłominie, a jeden z zatrzymanych powiedział, że to mieszkanie Andriuszy. Próbowali go nawet wrobić. Mówili, że to jego towar i hajs. Zapytam Mateusza o szczegóły i do ciebie oddzwonię.

Na szczęście nie musiała długo czekać.

– Okazuje się, że Andriusza, owszem, mieszkał tam, ale w jeszcze bardziej zdewastowanym bloku obok, który niedługo mają wyburzyć – powiedział.

– Myślisz, że go załatwili, żeby im nie przeszkadzał? Sprawdziłam, Andrzej Podolski przestał pobierać zasiłek z MOPS-u w Bornem Sulinowie dwa lata temu. Według lokalnych mieszkańców wtedy mniej więcej zniknął, więc myśleli, że się zapił na śmierć.

– Niewykluczone, że ktoś mu w tym pomógł, choć to raczej dzieciaki. Żadni tam „urodzeni mordercy”.

Agata uśmiechnęła się mimo woli. Dobrze było znów rozmawiać z Tobiaszem. Brakowało jej tego.

– Pojadę do Bornego i pokażę Żeni jego zdjęcia – powiedziała – ale zdaje się, że Andriusza i Andrzej Podolski to ta sama osoba. Może uda mi się coś jeszcze z niego wycisnąć.

– Lepiej, żebyś została w biurze. Ja pojadę.

– Zlituj się, nie mogę przez cały czas siedzieć za biurkiem! Poza tym styl Marge Gunderson może podzielać na korzyść dochodzenia i dziwię się, że nikt z was o tym do tej pory nie pomyślał.

– Styl marcz czego, przepraszam?

– Marge Gunderson, to ta ciężarna policjantka z *Fargo*, którą grała McDormand.

– Ach, no tak. *Fargo*. Twoi ukochani bracia Coen.

Agata pomyślała ze smutkiem, że Wiktor nigdy nie podzielał jej miłości do filmów Ethana i Joela.

– Sam pomysł, to jest genialne w swojej prostocie. Ciężarna kobieta wydaje się przecież taka bezbronna, a do tego nikt się nie dziwi, że co chwilę wychodzi do toalety, ma osobliwe zachcianki i zachowuje się ekscentrycznie. To prawdziwy lodołamacz, a do tego zawsze ma okazję rozejrzeć się po chacie.

– Sugerujesz, że nie wykorzystujemy dostatecznie potencjału twojej ciąży w tym śledztwie?

– Coś w tym stylu – mruknęła Agata.

– Być może, ale myślę, że akurat Wiktor się cieszy, że jesteś bezpieczna.

Po raz pierwszy od czasu ślubu padło między nimi głośno wypowiedziane imię jej męża i zapadła niewygodna cisza.

– No dobrze. W takim razie pojedziemy do Bornego razem – rzucił w końcu Tobiasz i się rozłączył.

Agata po raz kolejny poszła do toalety, bo podobnie jak w pierwszym trymestrze czuła wzmożone parcie na pęcherz. Zamyśliła się, mydląc ręce, i dopiero teraz zauważyła kosmetyczkę Wiktora na półce obok umywalki. Wpadł dziś rano po czyste ciuchy, a brudne wrzucił do pralki i w pośpiechu musiał ją zostawić. Była rozpięta i coś błysnęło w środku. Pod szczoteczką do zębów i zużytą w jednej trzeciej butelką perfum Armaniego, których nie знаła, znalazła ślubną obrączkę. Rozpoznała ją bez trudu, nosiła taką samą od prawie czterech miesięcy. Klasyczne żółte złoto, satynowy mat, zaokrąglony profil, a wewnątrz wygrawerowana data ślubu i imię. Na jej obrączce „Wiktor”, na jego „Agata”. Szkoda, że zamiast obrączki nie zostawił tego idiotycznego sygnetu, który z chwilą awansu na kierownika ośrodka pojawił się na małym palcu jego prawej ręki. Wystająca złota głowa lwa miała symbolizować jego znak zodiaku, ale jej od początku kojarzyła się z kołatką do drzwi albo uchwytem szuflady. Wstrzymała oddech. Tym razem kopnięcie było mocniejsze, jakby dziecko też poczuło, że coś jest nie tak.

Przez kilkanaście lat pracy w dochodzeniówce Piotr przyzwyczał się już do wielu dziwnych miejsc spotkań. Zanim zastanowił się, co robi, automatycznie dotknął palcami wody święconej i się przeżegnał. Nie był specjalnie religijny, ale zdawał sobie sprawę, jak silne są nawyki i rytuały zaszczerpione w dzieciństwie. Pomyślał mimowolnie, że Wanda przeżegnałaby się raczej na sam widok kropielnicy i rozsiewanych przez nią zarazków. Niemal uśmiechnął się do tej myśli i otworzył ciężkie drzwi. Na zewnątrz panował słoneczny majowy dzień, ale w grubych murach czternastowiecznego kościoła temperatura wynosiła o dobrych dziesięć stopni mniej, Piotr zapiał więc zamek wiosennej kurtki.

Igor Żuk zapalał właśnie tealighta przy metalowym świeczniku modlitewnym w bocznej nawie kościoła i Piotr mimo wszystko się zdziwił, jakby narodowość mężczyzny miała automatycznie czynić go ateistą czy prawosławnym. Nie interesowały go zresztą przekonania religijne żadnego człowieka, dopóki z imieniem swojego Boga na ustach nie wskakiwał w tłum ludzi w kamizelce samobójcy. Podeszedł do Żuka, który patrzył przed siebie. W lewej ręce trzymał plastikową reklamówkę, przez co wyglądał jeszcze żałośniej. Może się modlił, może kontemplował.

Kościół pod wezwaniem Świętej Trójcy w Czaplinku był o tej porze pusty. Usiedli w ławce w bocznej nawie.

– Zawsze lubiłem tu przychodzić – powiedział Żuk, szeleszcząc torbą. – W tym kościele wzięliśmy ślub, jednostronny, bo Alicja jest katoliczką, i tu ochrzciliśmy Kamila. Jestem ateistą, ale nigdy nie robiłem problemów. Teraz jej nawet zazdroszczę, bo wierzy, że po śmierci zobaczy naszego chłopca.

Piotr skinął głową, jakby to dostatecznie wyjaśniało wybór miejsca spotkania, ale Żuk czuł się w obowiązku dodać:

– Wszędzie za mną chodzą.

– Dziennikarze?

– Sam już nie wiem kto. Chodzą i wyzywają, każą mi spierdalać do mojego kraju. A gdzie niby jest ten mój kraj? Ja już od dawna tam nie pasuję, tu chyba zresztą też nie. – Wzruszył ramionami.

– To ucichnie – powiedział Piotr.

– Może. Ja to jakoś przeżyję, ja to, panie komisarzu, przeżyję już chyba wszystko, niejedno mnie w życiu spotkało, ale Alicja...

Szczęknięły boczne drzwi i przy ołtarzu pojawił się młody ksiądz, a na ich widok kaszlnął, zabrał wazon z kwiatami i zniknął w zakrystii.

– Przez telefon wspomniał pan, że powinienem o czymś wiedzieć – powiedział w końcu Piotr.

– To są te listy. Ale ja nie wiedziałem, że to ona, i musi mi pan uwierzyć, komisarzu.

Mężczyzna nie mógł brzmieć bardziej enigmatycznie. Podał Piotrowi foliową torbę.

– Jakie listy?

– Ja nie miałem pojęcia, że matką Izy Tomczyńskiej jest Jagoda Filipek. Dowiedziałem się dopiero niedawno, gdy zaczęliście pytać o to zdjęcie.

– To, na którym jest pan z małą Izą?

– Właśnie. Ona... Ja nie wiedziałem, że Iza jest moją córką. Kiedy wróciłem do Polski w dziewięćdziesiątym szóstym, Jagoda się wszystkiego wyparła. Była już wtedy mężatką, nie miałem powodu, by jej nie wierzyć.

Piotr obracał w głowie to, co właśnie usłyszał.

– Co jest w tych listach?

– Jagoda pisała je do mnie, gdy była w ciąży. Nie wiem, kto jej dał adres, ale ja ich nigdy nie dostałem. Zresztą niech pan spojrzy. – Zaszleścił ponownie plastikiem i wyjął brudną kopertę z czerwoną pieczętką. Zna pan rosyjski?

– O tyle o ile. *Adriesat nieizwiestien* – podkomisarz odczytał powoli cyrylicę. – Adresat nieznany? – Bardziej domyślił się, niż wiedział, bo większość szkolnego rosyjskiego zdążył już zapomnieć.

– No właśnie. Po powrocie do Leningradu nie mieszkałem już pod tym adresem. Dziwię się nawet, że te listy wróciły do nadawcy.

– To skąd pan je ma?

– Żona znalazła je w pokoju Kamila po jego śmierci. Okazuje się, że miał schowek na trawę w tapczanie. Długo zastanawiała się, czy mi je pokazać. Zrobił dziurę w tapicerce, nie wiem, jak ona to znalazła. Schowek w tapczanie, wyobraża pan to sobie, komisarzu? – Pokręcił głową z niesmakiem, ale Piotr widział, że Żuk wybaczyłby synowi absolutnie wszystko, gdyby tylko mógł cofnąć czas.

Agata mocniej wypięła brzuch, a Żenia zapytał po raz kolejny, czy nie ma ochoty na szklankę gruzińskiej wody mineralnej. Tym razem nie odmówiła, zniknął więc za drzwiami kuchni, w której mignęła jej wcześniej twarz niskiej, ciemnowłosej kobiety. Rozmawiali ze sobą głośno po rosyjsku, szczerkało szkło, a gdy Żenia wrócił do stolika, był mniej spięty, jakby strzelił sobie na zapleczu kieliszek czegoś mocniejszego.

Agata wyjęła z plecaka najbardziej aktualne zdjęcie Podolskiego, jakim dysponowali – to ze ślubu Izy i Jakuba, które zrobił ojciec pisarza. Od tego czasu minęło jedenaście lat, ale liczyła, że mężczyzna wiele się nie zmienił.

Żenia od razu pokiwał głową.

– No pewno, że to Andriusza. On tam w Kłominie na dziko mieszkał, a potem zniknął. Różne chodziły plotki: że dostał spadek, że się zapił, że go ktoś zaciukał. Nic więcej nie wiem. – Rozłożył ręce.

– Do was przychodził?

– Czasem lubił posiedzieć, jak miał za co wódeczki się napić albo jak go ktoś zaprosił.

– Kto konkretnie?

– Turyści. Miał przygotowaną gadkę o Brzeźnicy-Kolonii i jak go ktoś tam w Kłominie spotkał w stanie, że tak powiem, zdatnym, to go tu czasem

przyprowadził. Maszka moja niechętnie na to patrzyła, mówiła, że innych gości odstrasza.

– Agresywny był?

– Andriusza? Gdzie tam, chodziło raczej o... sprawy higieniczne. Nie pachniał zbyt ładnie.

– Brzeźnica-Kolonia to tam, gdzie podobno trzymano te wyrzutnie rakiet? – Tobiaszowi oczy zalśniły.

– Andriusza by pana od razu naprostował, że żadne podobno. Wyrzutnie, głowice, hale magazynowe, rampy, suwnice, a wszystko przykryte siatkami maskującymi, tak że wyglądało z góry jak porośnięte trawą pagórki.

– Słyszałem od kumpla, że nawet piloci samolotów bojowych z Nadarzac nie rozpoznawali, co tam jest. Zasieki z drutu kolczastego pod napięciem, wojsko, psy, wieżyczki snajperskie. Wszystko ściśle tajne.

Żenia uśmiechnął się pod nosem.

– Teraz CIA niby mówi, że wszystko widzieli na swoich zdjęciach satelitarnych, wiecie, tych zrobionych w ramach misji Corona i Hexagon, ale guzik wiedzieli. Choć generał Dubynin jeszcze przed odtajnieniem powiedział, że za wiedzą polskich władz wojskowych i partyjnych latami stacjonowały tam radzieckie rakiety z głowicami nuklearnymi. – Mrugnął do żony, która podeszła właśnie z tacą do ich stolika.

– Słyszałem, że był z niego niezły numer.

– No był. Prawda, Maszeńka? Dubynin?

Masza nie podzielała jego wesołości. Powiedziała coś gniewnie po rosyjsku. Żenia otworzył butelkę gruzińskiej cudownej wody.

– Ona nie lubi rozmów o przeszłości, a już na pewno nie o Dubyninie – wyjaśnił. – Moja Masza żyje chwilą, prawda, Maszeńka? – Pocałował ją w rękę.

– Co tam teraz jest?

– W Brzeźnicy-Kolonii? Wykopy, betonowe konstrukcje z rozkradzionymi drzwiami. Przechowywano tak ładunek, którym można było załatwić kilkaset Hiroszim.

Agata uśmiechnęła się do kobiety, dziękując za wodę, i przesunęła w jej kierunku zdjęcie Podolskiego.

– *Da*, Andriusza. – Pokręciła głową i dodała coś szybko po rosyjsku, przykładając palce wskazujące po obu stronach czoła, jakby udawała kożę.

Agata w milczeniu obserwowała tę pantomimę.

– Maszka moja mówi, że zniknął dwa lata temu, by diabła z serca wyrzucić.

– Co ma na myśli?

– Z nałogiem zerwał. Wyczyścił się, jak to mówią, od środka. Coś mu wreszcie wskoczyło na właściwe miejsce. – Pstryknął palcami nad głową.

– Niech pan zapyta żonę, kiedy go widziała ostatni raz.

Masza doskonale ją zrozumiała i bez tłumaczenia. Pokiwała energicznie głową i tym razem dłużej mówiła po rosyjsku.

– Jakiś rok temu. Dług przyjechał zwrócić.

– Dług?

– Kilka razy nie zapłacił rachunku. Szczerze, to nie sądziłem, że te pieniądze jeszcze zobaczę. Honorowy się jednak okazał, a zaraz potem zniknął już na dobre. Może za granicę wyjechał? Świat teraz taki mały, *ot, takoj*. – Wyciągnął przed siebie otwartą dłoń i pogłaskał obrączkę na palcu serdecznym. – A w środku moja żona, mój błyszczący azymut.

Masza dała mu kuksańca, ale nie potrafiła ukryć uśmiechu, a Agatę aż coś chwyciło za gardło i wypięła swoje bordzomi do dna.

Tobiasz wyważył nogą zabazgraną dyktę i Agata weszła za nim do środka. W gorący majowy dzień smród uryny na poczerniałej od częstych pożarów klatce w jednym z ostatnich bloków w Kłominie był nie do wytrzymania. W mieszkaniu czuła go odrobinę mniej, ale pewnie tylko dlatego, że jej nos zaczął się przyzwyczajać.

– Jeśli kiedykolwiek widziałem trędowaty pokój i konającą łazienkę, to właśnie dziś – odezwał się Tobiasz, zerkając z obrzydzeniem na wyszczerbioną meblościankę pokrytą odchodami gryzoni.

Agata włożyła lateksowe rękawiczki i rozglądała się po zaniedbanym wnętrzu. W kuchni stały puste butelki po wódce i wiadro z zielonkawą mazią, która przypominała wysychające bajoro. W pokoju na stole przykrytym brudną ceratą leżało kilka starych gazet, obok których spoczywała tania walizka popękana na rogach. Agata zajrzała do środka, świecąc latarką, ale znalazła tylko wyschłe na wiór mysie odchody. Już miała ją zamknąć, gdy wyczuła coś w jednej z bocznych kieszeni i przez chwilę mocowała się z przerdzewiałym zamkiem.

Wymacała ręką kawałek tektury.

– Tu coś jest.

– Nie mów, że kasa.

Agata poprawiła lateksową rękawiczkę i wyjęła poźółkłą pocztówkę.

– I pomyśleć, że byliśmy tak blisko. Chyba nie przyszłoby mi do głowy, że ojciec Izy Tomczyńskiej może mieszkać w takich warunkach.

Wanda spojrzała ze smutkiem na starą pocztówkę. Iza Tomczyńska wysłała tacie pozdrowienia z letniego obozu na stary adres w Łubowie. Sądząc po dacie, miała wtedy jedenaście lat. Była jeszcze na tyle dziecinna, by domalować na dole krzywy kwiatek.

– Czyli jednak jakiś kontakt z nim miała. A jak poszło z Igorem Żukiem?

– Mówisz o naszej randce w kościele? Czułem się jak tajniak, brakowało nam tylko trenczy, a zamiast walizki była reklamówka z Biedronki. Ale nie narzekam, bo dostałem od niego prezent. – Podał jej plik żółtawych kopert w folii na dowody rzeczowe. – Falski miał to już na biurku i sprawdził odciski palców. Należą do Kamila Żuka i jego rodziców, ale też do Jakuba Tomczyńskiego. Myślę, że to ciekawe.

Wanda spojrzała na wyblakłe pieczętki radzieckiego urzędu pocztowego, sprawdziła nadawcę i adresata.

– Czyli jednak Igor Żuk nie był zwykłym znajomym Jagody Filipek?

– Oj nie. Z najbardziej skamieniałego serca te listy wycisnęłyby łzę.

– Mieli romans?

– Oj tak.

– A ty co, bierzesz udział w festiwalu piosenki ludowej?

Dereń uśmiechnął się szeroko.

– Oj nie, nie, oj tak, tak. Okazuje się, że Iza Tomczyńska jest biologiczną córką Igora Żuka, który dowiedział się o tym dopiero przed kilkoma dniami.

– Nie czytał wcześniej tych listów?

– Nie miał pojęcia o ich istnieniu. Jego żona znalazła je w tajnym schowku Kamila, ale, i to jest bardzo ciekawe, są tam również odciski palców Tomczyńskiego. Zastanawiam się, czy Kamil dostał te listy właśnie od niego.

– Myślisz, że chłopak się dowiedział, że Iza jest jego przyrodnią siostrą i stąd jego desperacki krok?

– Być może. Ale to nadal nie wyjaśnia, kto zabił Tomczyńskiego.

– Cóż, jeśli pisarz znał zawartość listów, przychodzą mi do głowy co najmniej dwie osoby, które nie chciały, by prawda wyszła na jaw.

– Jagoda Filipek i sama Tomczyńska?

– No właśnie – mruknęła Wanda. – Coraz bardziej mi się wydaje, że moja koleżanka Renata miała rację. To nie Tomczyńska chciała rozwodu, a już na pewno nie wtedy, gdy na horyzoncie pojawił się deal ze stacją HBO. Mam nadzieję, że jest pod obserwacją.

– Oczywiście, ale nie robi w tym Szczecinie nic ciekawego. Siedzi u matki i odwiedza dawne koleżanki ze studiów.

Wanda wyjęła z jednej z kopert kilka wymiętych kartek w kratkę zapisanych drobnym pismem.

– Skąd się te listy w ogóle wzięły?

– Sądząc po stemplach, odbiły się od leningradzkiego adresu i wróciły do Polski na adres Filipek w Łubowie. Mógł je odebrać jej ojciec lub

Andrzej Podolski.

– Wracamy zatem do Andrzeja Podolskiego, który dawno temu dostał pocztówkę od Izy Tomczyńskiej. Pytałeś o niego Żuka?

– Podobno nie miał z nim żadnych kontaktów i ta wersja wydaje mi się prawdopodobna. W czasie, gdy Podolski ożenił się z Filipek i zamieszkał w Łubowie, Żuk był już z powrotem w Leningradzie. Wojsko nie pytało go o zdanie. To był bilet w jedną stronę. Nazad.

– Wie, dlaczego go odesłali?

– Dowiedział się dopiero niedawno, gdy odtajнили jego dokumenty. Chodziło właśnie o nią.

– O Jagodę Filipek?

Piotr pokiwał głową.

– Jak na ich gust, za bardzo pokochał Polaków, a przede wszystkim Filipek. Sprawdzili ją bardzo dokładnie i nie spodobał im się jej ojciec, jego pogmatwana wojenna przeszłość. Był znany w gminie z antyradzieckich sympatii i uznano, że kontakty Żuka z Filipek mogłyby zaszkodzić armii. Rzecz jasna wiedzieli od początku o ich romansie.

Wanda skinęła głową.

– A jak idą poszukiwania Podolskiego?

– Agata mocno się w nie zaangażowała i postanowiła sprawdzić prywatne ośrodki terapeutyczne i kliniki oferujące zamknięte leczenie odwykowe. Żenia Rublow potwierdził, że dwa lata temu facet nagle zniknął z Kłomina, a po roku pojawił się w restauracji, by oddać pieniądze. Jego żona mówi, że był jakby innym człowiekiem, który wypędził diabła.

– Diabła, powiadasz? – Wanda zmrużyła oczy. – Tak czy owak to dobry trop. Prywatne kliniki niechętnie dzielą się danymi pacjentów, więc niech da mi znać, jeśli będzie czegoś potrzebowała. Jedziesz do Szczecina?

– Jutro. Najwyższy czas pogadać z Jagodą Filipek o tych listach. Przesłać ci skany?

Wanda pokiwała głową i potarła skronie. Dziś po raz pierwszy, odkąd Marta Grzelak zgłosiła znalezienie ciała pisarza, poczuła się naprawdę zmęczona. Ostatnie tygodnie przypominały kalejdoskop, a morderca nadal przebywał na wolności. W lokalnych gazetach pojawiły się w minionych dniach prześmiewcze artykuły, że może powinni skorzystać z pomocy wróżki. Nikt nie wywołał jej siostry po imieniu, ale i nie musiał – sława tarocistki Natalii zaczęła po ostatniej głośnej sprawie sięgać daleko poza granice regionu. Byli nawet tacy, którzy uważali ją za kolejne wcielenie ściętej i spalonej w siedemnastym wieku na stosie Sydonii von Borck.

Wanda otworzyła plik, nad którym pracowała przed przyjściem Piotra. Zastanawiała się, jak ładnie ubrać w słowa komunikat dla przedstawicieli mediów. Na razie miała tylko: „Odpierdolta się od naszego śledztwa i od nas”. Skasowała i zaczęła od nowa.

Gdy się z tym wreszcie uporała, sprawdziła pocztę i ze zdziwieniem znalazła w niej maila od kapitana Świdra, który w ten niecodzienny sposób zapraszał ją na kawę. zaproponował spotkanie w Ptysiu, ale wymówiła się liczbą obowiązków i zaproponowała swoje biuro. Czy on nie zdawał sobie sprawy z medialnego oblężenia miasta? Był aż tak naiwny czy wręcz przeciwnie? Niedługo później wreszcie zamknęła za sobą drzwi i pojechała postrzelać.

Piotr był poirytowany. Wypił za dużo kawy na spotkaniu z Marzeną, a gdy tylko wyszedł z jej biura, przyssał się do e-papierosa, do którego już wczoraj wieczorem załadował najmocniejszy wkład. Od czasu znalezienia ciała Kamila Żuka media zaczęły w nich walić ze zdwojoną siłą i choć codziennie dochodziło do przetasowania newsów jak na giełdzie, te dotyczące morderstwa Pana Toma nadal „zwyżkowały”. Nikomu się to nie podobało i Marzena Wąs, zastępczyni komendanta wojewódzkiego policji w Szczecinie, nie była wyjątkiem. Ale jeszcze bardziej nie podobało jej się to, że nowy naczelnik wydziału z Drawska Pomorskiego zasypuje ją niezamówionymi raportami. Przyznała, że w ostatnich dniach zaczęły przypominać uprzejme donosy.

Zażywna brunetka obcięta na jeża, którą podkomisarz znał od mniej więcej dziesięciu lat, powiedziała, że da sobie radę z tym, „do twojej prywatnej, Piotruś, wiadomości”, gogusiem, ale znała już takich nadgorliwców i jego raportowa mania mogła im zwyczajnie zaszkodzić. Poprosiła, by zdradzał Świdrowi jak najmniej szczegółów operacyjnych, a ona postara się go unieszkodliwić. Wymagało to niestety delikatności i czasu, by nie zwietrzył zasadzki i nie zapragnął czyjejś krwi. „Do twojej prywatnej, Piotruś, wiadomości, to w zasadzie nie będzie czyjaś krew. To będzie twoja krew”. Gdy jednak poruszył kwestię Tobiasza, Marzena rozłożyła ręce. Sprawne działania dochodzeniówki zależały dziś w dużej

mierze od informatyki śledczej i choć rozumiała, że ten chłopak to dla ich regionu prawdziwy skarb, uprzedziła, że nie zdoła zablokować jego przejścia do Szczecina, jeśli taka będzie jego wola.

Do tego przyszła kolejna wiadomość od Joanny. Tym razem była długa i Piotr czuł się głupio, kwitując ją uśmiechniętą buźką, ale nie chciał pisać podobnych elaboratów. Zastanawiał się, czy to już kwestia innego pokolenia. Joanna była młodsza o osiem lat, niby nie tak dużo, a jednak pisała esemesy z szybkością karabinu, była mistrzynią gifów i emotikonek, ale gdy widzieli się twarzą w twarz, a alkohol nie lał się strumieniami, zapadała w melancholijne milczenie. Nie potrafili wyjść poza początkowe uprzejmości. Czuł narastające zniechęcenie Joanny, która pomimo pierwotnych deklaracji nie rozumiała charakteru jego pracy. Napisała, że rzuca się w wir zadań, bo tak naprawdę boi się uczuć. Poczul się poddany jakiejś skrótowej, esemesowej psychoanalizie i głęboko westchnął.

Zaraz po spotkaniu z Marzeną pojechał do Jagody Filipek i teraz siedział przy ławie na wysoki połysk, próbując sobie wyobrazić, jak ta drobna kobieta wbija osikowy kołek w serce swojego zięcia. Być może szłoby mu lepiej, gdyby nie obezwładniający hałas. Jej niewielkie mieszkanie znajdowało się niedaleko ronda Giedroycia i do okien na drugim piętrze docierała kakofonia klaksonów i tramwajowych dzwonek. Filipek była przyzwyczajona, ale on nie słyszał własnych myśli, tylko nieustanne brzęczenie miasta połączonego siecią ulic i torów w jeden wielki organizm, który nigdy nie śpi. Kobieta chyba dostrzegła grymas na jego twarzy, bo podniosła się i zamknęła okno. Dźwięki z zewnątrz nadal docierały, ale przytłumione, jakby Szczecin znalazł się nagle pod wodą. Jej czarne włosy przetkane siwizną, które jeszcze niedawno sięgały ramion, były teraz krótko obcięte, nierówno, jakby ciachnęła je sama. Nowa fryzura postarzyła ją o dobrych dziesięć lat.

– Gdzie jest pani córka?

Musiał zapytać *pro forma*, bo odkąd Tomczyńska wyjechała do Szczecina, mieli ją na oku.

– Proszę się nie martwić, komisarzu. Nie zniknęła. Odpoczywa od natarczywych dziennikarzy i motłochu paćkającego sprayem jej płot. Chyba pana nie zdziwię, jeśli powiem, że z panem też niekoniecznie chciała się dziś spotkać. Pojechała odwiedzić koleżankę ze studiów. Mam panu podać imię i nazwisko, adres tej dziewczyny? – spytała z udawaną troską.

Piotr machnął ręką. Nie miał zamiaru dać się sprowokować, a postawa Filipek była mu tak naprawdę na rękę. Mógł z nią porozmawiać na komendzie w Szczecinie czy wezwać ją do Drawska Pomorskiego, ale uznał, że ten etap mają już za sobą. Pomyślał, że więcej z niej dziś wyciągnie na jej gruncie, gdzie czuje się bezpieczna.

– Zamordowano pani zięcia, nie żyje młody chłopak...

– To był nieszczęśliwy wypadek – przerwała mu Filipek.

– Śledztwo w sprawie śmierci Kamila Żuka nadal trwa. – Spojrzał na nią chłodno. – Nie spieszyłbym się więc z podsumowaniami. Pojawiły się jednak nowe dowody w sprawie i najwyższa pora, by przestała pani zatajać prawdę. No więc? Co panią łączyło z Igorem Żukiem?

– Mówiłam już. To dawny znajomy, nic więcej. Był tłumaczem w jednostce w Bornem Sulinowie, a ja jeździłam tam czasem na małe zakupy. Ojciec mnie chętnie posyłał, choć ruskich nienawdził. U nas nie można było dostać. Pan jest młody, z pewnością nie pamięta pan czasów, gdy w sklepach królował ocet, a ekspedientki rządziły ochłapami jak królowe życia i śmierci.

Piotr spojrział na sztalugi z niedokończonym obrazem anioła na tle kosmicznego krajobrazu. Nie była to dobra praca, anioł miał zaburzone

proporcje, a jednak coś w nim przykuło jego uwagę. Nie chcąc przeciągać rozmowy jak jakiś tani efekciarz, podkomisarz wyjął z torby plik kopert.

– Takich listów nie pisze się do zwykłego znajomego – powiedział, a Filipek wzięła do ręki jeden z nich i przyłożyła do oczu jak krótkowidz.

Pokiwała głową.

– Ale to wszystko nie ma żadnego związku z morderstwem mojego zięcia czy śmiercią tego biednego chłopca.

– Pani córka miała romans ze swoim przyrodnim bratem. Wiedział o tym jej zamordowany mąż i być może ten chłopak. Naprawdę będzie się pani przy tym upierać?

Filipek zwiesiła ręce wzdłuż tułowia, a w przedłużającej się ciszy Piotr usłyszał kroki na klatce schodowej. Ktoś zbiegał po stopniach, jakby bardzo mu się spieszyło.

– Wie pan, że oni ją teraz już całkiem zjedzą. Niech mi pan obieca, komisarzu, że to nie wypłynie. Nikt się nie może dowiedzieć.

Piotr pokręcił głową.

– Przykro mi, ale to tak nie działa.

Filipek wytarła mokre oczy.

– Nie mogłam z wami o tym rozmawiać – powiedziała wreszcie. – O wszystkim dowiedziałyby się Iza, a ona przez całe życie miała tylko jednego ojca. Nikt nie wiedział. Igorowi też się nie przyznałam. Po co. Gdy przyjechał, powiedziałam, że to córka Podolskiego. Listów podobno nigdy nie dostał, więc pomyślałam, że albo je cenzura zatrzymała, albo mi wartownik podał fałszywy adres, żeby ze mnie pieniądze wyciągnąć i złoto. Oni wiedzieli, że niedługo będą wracać do siebie, i grunt im się palił pod nogami.

Zatrzymała niecierpliwe spojrzenie na pieczęciach.

– A więc wróciły. Wszystkie wróciły pod mój adres, czyli kto to czytał? Podolski? Mój ojciec? A zresztą, jakie to ma znaczenie po tylu latach? Wie pan, ilu mężczyzn wychowuje cudze dzieci? Ile dzieci nie ma pojęcia, kto tak naprawdę jest ich biologicznym ojcem? Według najnowszych badań dwadzieścia procent. Nawet co piąte dziecko może być wychowywane przez mężczyznę, który nie jest jego ojcem, a kobiety często nie informują o ciąży biologicznego ojca dziecka. Wolą je wychowywać same lub z obecnym partnerem.

Piotr spojrział na nią z ukosa. Dobrze, że nie dodała niczego w stylu: „Nawet pan, komisarzu, mógł spłodzić dzieci, o których nie ma pan pojęcia”, bo nie byłoby to prawdą. Poza Anką nie miał innych kobiet. Nie musiał też robić testów na ojcostwo, bo Paweł odziedziczył jego wielki nochal, a Lena charakterystyczny kształt uszu.

– Gdy po dziesięciu latach milczenia Igor wrócił do Polski, byłam jeszcze żoną Podolskiego. Jak ja się z tym pijakiem męczyłam... – Podniosła oczy ku sufitowi. – Ale Żuka też już nie chciałam. Żadnego nie chciałam.

Rozejrzała się po mieszkaniu z dumą kobiety, która nie dorobiła się może pałacu, ale od dawna jest niezależna. Wzrok Piotra powędrował ponownie do obrazu rozpiętego na sztalugach. Dopiero teraz podkomisarz dostrzegł, że krajobraz nie jest kosmiczny, tylko wiejski, ale ponieważ Filipek używała wyłącznie niebieskich odcieni, nieproporcjonalny anioł wędrował po księżycowej wsi.

– Żuk później pani nie szukał?

Pokręciła głową.

– Byłam przekonana, że wrócił do Rosji. Nigdy bym nie pomyślała, że zamieszka w Czaplunku, ożeni się i będzie miał kolejne dziecko. Nic nie

wiedziałam, dopóki to nazwisko nie padło podczas śledztwa, zresztą nawet wtedy stwierdziłam, że to przypadkowa zbieżność.

– Powiedziała pani, że nie kontaktowała się z byłym mężem.

– Bo to prawda. Ostatni raz go widziałam na ślubie Izy. Przyjechał do Szczecina, nie wiem, kto mu w ogóle powiedział.

– Może Iza?

Piotr pokazał jej widokówkę, która zaskoczyła ją jeszcze bardziej niż stare listy. Potrząsnęła głową.

– Nie mówiła mi nigdy, że za nim tęskni. – Dotknęła rozmazanego kwiatka.

Piotr spojrział na plamę słońca na błyszczącej komodzie. O takich mieszkaniach agenci nieruchomości mówili, że są „z okresu transformacji”, ale lokum Jagody Filipek to było coś więcej. Czuł się tu jak w skansenie peerelu.

Filipek podążyła za jego wzrokiem.

– Kupiłam to mieszkanie z meblami i trzymałam tak długo, że znowu stały się modne. Zresztą wie pan, co mówią o modzie. Jest dla dzieciaków, których charakter i styl dopiero się kształtuje, i dla dorosłych pozbawionych jednego i drugiego. To było mieszkanie starej samotnej kobiety, choć teraz, gdy o tym myślę, nie była wcale stara. Miała mniej lat niż ja teraz. Gdy podpisywałyśmy umowę, siedziała o tu, gdzie pan, w długiej włóczkowej kamizeli, z trwałą na rzadkich włosach. Myślałam: zastrzelcie mnie, zanim skończę tak samo.

– Mam jeszcze jedno pytanie. Czy gdy mieszkała pani w Łubowie z córką i byłym mężem, mieliście psa?

– Psa? Nie. Podolski wolał innego rodzaju szczeniaczki – zaakcentowała ostatnie słowo. – To z nimi wychodził na spacer.

Piotr wracał już do Drawska, gdy dostał kolejnego długiego esemesa od Joanny. Tym razem zastanawiała się, dlaczego na wszelkie pytania o byłą żonę odpowiada: „Nie pamiętam”. Przescrollował tekst do ostatniego akapitu, w którym zarzuciła mu problemy z intymnością, i zaproponowała, by dali sobie trochę czasu. Dodała emotikonkę w postaci smutnej buźki i jednoroźca. Nie był pewien, ale zdaje się, że dostał tekstowego kosza. Po kilku minutach dopisała, że jednorożec wkleił się przez przypadek.

Wybrał jej numer, by zaproponować spotkanie, bo mimo wszystko nie chciał być gościem, z którym kończy się znajomość wiadomością tekstową, ale nie odebrała. Dostał jeszcze jeden dopisek, że prosi, by uszanował jej decyzję.

Chwilę potem zadzwoniła Wanda i powiedziała dziwnym głosem, by w drodze powrotnej wpadł do jej biura. Było późne popołudnie i budynek prokuratury opustoszał, ale drzwi do jej gabinetu Piotr zastał uchylone. Musiała wyjść przed chwilą, bo komputer na jej biurku był włączony, a w kubku obok parowała świeżo zaparzona kawa. Na stoliku pod ścianą leżała czarna torba, jak zwykle zbyt pękata, by można ją było nazwać elegancką, i teczka na dokumenty, z której prokurator wyjęła pojedynczy wydruk.

Piotr usiadł na krześle „dla petentów” i mimowolnie skierował wzrok na stolik z dokumentami. Pomyślał, że Wanda nie powinna ich tak zostawiać, biorąc pod uwagę skłonności Janusza Grada, jej zastępcy. Grad miał romans z dziennikarką „Pulsu Pojezierza Drawskiego” i odpowiadał w przeszłości za niejedną przeciek do prasy. Bardzo rzadko było im to na rękę.

Usiadł bokiem i przeczytał tekst na kartce, która leżała na wierzchu: „Moja ocena współpracy prokuratury z policją. Dokonując oceny, brałam pod uwagę takie kwestie jak systematyczność i plan działania policji, tempo prowadzonych czynności, dotrzymywanie terminów, kompletność i jakość

materiału dowodowego, kompletność protokołów przesłuchań, rzetelność uzasadnień podejmowanych decyzji, postanowienia o powołaniu biegłych, zaległości w dokumentacji, a także napięcia wśród zespołu. Moja ocena współpracy z osobą kierującą jednostką dochodzeniowo-śledczą. Dokonując oceny...”. Nie zdążył przeczytać więcej, bo Wanda weszła do gabinetu. Próbował jej streścić rozmowę z Filipek, ale jej spojrzenie pozostawało dziwnie nieobecne.

– Jest gnój – powiedziała w końcu i podniosła do ust kubek z kawą. Nie piła. Obejmowała go tylko dłońmi, jakby chciała się ogrzać.

– Jakiego rodzaju?

– Najbardziej śmierdzącego. Godzinę temu zgłosił się do mojego biura ojciec uczestniczki jednej z imprez urządzanych w Perle Pojezierza Drawskiego. Twierdzi, że po dyskotecie w budynku głównym Andżelika, jego córka, została zgwałcona w domku letniskowym. Opisała napastnika bardzo dokładnie, łącznie z sygnetem z głową lwa.

Piotr ciężko westchnął.

– Najwyraźniej Tobiaszowi nie udało się przemówić mu do rozumu. Kurwa.

– Bardzo kurwa. Kurwa do potęgi entej. Piotr, ta dziewczyna ma czternaście lat.

Piotr zdążył się przyzwyczaić do regularnych ćwiczeń na siłowni, którą sprezentował im na odchodnym komisarz Iwanowski, ale powiedzieć, że chodził tam z dziką ochotą, byłoby sporym nadużyciem. Między sobą nazywali ten w gruncie rzeczy większy pokój Skarpetą, bo system wentylacji był niesprawny, a okienko małe, suterenowe i tylko jedno. Obok salki do ćwiczeń wciśnięto ślepe pomieszczenie z trzema kabinami prysznicowymi, za którym Iwanowski chciał jeszcze wygospodarować saunę, ale kobiety pracujące na komendzie od razu zapowiedziały, że nie zgadzają się na damsko-męską, a na dwie oddzielne nie było miejsca.

Siłownia była swoistym pomnikiem byłego naczelnika. Stały tam atlas, który wyglądał na zaprojektowany na wzór średniowiecznych narzędzi tortur, ławeczka pod sztangę, bieżnia, rowerek i klatka przypominająca wyposażenie klubów sado-maso, która służyła do wyciskania i podciągania. Tej właśnie klatki Piotr nie lubił najbardziej, ale dziś miał w głowie gębę Wiktora niedostatecznie obitą przez Tobiasza i dokument, na który nieopatrznie rzucił okiem podczas wczorajszej wizyty u Wandy. Czuł, że bez trudu przespaceruje się rękoma po wszystkich drążkach.

– Szefie – rzuciła smętnie Agata.

Jej się tu nie spodziewał. Po pierwsze, w swoim stanie nie powinna się żyłować na tych przedpotopowych maszynach. Choć gdyby nie ciąża,

pewnie nie dałoby się jej stąd wygonić. Piotr nie miał wątpliwości, że jeśli Agata nie podjęłaby pracy w policji, zostałaby instruktorką fitnessu. To był ten typ, który stoi, zamiast siedzieć, i biegnie, zamiast chodzić.

Po drugie natomiast, choć wszyscy jej to odradzali, pojechała do Perły Pojezierza Drawskiego, by zobaczyć, jak aresztują jej męża. Wiktor Sawicki upierał się, że to nie był żaden gwałt, tylko seks za obopólną zgodą, a dziewczyna od samego początku utrzymywała, że jest pełnoletnia.

Teraz Agata siedziała nieruchomo na rowerku, a granatowy ręcznik przewiesiła przez rączkę kierownicy. Nawet nie włączyła maszyny. Głowę odwróciła w stronę okna, za którym zapadał już zmierzch, i Piotr widział tylko lewą stronę jej twarzy, w tym odsłonięte ucho z małym złotym kolczykiem w kształcie serca. Milczała, co nie zdarzało się często.

– Możesz nadal ćwiczyć? – zapytał z głupia frant.

– Ma szef na myśli dziecko? – Agata dotknęła ręką brzucha, ale nie patrzyła na Piotra, a jej głos był przytłumiony, jakby dobiegał z tunelu. – Oczywiście. Nie na każdym sprzęcie i z mniejszą intensywnością, ale w przypadku ciężarnych trening jest wręcz wskazany. Konsultowałam to ze swoim ginekologiem.

Po policzku spłynęła jej łza i Agata otarła ją wierzchem ręki. Na komisariacie w Czaplunku mówili o niej Dołkowa, ze względu na dołeczki w policzkach, i choć Agata żartowała, że ta ksywa pasuje do niej tak jak Gucio do Marka Gucińskiego, znanego w rejonie zakapiora, Piotr wiedział, że ta jej twardość to pozory. Nie trzeba psychologa – wystarczy sprzedawca z warzywniaka, by potwierdzić, że im coś jest bardziej miękkie i delikatne w środku, tym grubszą otacza się skórka.

Agata siedziała na rowerku w kompletnym bezruchu, kontemplując blask latarni ulicznej.

– Powinłam się była domyślić – odezwała się wreszcie. – Jestem policjantką. W dochodzeniówce!

Piotr usiadł na ławeczce do wyciskania i zdjął z niej sztangę.

– To tak nie działa. To, co tu robimy, a nasze rodziny to... O tym, że żona mnie zdradza, dowiedziałem się jako ostatni. Na pewno o tym słyszałaś.

Agata przeniosła na niego zgaszone spojrzenie. Nie był pewien, czy dotarło do niej, co właśnie powiedział.

– Kilka dni temu zostawił w domu swoją kosmetyczkę i znalazłam tam jego obrączkę.

– To przecież o niczym nie świadczy. Mnóstwo ludzi zdejmuje obrączkę i ma ku temu świetne powody – powiedział bez przekonania. – Może go obcierała albo chciał ją oddać do zmniejszenia.

– Może. Ale wczoraj wyjątkowo nocował w domu i przez pomyłkę zabrałam jego smartwatch. Nosimy identyczne, w czarnych opaskach, zrobiliśmy sobie taki prezent na zeszłoroczną gwiazdkę. – Uniosła nadgarstek. – Normalnie bym tego nie zrobiła, bo nie zdejmuję swojego na noc. Wiktor owszem, często narzekał, że pasek go uwiera, ale ja lubię mierzyć jakość snu, czas spania, tętno, stopień regeneracji organizmu.

– Chybabym zwariował.

– No właśnie. Ma szef trochę racji. Ostatnio gorzej sypiam i stwierdziłam, że to może przez ten zegarek. Jakbym przez cały czas była z siebie niezadowolona, nawet z wyników swojego snu. Zdjęłam go na noc i zostawiłam w łazience. Mówiłam już chyba, że Wiktor spędził tę noc w domu. To się ostatnio rzadko zdarzało, bo ma mnóstwo roboty w związku z rozbudową ośrodka. W każdym razie rano, gdy wzięłam prysznic, włożyłam przez pomyłkę jego smartwatch.

Piotr pokiwał głową. Zdaje się, że wiedział już, dokąd zmierza ta historia.

– Poszłam na szybki spacer i prawie dotarłam do parku Chopina, gdy usłyszałam dwa piknięcia. Jednocześnie przyszedł wiadomość i powiadomienie, że mój czas spadł poniżej normy. Zdziwiłam się nawet, bo tempo miałam takie jak zwykle. Żadna rewelacja, ale też się nie czołgałam. Wiadomość była od jakiejś kobiety. On ma takie ustawienia, że nie mogłam odpisać, ale treść wiadomości mi się wyświetliła. Kobieta dziękowała za upojną noc i prosiła o więcej. Załączyła zdjęcie, całkiem nagie, nie licząc kota udrapowanego na piersiach.

– Kota? – zdziwił się Piotr. – Na piersiach?

– Kota – przytaknęła dziewczyna. – Niektóre kobiety mają taką fantazję.

Piotr wiedział doskonale, co Agata czuje, nawet jeśli trzy lata temu los oszczędził mu oglądania fotek gołego dyrektora banku z futrzakiem. Zapytał ostrożnie:

– Ta kobieta na zdjęciu... to nie była przypadkiem ta czternastolatka?

– Myśli pan, że czternastki wysyłają w świat tego typu zdjęcia? Być może. Ale nie. Ta była zdecydowanie pełnoletnia. Miałam z nim porozmawiać i pozwolić sobie nałgać, że to jakaś głupia pomyłka, wybrany zły numer, ale nie zdążyłam. – Agata zeszła z rowerka. – Tobiasz wiedział, co się tam wyprawia, prawda?

– Nie tyle Tobiasz, ile Szymon i ekipa z Czaplinka. Starali się mieć temat na oku, a Tobiasz miał nadzieję, że nie trzeba cię będzie martwić.

Piotr przytulił ją do siebie niezgrabnie.

– Może powinnaś wziąć kilka dni wolnego?

– Wolałabym nie. Ostatnio mi się poszczęściło i trafiłam wreszcie na trop prywatnej kliniki odwykowej w Gąskach nad morzem. To tam spędził

w sumie rok Andrzej Podolski. Mam nadzieję, że recepcjonistka nie straci pracy przez swoje gadulstwo. Chciałabym to sprawdzić.

– Pojadę z tobą. – Wanda stanęła w drzwiach siłowni. – Chętnie się przewietrzę, poza tym dawno nie byłam nad Bałtykiem.

Była dziś ubrana jak uczennica pierwszego dnia szkoły: w ciemną spódnicę, białą bluzkę, buty na niewielkim obcasie. Czyżby miała za sobą kolejne spotkanie ze Świdrem? Piotr słyszał rano od dyżurnego, że widziała się z nim wczoraj, i z rosnącą niechęcią myślał o ocenie współpracy między prokuraturą a policją, a także o tajemniczych raportach Świdra, o których wspomniała mu Marzena Wąs. Czyżby Świder planował wsadzić kogoś na jego miejsce, a Wanda pomagała mu przygotować grunt?

– Powiedzieli mi, że cię tu znajdę – rzuciła, gdy Agata poszła niechętnie na górę i zostali sami.

Pogłaskała palcami sztangę, na której odbijało się światło lampy, i spróbowała ją podnieść. Obciążony drążek nawet nie drgnął. Otarła palce o spódnicę i spróbowała jeszcze raz, a Piotr wskoczył na bieżnię i powoli podkręcał tempo. Za oknem było już całkiem ciemno.

– Mam nadzieję, że Agata nie brała dziś czynnego udziału w aresztowaniu swojego męża? To wbrew zasadom.

Wzruszył ramionami i ustawił kąt nachylenia bieżni. Przeszedł w bieg.

– A kto pyta? Ty czy komisarz Świder? Zrobiliście sobie wczoraj rewizję zasad?

– Skąd wiesz, że widziałam się z nim wczoraj?

Piotr zwiększył tempo, ale o dziwo, jeszcze nie dyszał.

– Tu wszystko wszyscy wiedzą wbrew wszelkim zasadom. Możesz to sobie dopisać do swojej oceny współpracy z osobą nadzorującą działania jednostki dochodzeniowo-śledczej.

Wyłączył bieżnię, zdjął spoconą koszulkę i cisnął nią ze złością na podłogę, a potem otworzył drzwi do kabin prysznicowych. Słyszał za plecami kroki Wandy i myślał już, że wejdzie za nim, ale powstrzymał ją rysunek na drzwiach. Bardzo dobrze. Szczerze mówiąc, chciał, żeby sobie poszła, bo w tej chwili nie był przekonany, że grają do tej samej bramki. Ona jednak nadal tam była, słyszał za drzwiami stukot jej obcasów. Zrzucił spodenki i wszedł do kabiny.

– O czym ty mówisz? O jakiej ocenie? – dobiegł go jej niski głos.

Inaczej niż u innych kobiet, które znał, głos Wandy, gdy była zdenerwowana, obniżał się o dodatkowe pół tonu.

– O ocenie tempa śledztwa, materiałów dowodowych, napięć w zespole... Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię.

Usłyszał, jak wzdycha.

– Owszem, Świder wcisnął mi wczoraj coś takiego. Powiedział, że zgłosił wasz wydział do programu pilotażowego, ankieta jest anonimowa, a jej wyniki pojedą do Warszawy. Myślałam, że o tym wiesz. Zresztą sama bym ci powiedziała, gdybym uznała to za coś ważnego. Ankieter się, kurde, znalazł.

Powiedziała coś jeszcze, ale jej głos rozplynał się w szumie wody. Piotr skierował gorący strumień na twarz, klatkę piersiową i brzuch i w ciągu kilku sekund otoczyły go kłęby pary. Namydlił się i zaklął, bo zdał sobie właśnie sprawę, że na drążku w siłowni została jego torba z ciuchami na zmianę i ręcznikiem. Zakręcił kurek.

– Jesteś tam jeszcze?

– Jestem – mruknęła.

– Mogłabyś mi przynieść ręcznik? Proszę. Na drążku w siłowni wisi torba. Po prostu wrzuc ją do środka, drzwi są otwarte.

Kroki na korytarzu się oddaliły, ale Wanda długo nie wracała i pomyślał, że sobie poszła. Na jej miejscu pewnie by tak zrobił. Odkręcił wodę i zmył z siebie mydliny, zdecydowany po prostu wymaszerować spod prysznic.

– Jak mogłeś pomyśleć, że to mój pomysł? Czy ty w ogóle mnie nie znasz? W dupie mam Świdra i jego ankiety.

Przez zaporowaną mleczną szybę kabiny dostrzegł jej twarz i całą resztę. Była naprawdę blisko, dzieliła ich tylko ta ścianka z tworzywa, i ze zdziwieniem zarejestrował fakt, że ma potężną erekcję. Wanda otworzyła drzwi kabiny i wrzuciła do środka jego ręcznik, który szybko nasiąknął wodą i napęczniał.

– Hej, tak się nie robi – wychrypiał Piotr i pociągnął ją ku sobie.

Zanim przestali się całować, Wanda była już całkiem mokra, a gdy pospiesznie zdzierał z niej ubrania, włosy przyłgnęły jej do twarzy i pleców, mokre i śliskie. Przycisnął ją do drzwi kabiny i czuł, jak kąsa go ustami, szepcząc słowa, które ginęły w szumie wody. Złapał jej dłonie jedną ręką i unieruchomił nad jej głową. Przez chwilę tylko na nią patrzył. Pachniała mocno sobą i seksem, i ten zapach parował wokół niej. Chryste, jak on jej pragnął. Poczul, jak się wyslizguje, uległa już i miękka w jego ramionach, i spostrzegł, że jej tęczywki gubią chłodny błękit. Spijał wodę z jej piersi i brzucha, słuchał cichych jęków.

To nie był rekreacyjny wypad nad morze, o czym przypominał im ulewny deszcz uciekający spod wycieraczek citroëna. Maj zbliżał się ku końcowi i kasztanowce w parku Chopina, który właśnie mijały, gubiły na wietrze ostatnie kwiaty. Wanda próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz była na bałtyckiej plaży, i doszła do wniosku, że zbyt dawno, by to pamiętać. Na pewno nie z Adamem, który wołał zagraniczne kurorty, bo polska zaściankowość działała mu na nerwy. Obcej zaściankowości nie rozumiał i w związku z tym uważał ją za uroczą egzotykę. Cóż, przynajmniej nie zepsuł jej polskiego morza tak jak Poznania, który nadal budził w niej złe skojarzenia, choć od rozvodu minęło kilka lat.

Starła się skupić na spotkaniu czekającym ją i Agatę, ale myśli uciekały jej nadal do wczorajszego wieczoru. Całe szczęście siłownia znajdowała się na tyłach komendy i nikt nie zauważył, jak przemykała chyłkiem do samochodu w dziwnie skompletowanej garderobie. Wróciła do domu w treningowych krótkich spodenkach Piotra na gumce i w jego koszuli z podwiniętymi rękawami. Gdy spojrzała na siebie w lusterku wstecznym, zobaczyła mokre włosy przyklejone do czoła i rozognioną twarz bez makijażu, który zmyły strugi wody i pocałunki. Minęło wiele lat, odkąd ktoś całował ją tak zachłannie. Ale gdy tylko się wysuszyła i ubrała, wyskoczyła z siłowni jak oparzona, nie dając Piotrowi dojść do głosu. Jakby przeraźliwie się bała nie tego, co powie, ale co przemilczy. Dzwonił

do niej, zanim dotarła do domu, jednak nie odebrała. Chyba po prostu spanikowała.

Spojrzała na Agatę, która w milczeniu kontemlowała widok za oknem. Miała na sobie ciemną jak burzowe chmury ciężową sukienkę i sportową kurtkę, która wybrzuszała się pod pasem bezpieczeństwa.

– Wiktorowi grozi do piętnastu lat więzienia – powiedziała wreszcie, odrywając wzrok od mokrej szyby. – Tobiasz mówi, że ta dziewczynka ma dziś zostać poddana badaniom lekarza i psychologa. Później on zacznie przesłuchiwać ludzi z Perły. Co ze mną jest nie tak? – spytała płacząco. – Jakie geny wybrałam dla mojego dziecka?

Wanda spojrzała na tatuaż wilka na swoim lewym przedramieniu. Niezmiennie jej przypominał, jak bardzo można się w życiu pomylić.

– Dziecko nie ma z tym nic wspólnego. Ty nie masz z tym nic wspólnego. Będiesz świetną matką – powiedziała, nie tylko po to, by dodać Agacie otuchy. Naprawdę tak uważała, od dnia, w którym dowiedziała się, że młoda policjantka jest w ciąży.

Gdy dotarły do Gąsek, niebo się roz pogodziło i słońce osuszyło deszcz na szybach. Główną drogą spacerowali nieliczni turyści w kurtkach wydętych przez wiatr i kolorowych bandanach na uszach. Za zakrętem zauważyły stragan, gdzie najpewniej zaopatrzyli się w charakterystyczne chusty, pod szeroką markizą powiewały bowiem dziesiątki bandan w rozmaite wzory. Za straganem skręciły w boczną uliczkę. Prywatny ośrodek terapii uzależnień Dwanaście Kroków znajdował się daleko od innych zabudowań i tak blisko plaży, że łatwo sobie było wyobrazić, jak większy przypływ zabiera go ze sobą tam, gdzie jeszcze niedawno zmierzali kuracjusze. Na samo dno.

Budynek w stylu polskiego dworku kontrastował z nadmorską architekturą, ale już sam jego wygląd działał kojąco. Wąsaty drobny

mężczyzna, który uwijał się przy oplatającym mury bluszczu, pomachał do nich przyjaźnie i Wandzie przyszło do głowy, że zajmuje się zielenią w ramach terapii, a nie pracy zarobkowej. W oddzielonej od reszty holu recepcji przywitała je młoda kobieta i zamruwała kilka razy na widok legitymacji, jakby miała się rozpłakać. Nie zaproponowała, by poczekały w holu, ale zaprowadziła je od razu do gabinetu dyrektora i zostawiła w przestronnej poczekalni. Poruszała się cicho jak biały ninja w czółenkach na gumowym obcasie i kostiumie ni to pielęgniarki, ni to kosmetyczki z luksusowego spa. Usiadły przy niskim stoliku i gdy Agata zdejmowała kurtkę, przewróciła dzbanek ciętych tulipanów.

– Nadal nie mogę się przyzwyczaić do swoich gabarytów – szepnęła, wkładając kwiaty z powrotem do naczynia, i Wanda pomyślała, że dobrze się stało, że przyjechały tu razem. Agata była dobrą policjantką, ale na pewno nie powinna dziś pracować sama. Wydawała się zgaszona i niepewna siebie.

Zastanawiała się, czy doktor Marcin Kowalski, psychoterapeuta, psycholog, seksuolog i dyrektor ośrodka, jak głosiła tabliczka na drzwiach, będzie miał garnitur od Armaniego, niewidoczne oprawki i makiaweliczne spojrzenie Hannibala Lectera. Więcej w nim było jednak – o czym przekonała się, gdy wyszedł im na spotkanie – z Jurka Owsiaka niż demonicznego psychiatry. Spod rozpiętego kitla wystawały sprane dzinsy i T-shirt z kolorową grafiką w stylu Warhola, a poza obwódka siwych włosów na czubku głowy, był całkiem łysy. Spojrzał na Agatę i uśmiechnął się jowialnie, a Wanda postanowiła przystąpić do rzeczy, zanim ugrzęzną w pytaniach o płęć, miesiąc i samopoczucie. Wiedziała, że Agata nie chciałaby dziś o tym rozmawiać.

– Mamy kilka pytań dotyczących jednego z pańskich byłych pacjentów. Pokiwał głową.

– Wiem, że pewna nasza pracownica okazała się nadgorliwa, ale musicie panie zrozumieć, że jednymi z podstawowych oczekiwań wobec klinik takich jak nasza są anonimowość i pełne bezpieczeństwo danych.

Odwrócił się, by wskazać palcem oszklony elaborat pod szumnym nagłówkiem: *Nasze obietnice i zobowiązania*. Obok wisiała bliźniacza tabliczka o przyjemnie symetrycznej liczbie punktów: *Wasze obietnice i zobowiązania*.

– Rozumiem, ale obawiam się, że w tym przypadku oczekujemy od pana współpracy – powiedziała Wanda. – Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa. Mogę oczywiście wystawić nakaz i przyjechać tu jeszcze raz, ale wtedy pojawimy się w towarzystwie dziesięciu umundurowanych policjantów, a zdjęcia z tego wydarzenia trafią do wszystkich mediów, bo to głośna sprawa. My same – spojrzała na Agatę – zastanawiamy się zawsze, jak to jest, że media tak szybko pojawiają się na miejscu.

Kowalski przestał się ciepło uśmiechać i odsunął się od biurka.

– No dobrze. Który pacjent panie interesuje?

– Andrzej Podolski. Przypuszczamy, że leczył się w tutejszej klinice około dwóch lat temu.

Wanda spodziewała się, że doktor Kowalski włączy komputer i zacznie przeszukiwać rejestr, ale on tylko przekrzywił głowę, jakby próbował przywołać w pamięci nie tyle człowieka, ile konkretne wspomnienie.

– Pamiętam Andrzeja. Oczywiście. Przyjechał do nas, a właściwie został przywieziony, w bardzo ciężkim stanie. Skrajne wycieńczenie organizmu, zły stan psychiczny i fizyczny. Później były jeszcze dwa nawroty, ale ostatecznie uważam jego kurację za sukces, choć minęły dopiero dwa lata... bo proszę pamiętać, że terapia uzależnień to długotrwały proces. Andrzej zainteresował się tym, co robimy w klinice, do tego stopnia, że sam zamierza skończyć odpowiedni kurs, i myślę, że byłby

dobrym terapeutą. Niech mi panie wierzą, wiem, o czym mówię. Jestem alkoholikiem, który nie pije od dwudziestu lat.

– Skąd pan o tym wie? O tym, że zamierza skończyć kurs.

– Utrzymuję kontakt z niektórymi z byłych pacjentów. Zadzwoił, żeby się pochwalić, że regularnie chodzi na spotkania grupy anonimowych alkoholików.

– Powiedział, w jakim mieście?

– Chyba wspomniał coś o Szczecinie.

– Ma pan może jego numer telefonu?

– Niestety nie dodałem go do kontaktów. Ostatni raz odezwał się zresztą dość dawno temu. Codziennie odbieram dużo połączeń. – Spojrzał na swoją komórkę, jakby oczekiwał, że i teraz zadzwoni.

– Powiedział pan, że ktoś go tu przywiózł.

– Kobieta. Za pierwszym razem wymagał leczenia zamkniętego, ale za drugim odwiedziła go kilka razy. Przypuszczam, że była to ta sama osoba, która opłaciła wszystkie koszty związane z jego pobytem.

– Jak się nazywała?

– Przepraszam, ale to musiałbym już sprawdzić. – Zapiął fartuch na brzuchu i wygładził materiał dłońmi.

Wanda i Agata nie ruszyły się z miejsca.

– Mam to zrobić teraz? No dobrze, ale uprzedzam, że chwilę to potrwa.

Otworzył laptop ze świecącym symbolem jabłka i całe szczęście nie czuł potrzeby zagadywania ciszy. Nie tłumaczył, jakie rejestry właśnie przeszukuje i jakie otwiera programy. Wanda skorzystała z okazji, by sprawdzić pocztę w telefonie i odpisać na maile, a Agata siedziała po prostu w bezruchu i wpatrywała się w terapeutę.

– O tu. Już mam. Izabela Tomczyńska. Gdy go do nas przywiozła, wypełniła odpowiednie dokumenty, w których podała, że jest jego córką.

Wanda nie mogła zasnąć, a odrobina amerykańskiego burbona, zamiast ją uspić, pobudziła jej myśli do dalszego galopu. W końcu wstała, zapaliła światło i zaczęła przemierzać pokój, a z napełnionej ponownie szklanki bursztynowego płynu o dębowym posmaku upadło na dywan kilka kropli. Zerknęła na wyświetlacz telefonu. Miała jedno nieodebrane połączenie, ponownie od Piotra. Widzieli się wcześniej na komendzie, ale w towarzystwie Tobiasza rozmawiali tylko o przygotowywanym akcie oskarżenia przeciwko Wiktorowi. Wyszedł za nią na korytarz, lecz zmyła się w pośpiechu, zanim zdążył powiedzieć coś na temat niezwiązany ze śledztwem.

Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się jak kretyńka, jednak nie potrafiła przestać. Myślała o Joannie w czerwonej sukience, z czerwonym kubkiem „Smile” i o tym, że nie powinna dać się Piotrowi złapać za rękę i wciągnąć pod wodę. Spojrzała na wilka, który w świetle lampy zafalował na jej nadgarstku, i przypomniała sobie, jak Piotr polizał w tym miejscu jej skórę. Przeszedł ją dreszcz. Wszystko było nie tak. Tysiąc powodów, dla których nie powinna dołączać do niego w zaporowanej kabinie. Inna kobieta w jego życiu, wspólna praca, strach... Jej skóra aż zapulsowała, a oddech przyspieszył. Strach przed czym? Pomyślała o glocku zamkniętym w sejfie. Na strzelnicy szło jej coraz lepiej, ale tym razem był to strach innego rodzaju.

Stała przed portretem wiszącym we wnęce i wybrała numer Natalii. Dochodziła północ, ale była pewna, że jej siostra o tej porze jeszcze nie śpi. Wróżenie z kart wymagało z pewnością dramatycznej oprawy. Blasku gwiazd, cienia wiatru, trzepoczących skrzydeł nietoperza, palących się grubych świec i zapachu wosku.

– Zastanawiałaś się kiedyś, kogo przedstawia ten portret?

– Dobry wieczór. – Natalia ziewnęła w słuchawkę. – Jaki portret? Zapominasz czasem, siostra, że nie siedzę w twojej głowie.

– Portret, który wisiał w pokoju babki, podarowałaś mi go po śmierci ojca. No i dlaczego wlokła go ze sobą przez pół świata? Zawsze nas zbywała, mówiła, że my, smarkate i przemądrzałe, za dużo chcemy wiedzieć.

Wanda odłożyła szklankę na stół i zdjęła obraz ze ściany. Długa szyja kobiety wyginała się pod nienaturalnym kątem, a jej barczyste ramiona miały zaburzone proporcje. Namalowany był w manierze romantycznej i spojrzenie kobiety wydawało się rozmarzone i łagodne.

– Podobno babka miała siostrę, która bogato wyszła za mąż i wyjechała do Lwowa. Tylko ją w rodzinie byłoby stać na portrecistę. Kiepskiego, powiedzmy to sobie szczerze, ale jednak.

– Czyli mamy gdzieś kuzynów po stronie ciotecznej babki?

To była nowość. Nikt jej o tym nigdy nie opowiadał.

– No właśnie nie. Siostra babci młodo zmarła.

– Wojna?

Natalia stłumiła ziewnięcie.

– Nawet jej nie doczekała. Przed samym wybuchem wojny potrąciła ją dorożka.

– Skąd o tym wiesz?

– Babka opowiedziała mi przed śmiercią. Byłam przy niej, jak umierała. Zdaje się, że taka moja rola w naszej rodzinie.

– A ja? Gdzie ja wtedy byłam?

– Może w szkole, a może u matki w bibliotece. Lubiałaś tam przesiadywać po lekcjach. Nie mogła się od ciebie opędzić.

Wanda odwiesiła portret z powrotem na gwóźdź.

– Babka zobowiązała cię do zachowania sekretu? Dlatego nie opowiedziałaś mi tej historii przez tyle lat?

– Ależ skąd. Ty się po prostu tym nie interesowałaś. A później przestałyśmy rozmawiać. Poszłyśmy, jak mawiał ojciec, w dwie różne strony. Ty na prawo, ja na lewo. Mnie nazywał lewaczką, której karty tarota wyżarły mózg.

– A ja byłam piczką zasadniczką, która masturbuje się na myśl o zasadach i paragrafach.

– I strzelaniu. Zawsze powtarzał, że wykorzystujesz pozwolenie na broń, by strzelać do bezbronnych jeleni.

– Nie mam przecież licencji myśliwego.

– On uważał, że masz, tylko się tym nie chwalisz.

Wanda przewróciła oczami, choć Natalia nie mogła jej teraz zobaczyć.

– Panie i panowie, nasz ojciec.

Roześmiały się, a potem zapadła cisza i Wanda słuchała spokojnego oddechu siostry. Był przyjemnie jednostajny, jak mruczenie kota. Mogłaby teraz zwinąć się pod kołdrą, położyć komórkę na poduszce i zasnąć. Przypomniała sobie, jak lata świetlne temu Natalia ładowała się jej do łóżka. Zasypiały wtulone w siebie, policzek przy policzku, jak szczenięta z jednego miotu. Mama tego nie lubiła, mówiła, że żadna z nich nie wyśpi się porządnie, gdy będą się gnieździć na wąskim łóżku, ale Natalia i tak przychodziła, a potem znikwała na paluszkach przed świtem.

– Powiedziała, że nigdy jej nie wybaczyła – odezwała się Natalia, gdy Wanda pomyślała już, że usnęła.

– Tego, że wyszła bogato za męża i zginęła pod kołami dorożki?

– Tego, że wyjechała i zostawiła ją samą.

Wanda otworzyła i zamknęła usta.

– A może i czegoś innego – dodała pospiesznie Natalia. – Nie wiem, czy pamiętasz, ale babka miała bezkompromisową naturę i chowała urazę jak słodycze na czarną godzinę. Od czasu do czasu wyciągała te stare krzywdy na światło dzienne, zjełczałe i bezwonne. Po prostu pycha – dodała z przekąsem. – Przypuszczam, że to dlatego została sama.

– Przecież dziadek zaginął, zanim jeszcze wyjechała spod Równego.

– Ojciec mówił, że dziadek zaginął, bo bardzo tego chciał. Pamiętasz, jak opowiadał o jej systemie kar, bo nagród nie było? Uważała, że nagrody rozmiękczają charakter.

– Wierzyła w zasady. – Wanda postanowiła wstawić się za babką. – Na pewno do końca życia mogła spojrzeć sobie w lustrze w twarz.

– Może rzeczywiście, ale tak po prawdzie, to nie bardzo miała komu patrzeć w twarz przez całe życie. Mało kto potrafi żyć obok kogoś jeszcze surowszego niż Bóg ze Starego Testamentu, kto jak on za zło karze, ale dobrego nie wynagradza. Mało kto – powtórzyła ciszej.

– Ojcu się to udało.

– Jesteś tego pewna?

Zamilkły. Wanda znowu słyszała w słuchawce tylko miarowy oddech siostry.

– No cóż – powiedziała Natalia – miejmy nadzieję, że ta jej bezkompromisowość atakuje tylko co któreś pokolenie i Ignacego ominie. Dobranoc.

Wanda wypić kolejny łyk burbona, a potem jeszcze jeden. Alkohol przyjemnie rozlał się po organizmie, poczuła go aż w palcach stóp. Było po północy, ale Piotr odebrał po pierwszym dzwonku. Odnotowała to nie bez satysfakcji, bo myśl o nim i Joannie nadal psuła jej humor.

– Jesteś sam?

– Ale tak w sensie egzystencjalnym? Czy w tej konkretnej chwili? No z Dexterem sobie siedzimy, wino pijemy, ale spokojnie. Mamy otwarty związek. Jamniki nie są tak zaborcze jak, dajmy na to, berneńczyki, to chyba kwestia niewielkich gabarytów. Dzwoniłem. Kilka razy dzwoniłem – uściślił obrażonym tonem, jakby mogło jej to umknąć.

Postanowiła podjąć bezpieczny temat, zanim usłyszy, że popełnili wielki błąd, którego nie wolno im powtórzyć.

– Zastanawiam się, dlaczego Iza Tomczyńska ani razu nie przyznała się do kontaktów z ojcem.

– A tymczasem opłacała mu luksusowy odwyk, podczas którego regularnie go odwiedzała? No właśnie. Od początku kłamię na ten temat.

– Nie tylko na ten.

– Zgadza się – przyznał Piotr. – Nie wspomniała o kradzieży manuskryptu Pana Toma i myślę, że albo zwinęła go sama, albo zleciła to ojcu. Znała szyfr do sejfu i z całą pewnością była ciekawa, o czym jest ta książka. Poprzednie powieści pisali przecież razem, a o tej nowej nie miała pojęcia. Do tego okazuje się, że Pan Tom wiedział o jej romansie. Przypuszczam, że chciał się z nią rozwieść i jej o tym powiedział. Zdawała sobie sprawę, że ma niewiele czasu.

– Czyli wracamy do Izy Tomczyńskiej jako głównej podejrzanej? A jej alibi? – Wanda skrzyżowała przed sobą nogi. Miała gęsią skórkę i przykryła je kocem.

– A może od początku źle na to patrzymy? Owszem, w czasie morderstwa była w Szczecinie z Kamilem Żukiem, ale co, jeśli ktoś inny zamordował jej męża za nią?

– Dla niej? – zapytała jednocześnie Wanda. – Słyszałeś o metodzie dwunastu kroków?

– Jak w nazwie tej prywatnej kliniki? Wiem, że chodzi o anonimowych alkoholików, obilo mi się o uszy, choć jak wiesz, mój ojciec nie zdecydował się nigdy na leczenie.

– Jednym z kroków, bodajże ósmym, jest zrobienie listy wszystkich osób, którym wyrządziło się krzywdę, i nabranie gotowości do zadośćuczynienia im. A kolejnym, dziewiątym, jest zadośćuczynienie wszystkim, w których przypadku to jest możliwe. Z wyjątkiem sytuacji, kiedy wiązałoby się to z ryzykiem zranienia drugiej osoby.

– No tak. Mój ojciec zdecydowanie nie wierzył w tę metodę. Uważał, że anonimowi alkoholicy to sekta smutasów.

Wanda nieomal zobaczyła kwaśny uśmiech na jego twarzy.

– Andrzej Podolski był jej pomocnikiem na swojej ozdrowieńczej krucjacie? A co z tym ostatnim zastrzeżeniem?

– Cóż, może przyswoił sobie skróconą wersję dla uzależnionych, którzy mają bardzo mało czasu – mruknął Piotr. – Agata sprawdza kluby anonimowych alkoholików w Szczecinie, a ja przycisnę jutro Tomczyńską. Jak to się nie uda, mam jeszcze jeden pomysł.

Oboje zamilkli i tym razem Wanda postanowiła nie uciekać, a pauza wydłużała się w nieskończoność.

– Wiem, że nie o to pytałaś – powiedział w końcu Piotr. – Ale tak. Jestem sam. I wiem, że to banał, ale nie mogę przestać o tobie myśleć.

Jagoda Filipek jeździła po Bornem Sulinowie rowerem, próbując sobie przypomnieć, jak miasteczko wyglądało w latach osiemdziesiątych, gdy Igor załatwił jej przepustkę, ale wszystko wydawało się jednocześnie znajome i obce. Zupełnie jak jej twarz w lustrze. Twarz starzejącej się kobiety. Spotkała raz Igora na komendzie i stwierdziła, że czas obszedł się z nim lepiej niż z nią. Mężczyźni tak już mają. Mogą nawet na starość płodzić nowe dzieci w miejsce tych, które utracili. Przekazała mu kondolencje z powodu śmierci syna i zastanawiała się, czy już wie, że jest biologicznym ojcem Izy. Jeśli wiedział, nie dał tego po sobie poznać. Nie zapytał o Izę. Nie poprosił o jej numer telefonu. Szczerze mówiąc, spojrzął na Jagodę obojętnie, jak na obcą osobę. Później pomyślała, że nawet jeśli poznał prawdę, nie będzie chciał mieć z Izą żadnych kontaktów. Obwiniął ją o śmierć Kamila.

Dzień był deszczowy i zimny jak na początek czerwca, a wszystko wokół pokrywał wilgotny osad. Mimo to cieszyła się, że Żenia pożyczył jej rower. Wypiła u niego mocny czaj i powspominali radziecką przeszłość Bornego. Niewiele się zmienił, odkąd widziała go ostatni raz, po drugiej stronie wartowni, gdy obdzielał dzieciarnię znaczkami do wpięcia w kołnierzyk. Poprawiła pelerynę przeciwdeszczową. Dzięki niej czuła się dobrze wpasowana w geriatryczny krajobraz miasteczka. Kiedyś mieszkały tu głównie młode rodziny żołnierzy, a teraz dominowali starzy, bo

emeryturę można było przecież pobierać wszędzie, a tu było ładnie i tanio, do tego świeże powietrze.

Jagoda związała ciasniej kaptur peleryny. Kupiła ją w lokalnym sklepie, w którym kiedyś znajdowała się wartownia jednostki brygady raketowej. Mieli na stanie tylko te przezroczyście kapoty w duże niebieskie krople deszczu, jakby chodziło o to, by się człowiek lepiej wtopił w ulewę. Dawny budynek prokuratury stał pusty. Usłyszała od sprzedawcy, że kupił go jakiś Niemiec i już niedługo zostanie zamieniony na dom spokojnej starości, ale Żenia powiedziała, że o wielu pustych budynkach w Bornem Sulinowie od dawna krążą takie plotki. Gdyby się sprawdziły, miasteczko zamieniłoby się w skupisko „jesiennych zmierzchów”, „szumiących topól” i „zachodzących słońc”.

Omijając kałuże, ruszyła na cmentarz wojskowy, a tam minęła pomnik z podniesioną ku niebu pepeszą. Postument stał kiedyś w centrum miasta, ale po wyjeździe żołnierzy z Bornego przeniesiono go właśnie na cmentarz. Dwudziestoletni Iwan Poddubny, który zginął podczas potyczek w Krągach siedemdziesiąt pięć lat temu, z pewnością nie miał nic przeciwko przeprowadzce. Dawno już zamienił się w proch. Dla jednych bohater, dla innych bandyta – ot, historia w pigułce. Jagoda zostawiła rower koło drzewa i podeszła do wysokiego mężczyzny, który stanął obok pomnika. Miał na sobie niebieską kurtkę z kapturem i jasne dżinsy. Przypomniał jej się fragment *Caliope* Maanamu: „Księżyc wypłynął ponad dachy, zagląda w okno lunatyczna kula, echo podwaja szybkie kroki, zjawiasz się w mroku jak błękitna chmura”. Wyglądał znacznie lepiej, niż gdy widziała go po raz ostatni, choć był to raczej wynik zabiegów kosmetycznych niż dobrego życia. Nigdy nie był atrakcyjny, za bardzo wiało od niego nudą. Podała mu rękę. Teraz można go było przynajmniej uznać za doprowadzonego do porządku.

– Witaj. – Uśmiechnął się. Miał nowe zęby, ładne i równe jak u aktora.

Piotr nie widział się ze Świdrem, odkąd dowiedział się o ankiecie, którą dostała od niego Wanda, i nie ubolewał nad tym faktem. Dziś więc, gdy znalazł w skrzynce wiadomość od przełożonego, niechętnie poczłapał na drugie piętro. Po wczorajszym deszczu wstał słoneczny dzień, ale niewielki pokoik sekretarki wydzielony z większej całości spowijał mrok. Było tu jak w piwnicznej izbie, a kobieta wydała mu się jeszcze bardziej przestraszona niż ostatnio.

Nadal nie był pewien, na czym konkretnie polegają jej zadania, ale po wejściu do gabinetu miał pewność, że jednak nie na grze z naczelnikiem w szachy, bo ułożenie figur na szachownicy nie zmieniło się, odkąd był tu po raz ostatni. Czarny goniec i konik nadal szykowały się do osaczenia białego króla, osamotnionego bez hetmana, wieży i większości białych pionków. Piotr znał tylko podstawowe zasady gry w szachy, ale domyślał się, że taki etap rozgrywki ma swoją nazwę.

– Zgłosiłem udział naszego wydziału w programie pilotażowym – zaczął Świder bez wstępów. – Uważam, że powinniśmy zmierzyć i zoptymalizować efektywność naszych działań, a do tego potrzebujemy konkretnych zaleceń. Napije się pan czegoś?

Piotr pokręcił głową.

– Z czym to się wiąże? – spytał.

– Zapewniam, że nie zajmie to panu ani pańskiemu zespołowi zbyt wiele czasu. – Świder upił elegancko łyk herbaty i znacznie mniej elegancko przeplukał nim usta, jakby mył zęby. – Chodzi o wypełnienie krótkiej ankiety.

Kliknął myszką i chwilę później sekretarka przyniosła do pokoju wydruk. Może gdyby drukarkę przenieść z powrotem na stolik pod okno, gdzie stała za egalitarnych czasów Iwanowskiego, kobieta straciłaby posadę. Piotr pobieżnie rzucił okiem na dokument. Użyte tam sformułowania przypominały ankietę, którą dostała Wanda, dotyczyły jednak oceny współpracy z komendą wojewódzką.

– Oczywiście otrzyma ją pan również mailem, a kodem służącym do bezpiecznego otwarcia pliku jest pana PESEL. Wygląda to podobnie w przypadku ankiet dla pańskiego zespołu. Wyniki ankiety pozostaną w pełni zaszyfrowane, a dla ludzi w Warszawie będą całkowicie anonimowe.

– Jest pan tego pewien?

Świder upił kolejny łyk herbaty, ale tym razem na szczęście od razu go przełknął.

– Co ma pan na myśli?

– Skoro każde z nas otrzyma inną ankietę, a szyfrowane są one naszymi numerami PESEL, równie dobrze moglibyśmy się na nich podpisać. Jaki będzie kolejny krok?

– Wyspecjalizowana zewnętrzna firma dokona niezależnej oceny i przekaże odpowiednie wytyczne, na podstawie których wdrożymy konieczne działania.

– Aha – powiedział tylko Piotr.

Nadmiar przymiotników użytych przez Świdra w tym jednym zdaniu podsumował to, co było wiadomo od początku: to był głównoprojekt,

którym Świder próbował zabłysnąć przed kimś w Warszawie. Być może Piotr źle go oceniał od samego początku i Marzena Wąs miała rację. Nie tylko był biurokratą pasjonatem, ale i mógł im realnie zaszkodzić.

– Ta sprawa – dodał Świder na koniec – sprawa morderstwa Pana Toma... To się za bardzo wlecze. Dajmy temu tydzień, a jak nie będzie konkretów, będziemy musieli porozmawiać o eskalacji procedur.

Piotr skinął głową. Eskalacja, kurwa, procedur, poleciał w głowie Wrzosiem.

Jeszcze raz wybrał numer Izy Tomczyńskiej, ale kobieta nadal nie odbierała. Od razu włączyła się skrzynka. Ciekawe, pomyślał, celowo unika kontaktu czy znów znieczuła się alkoholem? Zadzwoił też do jej matki, ale telefon Jagody Filipek po trzech sygnałach zgłosił gotowość do nagrania wiadomości. Piotr już miał wsunąć komórkę do kieszeni, gdy zawibrowała mu w rękach. Agata.

– Sprawdziłam kluby anonimowych alkoholików w Szczecinie i udało mi się dotrzeć do dwóch największych wspólnot: Nadzieja i Serce. Zgodnie z ideą nie prowadzą rejestru członków, ale dwie osoby z Nadziei rozpoznały Podolskiego na zdjęciu.

– W jaki sposób w ogóle nakłoniłaś ich do mówienia? – zdziwił się Piotr. – Bo nie sądzę, że machałaś im przed nosem legitymacją.

Dziewczyna brzmiała o wiele lepiej, niż gdy się widzieli ostatnio. Przypomniał sobie czas po odejściu Anki. Dla niego też praca była wtedy najlepszym wypełniaczem pustych, nijakich godzin.

– Miałam trochę szczęścia. W Nadziei odbywał się dziś mityng otwarty i zrobiłam sobie wycieczkę do Szczecina. Formuła tych spotkań obejmuje zwierzanie się pozostałym uczestnikom i założyłam, że Podolski opowiadał im o córce. Powiedziałam, że martwię się o ojca, z którym ostatnio znowu

nie mam kontaktu, a chciałabym, żeby miał okazję poznać swojego wnuka. Okazało się, że sami się o niego martwią, bo przed kilkoma tygodniami przestał przychodzić na spotkania.

– Takie rzeczy się chyba zdarzają? Ludzie znajdują inne formy wsparcia albo wracają do nałogu?

– Zgadza się, ale Andriusza, bo pod takim imieniem go tam znają, wydawał się podobno „wkręcony na maksa” w program dwunastu kroków. To słowa dwudziestokilkulatka, z którym udało mi się porozmawiać po spotkaniu przy kawie i pączkach. Młodziak liczył na to, że Andriusza zostanie jego opiekunem. Podobno tak się teraz nazywa „sponsorów”, żeby się nie mylili z tymi, którzy sponsorują studentki w zamian za seks. Niestety nikt nie miał jego danych kontaktowych.

Piotr skinął głową. Zaczynał się przyzwyczajać, że nie mają w tym śledztwie ani odrobiny szczęścia. Agata jednak mówiła dalej, a jej głos brzmiał teraz mniej matowo. Wydawała się podekscytowana.

– Kiedy skończyłam rozmowę z chłopakiem, zaczepiła mnie starsza kobieta. Wyznała, że choć nie powinna mi tego mówić jako jego córce, dwa razy uprawiała seks z Andriuszą w jego mieszkaniu. Nie potrafiła podać dokładnego adresu, ale powiedziała, że to gdzieś na osiedlu Kasztanowym, i jeśli ją podwozę na zakupy do Lidla, to potem wskaże mi odpowiedni blok i wejście. Było trochę krążenia, ale wreszcie sobie przypomniała. Ładny nawet ten jego budynek, nowy, zatopiony w zieleni. Wybrałam numer mieszkania domofonem, ale nikt nie otwiera.

– Może ta kobieta z AA się pomyliła?

– Sprawdziłam właściciela w administracji wspólnoty mieszkaniowej. To Aneta Bojek. Na Facebooku jest ich kilka, ale tylko jedna studiowała polonistykę w Szczecinie w tych samych latach co Iza Tomczyńska, więc prawdopodobnie się znają. Udało mi się porozmawiać z sąsiadem, który

wyprowadził psa na spacer. Uważa Podolskiego za podejrzanego typa, więc chętnie uciął sobie pogawędkę. Pokazałam mu zdjęcie ze ślubu Tomczyńskich i potwierdził, że od kilku miesięcy widuje na klatce Podolskiego. Dodatkowo rozpoznał pannę młodą na tym zdjęciu. Powiedział, że ją też widział, i to kilka razy.

– Izę Tomczyńską?

– Zgadza się. A wczoraj wieczorem Podolski wrócił podobno do mieszkania w towarzystwie kobiety. Wyglądała jak ta w sukni ślubnej, tylko starsza była i niższa. No i włosy krótkie, fryzurę określił jako „na garnek”. Przed naszą rozmową próbowałam się dodzwonić do Jagody Filipek.

– Nie odebrała?

– W dodatku nie odebrała za drzwiami tego mieszkania. Dziwne. Oddzwonię – rzuciła Agata, zanim Piotr zdążył jej powiedzieć, by poczekała na wsparcie.

Gdy Wanda dotarła do Szczecina, przed wejściem do budynku na osiedlu Kasztanowym stał zaparkowany radiowóz, a obok niego kręciło się kilku policjantów. Gęstniejący tłum na zewnątrz deptał kwiatową rabatę, która okalała czteropiętrowy blok pomalowany w kolorowe prostokąty. Wejście C spowijał jasny róż. Ktoś powiadomił już media, ale całe szczęście jeszcze nie zwąchały, że zwłoki kobiety, które znaleziono w mieszkaniu pod czwórką, mają coś wspólnego z głośnym morderstwem Pana Toma, do którego doszło półtora miesiąca wcześniej jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów stąd, nad jeziorem Komorze.

Wanda spojrzała na Agatę, która w zbryzganym krwią przedpokoju dyktowała przez telefon adres mieszkania. Ciemne włosy, które w ciąży skręciły się w jeszcze ciaśniejsze sprężynki, schowała pod czapkę z daszkiem i w dżinsowych ogrodniczkach, bez makijażu, wyglądała jak nastoletnia córka farmera. Wkurzona córka farmera. Od aresztowania jej męża minęło kilka dni i początkowe odrętwienie zamieniło się w złość, a ta napędzała ją do działania.

– Dobra robota – rzuciła Wanda, gdy dziewczyna odłożyła telefon.

Od razu poczuła ten zapach.

Słodką, nieco mulistą woń krwi, ale też jakiegoś wyrobu cukierniczego, jakby ktoś smażył tu niedawno naleśniki.

– Gdy weszliśmy, właśnie robił gofry. – Agata wskazała podbródkiem pomieszczenie na końcu korytarza. – Zamordował ją w kuchni, którą później wysprzątał, ciało włożył do wanny i postanowił się posilić, zanim je poćwiartuje.

Ciąża Agaty zdawała się czymś abstrakcyjnym w mieszkaniu, które w jednej chwili zmieniło się w miejsce zbrodni. Liczne ślady krwi przy otwartych drzwiach do łazienki i na płytkach w środku świadczyły o tym, że zwłoki Jagody Filipek zostały tam faktycznie zawleczone. Wanda zerknęła na zakrwawione ciało w wannie.

– Jak go zatrzymaliście?

– Otworzył mi w końcu, ale nie chciał rozmawiać. Powiedział, że od lat nie utrzymuje kontaktu ani z byłą żoną, ani z córką. Ale zza drzwi dobiegał dźwięk telefonu Filipek, a do tego ten duszący zapach gofrów... Coś mnie tknęło. W międzyczasie na miejsce dotarła ekipa z komisariatu Dąbie i weszliśmy do środka.

– Gdzie on jest? Podolski? – doprecyzowała Wanda.

– Zabrali go już do aresztu.

Odsunęły się na bok, żeby nie przeszkadzać. Ta sama co zawsze karuzela zbierania śladów, materiałów, dowodów. Procedura była ta sama, tylko ludzie inni. Na miejscu pracowała ekipa z województwa i każde z nich miało tu swojego odpowiednika. Szczeciński Wrzosiu był małomówny i grzeczny, szczeciński Falski okazał się młodą kobietą, która o nieco lepiej prezentowała się w kombinezonie ochronnym i maseczce, a szczeciński prokurator był sztywniakiem, którego Wanda знаła z widzenia. Nie było tylko odpowiednika Derenia – Marzena Wąs została od razu poinformowana o tym, że morderca i ofiara na osiedlu Kasztanowym są znani policji i zostali już wcześniej objęci śledztwem prowadzonym przez wydział z Drawska Pomorskiego.

W związku z tym to podkomisarz we własnej osobie podał Wandzie na powitanie foliowy worek, gdy tylko weszła do pokoju. W środku znajdował się młotek przypominający miniaturę rzeźbiarskiego, z walcowatym obuchem, na którym widniały zakrzepnięte ślady krwi. Był nieduży, ale zaskakująco ciężki.

– Rozumiem, że będzie idealnie pasował do pustego miejsca w walizce z zestawem pogromcy wampirów. Andrzej Podolski... a więc to naprawdę był on? Przyznał się również do morderstwa Pana Toma?

Piotr skinął głową.

– Szkoda tylko, że nie udało nam się go dorwać, zanim zamordował Filipek.

– A to co? Czy ja dobrze widzę? – Wanda wzięła do ręki grubą kopertę w formacie A4, również zabezpieczoną folią. Wzdrygnęła się. Była zimna i wilgotna.

– Ostatni manuskrypt Pana Toma? – Mimowolnie przyjęła nabożny ton. – Podolski trzymał go w lodówce?

– A konkretnie w zamrażalniku. Rozmawiałem już z Tobiaszem, który uważa, że wbrew temu, co sądzi wiele osób, mrożenie jakiegokolwiek dysku, w tym pendrive'a z danymi, nie naprawia go, ale trwale uszkadza. Niemniej wydruk, kiedy dobrze wyschnie, powinien być czytelny.

– Agnieszka Faith i Barbara Koterska z pewnością się ucieszą, ale zanim to dostaną...

– Powinniśmy to przeczytać. Też tak sądzę.

Wanda patrzyła, jak jeden z policjantów zapina zamek specjalnego worka foliowego, w którym umieszczono ciało Jagody Filipek. Nie znosiła tego momentu, przypominał jej zasypywanie trumny. Ciało umieszczono na noszach i wyniesiono z mieszkania. Kuchenny nóż, którym Podolski pozbawił Filipek życia, spoczął w jeszcze innym worku. Tak to właśnie

wyglądało. Wszędzie wokół szeleściła folia i brzdękały instrumenty techników, nie przestawały dzwonić telefony komórkowe. Ładna ruda policjantka robiła zdjęcia i notatki, raz po raz zerkając na wielki brzuch Agaty. Wanda zamknęła na chwilę oczy i wsłuchiwała się w otaczające ją dźwięki. Można by pomyśleć, że grupa ludzi szykuje przyjęcie niespodziankę albo weekendowy remont mieszkania w telewizyjnym show.

Ostrze noża miało dwadzieścia centymetrów długości, a małomówny wojewódzki odpowiednik Wrzosia potwierdził, że morderca zadał ofierze cztery ciosy. Pierwszy spowodował ranę kłutą w okolicy podżuchwowej po stronie prawej, drugi w okolicy przednio-bocznej szyi po stronie prawej, a trzeci i czwarty padły po stronie lewej klatki piersiowej Filipek. Wanda musiała się skupić, żeby zrozumieć, jakby patolog mówił do niej w obcym języku. Dopiero po chwili zorientowała się, że nie przeklina, i dlatego jego zdaniom brakuje rytmu, do którego przywykła.

Prokurator, z którym zamieniła kilka słów, szybko się ulotnił. Nie pojawił się później na sekcji, która potwierdziła, że trzeci i czwarty cios spowodowały uszkodzenie łuku aorty, przebicie płata górnego płuca lewego, przebicie ściany prawej komory serca i mięśnia sercowego, doprowadzając do wykrwawienia się i śmierci ofiary.

– Udało się powiadomić Tomczyńską? – zapytała Piotra, który pokiwał głową.

– Jest w szoku. Wczorajszą noc spędziła, szwendając się po szczecińskich barach z grupą przyjaciół ze studiów. Miała zamiar przespać kaca i wyłączyła telefon. To dlatego nie mogłem się do niej od rana dodzwonić. Nie miała pojęcia, że jej matka nie wróciła na noc – dodał, uprzedzając jej kolejne pytanie.

– Gdzie ona teraz jest?

– Odwieźli ją na komisariat w Dąbiu. Tam, gdzie Podolskiego. Spójrz na to. – Podkomisarz wskazał jej palcem odręcznie zapisany kawałek tektury, który wisiał na ścianie jak brzydki obraz na tle zdjęć z azjatyckich podróży Anety Bojek.

Mieszkanie może i było całkowitym przeciwieństwem nory w wyburzonym Kłominie, ale dykta od razu przypomniała Wandzie o tamtej, z czerwonym napisem „Wstęp surowo wzbroniony”. Nawet charakter pisma był ten sam. Tym razem Wanda dokładnie wczytała się w tekst:

Przyznaliśmy, że jesteśmy bezsilni wobec alkoholu – nasze życie stało się niekierowalne.

Uwierzyliśmy, że Siła większa od nas samych może przywrócić nam zdrowy rozsądek.

Podjęliśmy decyzję, aby powierzyć naszą wolę i nasze życie opiece Boga, tak jak Go rozumieliśmy.

Zrobiliśmy wnikliwą i odważną osobistą inwenturę moralną.

Wyznaliśmy Bogu, sobie i drugiemu człowiekowi istotę naszych błędów.

Staliśmy się całkowicie gotowi, żeby Bóg usunął wszystkie te wady charakteru.

Zwróciliśmy się do Niego w pokorze, aby usunął nasze braki.

Zrobiliśmy listę wszystkich osób, które skrzywdziliśmy, i staliśmy się gotowi zadośćuczynić im wszystkim.

Zadośćuczyniliśmy osobiście wszystkim, wobec których było to możliwe, z wyjątkiem tych przypadków, gdy zraniłoby to ich lub innych.

Prowadziliśmy nadal osobistą inwenturę, z miejsca przyznając się do popełnianych błędów.

Staraliśmy się przez modlitwę i medytację poprawiać nasz świadomy kontakt z Bogiem, tak jak Go rozumieliśmy, prosząc jedynie o poznanie Jego

woli wobec nas oraz o siłę do jej spełnienia.

Przebudzeni duchowo w rezultacie tych kroków staraliśmy się nieść to posłanie innym alkoholikom i stosować te zasady we wszystkich naszych poczynaniach.*

* *Dwanaście kroków i dwanaście tradycji*, Warszawa 1996, cyt. za: www.pl.wikipedia.org/wiki/Program_12_krok%C3%B3w.

Wanda spojrzała do środka przez lustro weneckie. Iza Tomczyńska, która przez ostatnich pięć minut krążyła po niewielkim pomieszczeniu, jakby szukała możliwych dróg ucieczki, wreszcie się zmęczyła. Usiadła na krześle i przysunęła się do stołu, gdzie złożyła głowę na rękach. Włosy, które ostatnio splatała w warkocze, teraz swobodnymi falami spływały jej na łopatki, a na twarzy miała ślady wczorajszego makijażu i całonocnego picia.

– Mimo wszystko wygląda lepiej, niż gdy ją widziałam ostatnio – powiedziała Wanda do Piotra, który stanął obok niej. – Jak przesłuchanie Podolskiego?

– Wydaje się pogodzony z losem. Zabił Jagodę Filipek w akcie ostatecznego zadośćuczynienia swojej córce. Podobno był to wyraz woli Boga wobec niego. *Dwanaście kroków*, punkt jedenasty.

– A Pan Tom?

– Punkt dziewiąty, ale także dziesiąty i jedenasty. Pisarz odwiedził go pewnego dnia, gdy Podolski jeszcze ostro pił. Powiedział, że zbiera materiały do nowej książki, i dużo mu zapłacił za listy Jagody Filipek, które odbiły się od adresu w Leningradzie i wróciły do Łubowa.

– To od Tomczyńskiego dostał je Kamil Żuk?

– Być może pisarz dał je młodemu na przechowanie, bo nie ufał już swojej żonie, gdy skradziono manuskrypt.

– Podolski mówił o nich komuś jeszcze?

– Twierdzi, że nie, ale w tamtych latach nie trzeźwiał. Nie pomyślał, że Pan Tom będzie chciał zaszkodzić Izie. Tomczyński go okłamał. Obiecał, że pomoże mu naprawić relacje z nią, a na tym Podolskiemu podobno zależało najbardziej. Szczerze? Przypuszczam, że na tamtym etapie to najbardziej mu zależało na chlaniu i kasie, którą dostał od pisarza. Dokładnie nie pamięta, ale balował za ten hajs przez kilka miesięcy. Opuścił nawet swoją norę w Kłominie i włóczył się po Polsce.

– A później?

– A później przyszło opamiętanie i poczucie winy wobec córki. Powiedział jej o listach. O tym, że je przekazał pisarzowi.

– W jaki sposób się z nią skontaktował?

– Wiedział od Pana Toma, że pracuje w szkole. Po prostu pojechał tam pewnego dnia.

Wanda spojrzała na Tomczyńską, która podniosła głowę, a jej czarne włosy błysnęły w świetle lampy, jakby pokrywał je złoty pył. Popatrzyła w lustro. Zdawała się spoglądać prosto na nich.

– Czyli przyznał się do zabójstwa Tomczyńskiego?

Piotr skinął głową.

– Powiedział, że musiał to naprawić. Chciał zadośćuczynić córce.

– To od niej miał kod instalacji alarmowej, szyfr do sejfu?

– Podobno przekazała mu te dane, ale tylko po to, by mógł wykraść manuskrypt. Nie wiedziała natomiast nic o planowanym przez niego zabójstwie. Według Podolskiego Pan Tom skrzywdził jego córkę i musiał zginąć.

– A skąd wiedział o zestawie pogromcy wampirów?

– Twierdzi, że wcześniej odwiedził pisarza kilka razy, gdy Iza była w pracy.

– Wierzysz w to?

– W to, że Tomczyńska nie miała nic wspólnego z morderstwem swojego męża? Nie wierzę. Myślę, że od początku kryła ojca właśnie z tego powodu.

– To dlatego była tak ubrana – powiedziała w zamyśleniu Wanda. – Pamiętasz? W pierwszej chwili jej strój tamtego dnia, gdy wróciła do domu ze Szczecina, wydał mi się bardzo wyzywający. Pomyślałam jednak, że nauczycielki z liceum często ubierają się młodzieżowo.

– Czerwona sukienka?

– Czerwona sukienka, czerwone trampki, kurtka z kolorowym smokiem na plecach. Do tego rozmawiała z obiema recepcjonistkami w hotelu. Zrobiła wszystko, by rzucić im się w oczy i zapewnić sobie alibi na noc morderstwa. Nie potrzebowała nawet Kamila, ale wiedziała, że w innym przypadku będziemy go podejrzewać.

Tomczyńska przestała się w nich wpatrywać ślepych spojrzeniem i ponownie złożyła głowę na stole. Jej długa biała szyja zdawała się czekać na ścięcie.

Gdy weszli do środka, nie podniosła się od razu. Z głową w dole powiedziała matowym głosem:

– Nie rozumiem, dlaczego to zrobił. Nie prosiłam go o to.

Chyba nie zdawała sobie sprawy, jak fatalnie to zabrzmiało. Podniosła się i potoczyła wzrokiem po twarzach Wandy i Piotra.

– Mam alibi na tę cholerną noc. Co najmniej sześć osób potwierdzi, że chlałam i kręciłam tyłkiem na parkiecie.

Piotr pokiwał głową.

– Nawet nam nie przyszło do głowy, że mogłaby pani zamordować własną matkę.

– W takim razie dlaczego nie mogę pojechać do domu? Dlaczego mnie tu trzymacie?

– Spokojnie. Chcemy tylko porozmawiać. Przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, dlaczego nie wspomniała nam pani ani słowem, że utrzymuje kontakty z ojcem.

– Bo nie utrzymuję – burknęła Tomczyńska. – Ile razy mam to powtarzać? Przecież to nawet nie jest mój prawdziwy ojciec. Tak, matka o wszystkim mi opowiedziała. Trzydzieści lat za późno, ale co tam. Grunt, że zrzuciła z siebie ciężar i poczuła się przed śmiercią lepiej. Zaraz, czy to dlatego on... – Głos jej się załamał. – Czy to dlatego, że matka się przyznała? Dlatego uznał, że musi zginąć?

Oficer dyżurny przyniósł szklankę wody i Wanda poczekała, aż Tomczyńska ją wypije.

– A jednak zapłaciła pani za leczenie Andrzeja Podolskiego w klinice Dwanaście Kroków w Gąskach, odwiedzała go tam pani, a kilka miesięcy temu przewiozła do Szczecina i pozwoliła zamieszkać w apartamencie koleżanki.

Tomczyńska spojrzała na nią z uznaniem, jakby Wanda dopiero teraz powiedziała coś godnego uwagi.

– Kim jest Aneta Bojek? – spytał Piotr.

– Nikim szczególnym, koleżanką ze studiów. Wyjechała na rok do Tajlandii i poprosiła, żebym się zaopiekowała jej mieszkaniem. Pomyślałam, że mógłby tam trochę pomieszkać.

– Bo nikt go tam nie znajdzie?

Tomczyńska spiorunowała ją wzrokiem.

– Chyba pani widziała, w jakich warunkach mieszkał w Kłominie? Poza tym stąd miał blisko na spotkania anonimowych alkoholików. Nie chciałam, żeby przerwał terapię. Pomyślałam, że później kupię mu jakieś mieszkanie. Jak Aneta wróci z Tajlandii.

– A nie prościej było go z odwyku w Gąskach zabrać do siebie? – zapytał Piotr, podnosząc wzrok znad notesu.

– Jakub się na to nie zgadzał. Nie chciał mieć z moim ojcem nic wspólnego.

– A pani?

– Pomogłam mu wyjść z nałogu. To wszystko.

Wanda widziała, jak na czole Tomczyńskiej perli się pot. Położyła przed nią pocztówkę, którą znaleźli w opuszczonym mieszkaniu w Kłominie.

– Jak wiele ich pani wysłała przez te wszystkie lata?

– Pewnie tylko tę jedną. – Tomczyńska ledwie spojrzała na kartkę.

– A skąd Podolski wiedział o pani ślubie? – Piotr przestał notować i na nią spojrział.

– Nie mam pojęcia – westchnęła. – Może matka mu powiedziała. Teraz wydaje się to jasne, prawda? – Potoczyła wzrokiem po Wandzie i Dereniu. – Musieli mieć ze sobą kontakt przez te wszystkie lata, skoro udało mu się ją zwabić do mieszkania.

– Kłamała pani za każdym razem, gdy o niego pytaliśmy.

– Chroniłam go – powiedziała cicho Tomczyńska.

– Przed czym?

– Przed całym tym medialnym cyrkiem. Wiedziałam, że tego nie wytrzyma. Pęknie i znowu zacznie pić.

Wanda może i by to kupiła, gdyby nie to, że widziała już wcześniej, jak dobrze Iza Tomczyńska potrafi grać. Pochyliła się w jej stronę, ledwo

muskając stół palcami.

– Nie było żadnego psa – powiedziała, patrząc Tomczyńskiej w oczy.

Kobieta spojrzała na nią jak na wariatkę.

– Słucham?

– Nigdy nie było żadnego psa – powtórzyła Wanda. – Ta historia opowiedziana mi przez panią po śmierci Kamila Żuka, historia o psie, którego musiała pani zostawić w Łubowie... Nigdy nie było żadnego psa. Pytaliśmy pani matkę, a założę się, że potwierdzą to też wszyscy żyjący jeszcze sąsiedzi z Łubowa. Nigdy nie było żadnego psa.

– Może i nie było. Co z tego?

– Był za to Andrzej Podolski, pani ojciec. Jedyny, jakiego pani знаła. To wtedy znienawidziła pani matkę za to, że podjęła za panią decyzję.

Tomczyńska na chwilę opuściła gardę.

– Zawsze to robiła. Dyktowała mi co, kiedy i z kim. Zabroniła mi się z nim kontaktować. Zabrała mnie z Łubowa do Szczecina, choć wcale tego nie chciałam.

– Rozumiem. – Wanda skinęła głową. Potrafiła oczywiście zrozumieć żal małej Izy, która nie chciała opuszczać znanych kątów, koleżanek i ojca. O wiele trudniej było zrozumieć tę dorosłą, która wykorzystwała Podolskiego do swoich celów. – W mieszkaniu znaleźliśmy młotek, którym wbito osikowy kołek w serce pani męża. Znaleźliśmy też manuskrypt wykradzony z sejfu na kilka dni przed śmiercią Jakuba Tomczyńskiego. Pamięta pani z pewnością tę kradzież? Tę, o której również zapomniała nam pani wspomnieć?

– Myślałam, że go zniszczył. Miał go zniszczyć – wymamrotała Tomczyńska. – Idiota. Niereformowalny idiota.

Później kazała im spierdalać. Powiedziała, że nie będzie już z nimi rozmawiać bez obecności swojego absurdalnie drogiego adwokata.

Agata spojrzała na Tobiasza, jakby nie była pewna, czy się nie przesłyszała. Czy on ją właśnie opieprzał? Miała wrażenie, że ostatni raz widzieli się kilka miesięcy, a nie kilka dni temu, gdy jej mąż trafił do aresztu. Czas przyspieszył jeszcze bardziej, odkąd aresztowali Andrzeja Podolskiego i Izabelę Tomczyńską, w czym miała swój udział. Wreszcie czynny, nie z za biurka. Nadal pamiętała ten kop adrenaliny.

– Jak mogłaś się tak narażać? Przecież ten wariat na krucjacie zadośćuczynienia mógł cię zabić. Ciebie i dziecko.

Chłopak miał rozgorączkowane spojrzenie, a rana na czole, która wcześniej pokryła się strupem, teraz wyglądała znacznie gorzej. Chyba ją przed chwilą rozdrapał. Siedzieli w pustej salce konferencyjnej i Agata rzuciła buty. Przysunęła sobie drugie krzesło i oparła na nim opuchnięte stopy. To był jeden z tych dni, kiedy czuła, że jest w dwunastym miesiącu ciąży.

– Jak zeznania właściciela Perły? – zapytała, by zmienić temat. Jego niepokój był miły, ale sprawiał, że czuła się jeszcze gorzej.

– Bardzo szybko nabrał wody w usta. Utrzymuje, że zostawił Sawickiemu wolną rękę i nie miał pojęcia, co się tam wyprawia. Osobiście brzydzi się tego typu ludźmi i żałuje, że dobre imię jego ośrodka zostało zszargane.

Była wdzięczna, że Tobiasz posłużył się nazwiskiem Wiktora, nie nazywając go jej mężem.

– A świadkowie? Udało się coś wycisnąć z pracowników ośrodka?

– Mówią tylko o imprezach w budynku głównym. Nasze informacje pozostają na ten moment niepotwierdzone, ale to nieistotne, raport lekarza i psychologa oraz zeznania Andżeliki wystarczą, by załatwić Wiktora... – Zawiesił głos. – Naprawdę chcesz o tym słuchać?

Agata spojrzała na kroplę krwi, która spadła na stół. Tobiasz wyjął z kieszeni chusteczkę i przytknął ją do czoła.

– Jeśli to prawda i organizował tam schadzki starych przyków i nieletnich dziewcząt, trzeba dorwać ich wszystkich. Andżelika na pewno nie wybrała się tam sama. Jej koleżanki?

– Najpierw nie chciała żadnej wskazać, a gdy podała kilka nazwisk, okazało się, że ktoś już do nich dotarł i je zastraszył.

– Nie był to ten skurwysyn mój mąż, bo siedzi w areszcie.

Tobiasz skinął głową.

– Podejrzewamy, że to jeden z uczestników tych imprez. Wpływowy facet zaangażowany w lokalną politykę. Tak twierdzi Rolski.

– Tylko nie mów, że chodzi o Grada. – Agata mimowolnie pomyślała o zastępcy Wandy Just, który zawsze wydawał jej się śliski. Jeden z tych, którzy rozmawiali nie z nią, tylko jej biustem.

– A wiesz, to akurat ułatwiłoby nam sprawę. Nie zaprzataj sobie teraz tym głowy. Powinnaś się skupić na sobie i dziecku.

Agata odsunęła od siebie krzesło, z impetem zdejmując z niego stopy.

– Przestańcie mi mówić, co powinnam robić! Szczególnie ty. Mam ci przypomnieć? „Musimy to skończyć, zanim sprawy między nami zabrną za daleko”.

Jej głos zabrzmiał zgrzytliwie, nieprzyjemnie, jakby piłowała metal, a dziecko kopnęło ostrzegawczo, choć to nie jemu próbowała przecież dokuczyć. Tobiasz włożył zakrwawioną chustkę do kieszeni.

– Doskonale pamiętam i nadal uważam, że myślałem słusznie.

– Ze względu na Wiktora?

– Też, ale głównie ze względu na ryzyko.

– Jakie znowu ryzyko? – westchnęła Agata. Zmieniła pozycję, ale wcale nie było jej wygodniej. Brzuch stwardniał jak balon i najchętniej odpięłaby go choć na chwilę.

– Nigdy o tym nie myślałaś? Oboje moi rodzice są głuchoniemi. Robili badania genetyczne i okazuje się, że jeśli miałbym dziecko, mogłoby odziedziczyć ten gen.

Agata wybałuszyła oczy. Więc to dlatego z nią zerwał?

– Czyli co: to, które mam w brzuchu, odziedziczył geny gwałciciela czternastolatek?

Tobiasz podszedł bliżej i usiadł na krześle, na którym wcześniej trzymała stopy. Zmarszczył brwi.

– Nigdy tak nie myśl.

– Wystarczy, że inni będą tak myśleć i mówić za moimi plecami. – Wzruszyła ramionami.

– Wyjedziemy do Szczecina.

– My?

– Jeśli będziesz tego chciała.

– A co z tym, że nadal uważasz, że myślałeś słusznie?

Agata się skrzywiła.

– Wszystko w porządku?

– To tylko zgaga. Zaraz przejdzie. No nie patrz na mnie tak, jakbym nosiła pod sukienką ładunek wybuchowy. To tylko dziecko.

– Może i myślałem słusznie, ale postąpiłem głupio. Mogę? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, położył rękę na jej brzuchu.

Piotr wyprowadził z klatki Dextera, który natychmiast zanurzył pysk w stokrotkach i wierzgnął tylnymi łapami, udając spychacz. Był ucieleśnieniem radości istnienia, dopóki nie przysiadł przy kępie trawy – wówczas stawał się ucieleśnieniem radości płynącej z defekacji. Ustawił się przy tym centralnie, jakby chciał, by go widział cały blok. Jego jamnik nie był koprofagiem, nie interesowały go własne odchody, miał w sobie za to coś z ekshibicjonisty. Sąsiad, który palił papierosa na balkonie, patrzył z satysfakcją, jak Piotr zbiera do worka ciepłą psią kupę i wrzuca ją do kosza. Był to jeden z dwóch mężczyzn, którzy zaczepiali go często pod sklepem, wypytując o postępy w śledztwie.

– Ciekawe, co się z nimi stanie – zagał.

Podkomisarz rzucił mu zdziwione spojrzenie. Cóż, on zrobił swoje. Cała reszta należała teraz do maszyny sądowej. Andrzej Podolski miał odpowiedzieć za morderstwo Jakuba Tomczyńskiego i Jagody Filipek, a jego córka, może i nie biologiczna, ale najukochańsza, za współudział w morderstwie swojego męża. Na Wiktorze Sawickim ciążył zarzut gwałtu na nieletniej, a w ślad za nim pojawiło się oskarżenie o stręczycielstwo. Tobiasz przekonał jakoś do mówienia kolejne maślaki z Czaplinka i okolicznych wiosek.

– Z psimi kupami – dodał sąsiad, jakby wyczuł jego niepewność, i zgniótł resztę papierosa w popielniczce. – Nie ciekawi to pana? Ja się czasem zastanawiam, dokąd trafiają te wszystkie wyschnięte psie bobki w plastikowych woreczkach. W skali kraju to są tysiące, setki tysięcy kup.

Piotr skinął głową. Może innego dnia dałby się wciągnąć w te dywagacje, ale nie dziś. Rano obudził się z katarem i bólem gardła. Normalnie zostałyby w ciepłym wyrze, niestety potrzeby jamnika rządziły się swoimi prawami, więc zwłókł się około południa i założył psu smycz. Spojrzał ponownie na stokrotki. Zaczęły mu wirować w oczach jak śnieżny puch, gdy Dexter wierzgnął po raz ostatni i rzucił się między pawilony.

– Nie świętujesz?

W pierwszej chwili Piotr pomyślał, że do objawów grypy dołączyły omamy wzrokowe, ale nie, w alejce pojawiła się Wanda w asyście jego psa. Zwykle jej obecność wprowadzała jamnika w stan narkotycznej euforii, jakby był kotem, a ona skropiła się esencją kocimiętki. Teraz też plątał jej się pod nogami, czekając, aż go dostrzeże i da mu do zrozumienia, że go rozpoznała. Wanda poklepała jego długi tułów jak ktoś, kto toleruje zwierzęta, ale trochę się ich boi. Piotr przypuszczał, że właśnie ta jej cecha tak kręci Dextera.

– Co tu świętować? – Wzruszył ramionami.

– Myślisz, że Świder nie zauważy twojej nieobecności? Jest tam podobno kilku ważniaków ze stołecznej.

– Ale nie ma Marzeny. Nie ma ciebie. Nie ma Tobiasza ani Agaty. Oficjalnie jestem przecież chory. – Piotr kopnął żwirowy kamyk na ścieżce.

– A nieoficjalnie?

– Nieoficjalnie też jestem chory. Poza tym nie mam ochoty oglądać Świdra. Nie chcę odpowiadać na pytania, dlaczego ja i mój zespół olaliśmy jego ankietę. Najbardziej go zresztą wkurzyło, że to ty okazałaś się mało

responsywna. Tak to podobno określił w raporcie, który wysłał Marzenie. Napisał, że zależy mu na przeniesieniu do innego regionu, bo w naszej jednostce napotkał poważne problemy z komunikacją. Do tego utrudniona współpraca z panią prokurator, która okazała się mało responsywna. Koniec cytatu. – Piotr wyjął chustkę i opróżnił nos. Spojrzał na ukurzone stopy Wandy w lekkich sandałach i poczuł, że łzawią mu oczy. Sięgnął po kolejną chustkę.

– Nie płaczcie nade mną, nad sobą płaczcie – zażartowała.

– Dotarłaś tu pieszo?

– A co? Wyglądam jak pielgrzym? Dużo się dzieje, chciałam sobie to wszystko poukładać, a wiesz, że najlepiej mi się myśli, jak idę przed siebie.

Przez chwilę milczeli.

– Dasz się zaprosić na kiepską kawę i podwójną porcję zarazków? Nie mam ostatnio serca do gotowania. Ta sprawa z Wiktorem...

Wanda pokiwała głową. Na szczęście miała pewność, że Sawicki już się nie wywinie. Mówiąc wprost, ma i będzie miał przesrane. U policjantów, sędziów, współwięźniów i ludzi w miasteczku. Gdy w końcu wyjdzie na wolność, będzie musiał wyjechać bardzo daleko stąd, bo jak słusznie mawiał Piotr, małe miasteczka wszystko mają małe poza pamięcią.

Gdy weszli do jego mieszkania, wyjęła z torby teczkę, a z niej stos sztywnych, pofałdowanych kartek.

– Tak jak prognozował Tobiasz, pendrive i umieszczony na nim plik po zamrożeniu uległy zniszczeniu, ale wydruk udało się uratować.

– Przeczytałaś?

Skinęła głową.

– I co sądzisz?

– Myślę, że Iza Tomczyńska w tej akurat sprawie mówiła prawdę. Miała naprawdę duży udział w powstaniu jego bestsellerów. Tu niby wszystko

jest, ale napisano to jakoś nieporadnie. Czyta się jak szkolne wypracowanie. Nie jest to poziom, do którego przyzwyczaił czytelników Pan Tom.

– O czym to jest? – zapytał Piotr i zaczął szeleścić kartkami.

– W skrócie? O tym, że pewna kobieta zdradza męża, autora bestsellerowych kryminałów, z maturzystą, który dowozi mu trawkę schowaną w wydrążonej książce. W *Źdźbłach trawy* Whitmana. Sceny seksu żony z chłopakiem Tomczyński opisał szczegółowo i te akurat fragmenty wyszły mu niezłe.

– Masochista?

– Być może. Dodaj do tego historię byłego tłumacza prokuratury radzieckiej w Bornem Sulinowie, kobiety, która urodziła jego dziecko, ale wyszła za mąż za innego, a potem porzuciła męża alkoholika i wyjechała do Szczecina. To mógłby być hit.

– Gdyby Tomczyńska jak zwykle nad tym popracowała.

Wanda pokiwała głową.

– No i gdyby zakończenie było inne i mniej przypominało literacką zemstę.

– Co masz na myśli?

– Pisarz się z nią rozwodzi, a maturzysta wyjeżdża na studia i zakochuje się w rówieśniczce. Była żona pisarza starzeje się brzydko i coraz więcej pije. Jego powieści zostają sfilmowane przez popularną platformę streamingową, a ona nie dostaje z tego tytułu ani grosza.

Wanda ponownie zanurkowała w torbie, ale tym razem wyjęła z niej dwie zupki instant i stuknęła nimi o siebie. Nalała wodę do czajnika.

– Chorym podobno przynosi się rosół. Gotowanie czas zacząć.

– Mam na balkonie doniczkę z przerośniętym jarmużem chorym na kiłę, będzie do tego jak znalazł – mruknął Piotr.

Gdy wrócił, włożyła do zlewu plik kartek i poprosiła go o zapalniczkę.

– Myślisz, że zostałaby wydana? – spytał.

– Cóż, Faith i Koterska dobrze wiedzą, że nawet zła książka Pana Toma sprzedaje się bardzo dobrze, bo jak same stwierdziły, Pan Tom to marka. To jak chybiony zapach Dora czy słabszy film Tarantino.

– Słabszy film Tarantino? Kobieto, nie bluźnij. A mówili, że papier jest cierpliwy – powiedział, patrząc, jak na manuskrypcie Pana Toma zaczynają tańczyć płomienie.

Usiedli nad talerzami wypełnionymi parującą żółtą cieczą, w której pływał makaron. Przypominał karbowane włosy i według Wandy pachniał plastikiem, ale Piotrowi to nie przeszkadzało. Miał kompletnie zatkany nos.

EPILOG

W listopadzie, gdy ruszył proces Andrzeja Podolskiego i Izy Tomczyńskiej, o sprawie morderstwa Pana Toma na moment znowu było głośno we wszystkich mediach. Piotr minął w pędzie witrynę Księgarni Drawskiej przy placu Konstytucji, ale po chwili zrobił dwa kroki w tył i włożył rękę do kieszeni kurtki.

Wybrał numer Wandy.

– Widziałas to już? Stoję właśnie pod księgarnią. Nie powiem, okładka jest krzykliwa i rzuca się w oczy.

– Mówisz o ostatniej książce Pana Toma? Mam wrażenie, że za chwilę wyskoczy na mnie z lodówki. Odkąd ruszył proces, wszyscy mocno promują *Chichot*, aż strach wchodzić na jakikolwiek portal poświęcony książkom. Cała Polska „chichocze”. Na ulicach większych miast wiszą billboardy, a w Warszawie powstał podobno nawet mural prezentujący okładkę.

Piotr wszedł do środka i podniósł książkę ze stojącej na środku wyspy wystawowej. Zdaje się, że miał szczęście i trzymał w ręce ostatni egzemplarz. Spojrzał na opis umieszczony na tylnej stronie okładki.

– Według wydawcy to cudownie odnaleziony manuskrypt zamordowanego pisarza, za który wypłacono rekordową zaliczkę w wysokości miliona złotych. Myślisz, że pracowała nad tym Tomczyńska?

- Niewykluczone. Na pewno nie chciała im oddawać tych pieniędzy.
- Ostatni udój krowy o nazwie Pan Tom?
- Nie tak do końca. Spójrz na wkładkę z informacją o zapowiedziach wydawniczych Liter. Pojawia się tam dobrze nam znane nazwisko.

Piotr przytrzymał telefon ramieniem i niecierpliwie przerzucił kartki.

- „Izabela Tomczyńska podzieli się ze światem informacjami, jak naprawdę wyglądało jej życie u boku słynnego pisarza!” Niezłe. Czyżby zamierzała napisać w więzieniu zmyśloną autobiografię?

– A jak podoba ci się jej tytuł?

Piotr uśmiechnął się na ten widok. Czerwony napis „Pani Tom” dominował projekt okładki utrzymanej w spokojnych odcieniach szarości i błękitu. Łączył jej krawędzie jak krwawa fastryga.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję moim Rodzicom, którzy mnie nie wyśmiali, gdy w wieku siedmiu lat oznajmiłam, że zostanę pisarką, i własnym sumptem wyprodukowałam pierwsze dzieło. Tytuł *My, dziewczyny z Marsa* sugeruje, że bliskie mi były treści feministyczne, ale uznałam je za czysty futurizm.

Dziękuję nieocenionej Joasi Mice za słusznie zadawane pytania i zmuszanie mnie do główkowania nad odpowiedziami. Podobno komicy testują nowy materiał w podrzędnych klubach. Cóż, ja, wysyłając Ci, Joasiu, książkę, wiem, że trafiam prosto na scenę czytelniczego Royal Albert Hall, La Scali, Madison Square Garden. Masz słuch absolutny i za każdą motywującą uwagę z całego serca dziękuję.

Serdecznie dziękuję całej ekipie Znak Literanova i Znak JednymSłowem, która czuwa nad tym, by do czytelników trafił dopieszczony produkt. Cieszy mnie praca z profesjonalistami, którzy tak bardzo jak ja kochają książki i znajdują frajdę w ich wydawaniu.

Wam, Czytelnikom, dziękuję szczególnie. Bez Was powieść jest tylko plikiem kartek, zbiorem akapitów. To Wy dajecie jej życie, dopisując w swoich umysłach i sercach refleksje i emocje. Czasem podobne do tych, które towarzyszyły mi przy pisaniu, ale bywa, że całkiem inne. Nie przestaje mnie to zdumiewać.

Na koniec składam sobie i Wam solenną obietnicę. Nigdy już nie uśmiercę w powieści pisarza. Sami wymierają w zastraszającym tempie i tych prawdziwych, którzy mają nie tylko warsztat, wyobraźnię, ale i wrażliwość, nie da się zastąpić sztuczną inteligencją.

Obietnicę tę składam jednak z powodów nader osobistych. Z przedstawicielami służby zdrowia widuję się tylko przy okazji spotkań towarzyskich, a jednak podczas pracy nad pierwszą wersją tej powieści trafiłam do szpitala z silnymi zawrotami głowy. Wyszłam bez diagnozy, ale już wkrótce wzbogaciłam się o wiedzę na temat automanewru Epleya i kryształów węglanu wapnia w uchu wewnętrznym. Przy pracy nad drugą i ostateczną wersją książki rozłożyła mnie infekcja. Tym razem nie było problemu z diagnozą – COVID-19. Tak, to z pewnością zbiegi okoliczności, ale postanowiłam, że nie będę ryzykować. Pisarze w moich książkach, śpijcie spokojnie. Będziecie dożywać spokojnej starości.

SPIS TREŚCI:

Okładka

Karta tytułowa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Borne Sulinowo, 21 października 1992 roku

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Borne Sulinowo, 9 maja 1985 roku

Rozdział 13

Borne Sulinowo, 23 września 1985 roku

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Borne Sulinowo, 15 czerwca 1986 roku

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Epilog

Podziękowania

Karta redakcyjna

Copyright © by Greta Drawska

Projekt okładki

Katarzyna Borkowska

kb-design@o2.pl

Fotografia na okładce

© Roy Bishop / Arcangel

Redaktor nabywający

Anna Steć

Redaktor prowadzący

Joanna Bernatowicz

Redakcja

Joanna Mika

Opracowanie tekstu

CHAT BLANC Anna Poinc-Chrabąszcz

ISBN 978-83-240-7626-0



Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek